

D rrenmatt

OBIETNICA

PODZWONNE POWIE CI KRYMINALNEJ
prze o y a Kazimiera I akowicz wna

W MARCU TEGO ROKU MIA EM WYG OSI W STOWARZYSZENIU IMIENIA ANDRZEJA DAHINDENA W CHUR ODCZYT O SZTUCE PISANIA POWIE CI KRYMINALNYCH. DOTAR EM TAM DOPIERO TU PRZED ZAPADNI CIEM NOCY, PRZY NISKO US ANYCH CHMURACH I SM TNEJ ZADYMCE NIE NEJ. W DODATKU PANOWA O OG LNE OBLODZENIE. IMPREZA ODBYWA A SI W SALI ZGROMADZENIA KUPC W, PUBLICZNO CI NIEWIELE, O TEJ SAMEJ BOWIEM PORZE W AULI JEDNEGO Z GIMNAZJ W EMIL STAIGER MIA WYK AD O GOETHEM W P NIEJSZYM OKRESIE YCIA. ANI JA SAM NIE BY EM W ODPOWIEDNIM NASTROJU, ANI S UCHACZE; PARU TUZIEMC W OPU CI O NAWET SAL PRZED KO CEM ODCZYTU. PO KR TKIM SPOTKANIU Z KILKOMA CZ ONKAMI ZARZ DU STOWARZYSZENIA, Z DWOMA, TRZEMA NAUCZYCIELAMI GIMNAZJALNYMI, KT RZY TE BYLIBY RACZEJ WOLELI POS UCHA O P NYM GOETHEM, ORAZ Z DOBROCYNN DAM , HONOROW OPIEKUNK ZWI ZKU WSCHODNIOSZWAJCARSKIEJ S U EM ODBI R HONORARIUM ORAZ ZWROTU KOSZT W PODR Y I SCHRONI EM SI DO HOTELU „ POD KOZIORO CFEM", BLISKO DWORCA, GDZIE ZAREZERWOWANO DLA MNIE POK J. I TU JEDNAK BY O BEZNADZIEJNIE: NIE ZNALAZ A SI ADNA LEKTURA, POZA JAKIM NIEMIECKIM PISMEM EKONOMICZNYM I STAR „ WELTWOCHÉ". CISZA W HOTELU PANOWA A NIESAMOWITA, O NIE ANI MARZY Z OBAWY, E SI JU W OG LE NIE OBUDZ . UPIORNA, BEZ- CZASOWA NOC. NA DWORZE NIE YCA USTA A, NIC SI NIE porusza o, lampy uliczne przesta y si chwia , ani powiewu, ani jednego chura czyka w pobl u, ani jakiegokolwiek cho si wniebog o ny harmider kolejowego dworca. Poszed em do baru, eby si przed snem napi whisky. Poza niem od bufetow znajdowa si tam tylko jeden go , kt ry mi si przedstawil , zaledwie zaj em miejsce. By to dr H., emerytowany komendant policji kantonu zuryskiego, wysoki, ci kawy, O wygl dzie staromodnym, ze z ot dewizk od zegarka w poprzek kamizelki, czego si dzisiaj prawie nie spotyka. Mimo posuni tego wieku szczeciniast g ow zachowa dot d czarn , a w przy bufecie barowym na jednym z wysokich stok w, pi czerwone wino, pali bahianosa i m wi do bufetowej po imieniu. Dono ny g os i ywe ruchy znamionowa y cz owieka niekonwencjonalnego, co

mnie pociąga o i zarazem odstręcza o. Gdy by a już prawie trzecia
1 do pierwszego Johnnie Walkera¹ przybyły nam dalsze cztery, dr H. ofiarowa-
si odwie mnie nazajutrz rano swoim oplem-kapitanem do Zurychu. Ponieważ okolice
Churu i w ogóle cz. Szwajcarii ledwo znam, chętnie przyjąłem zaproszenie. Dr
H. znalazł się w kantonie Gryzon w (Graubiiden) jako członek jakiej komisji
rzeczniczki. Te na moim
odczycie. Nie rozwodzi się zresztą na ten temat poza jednorazowym powiedzeniem:

– NIEZBYT SKŁADNIE TO PANU WYSZŁO.

NASTĘPNEGO RANKA WYRUSZYLI MY W DROGĘ. WZIĘMĄBYM O SZARYM BRZASKU
DWA PROSZKI MEDOMINY, BYM CCHO TROCH JESZCZE POSPAŁ, I CZUŁEM SI
TERAZ JAK TKNIĘTY PARALIEM. MIMO JĘ OD DAWNA ROZEDNIAŁO, -WCI JESZCZE
NIE BYŁO CAKIEM JASNO. BŁYSKA GDZIE WPRAWDZIE KAWA EK METALICZNEGO
NIEBA, ALE POZA TYM PRZESUWAŁY SIĘ SAME TYLKO OBOKI, CIĘKIE, LENIWE I WCI
JESZCZE

¹ szkocka whisky.

po niego. Zdawało się, że tej części kraju zima w ogóle nie ma zamiaru opuścić.
Miasto było całkowicie osaczone przez góry; nie odznacza się jednak one wcale
majestatem, przypomina raczej ziemne usypiska, jakby wydłgani

udnie kamienne, szare z wielkimi gma-
chami urzędowymi. Zdawało się nie do wiary, by tu miano hodować winorośl.
Sprawiali my przeniknęli do starego miasta, ale cięki w zmyli drogę, trafili my
do ciasnych, wąskich uliczek, do jednokierunkowych zaułków i trzeba było
przeprowadzić trudne manewry odwrotowe, by się wydobyć spośród plataniny
domów. W końcu my byli radzi, gdy miasto
znalazło się wreszcie za nami, radzi, mimo że koniec końca w wcale tej prastarej
siedziby biskupiej nie obejrzałem. Podobne to się prawie stało do ucieczki.

Drzewa em zdrętwiały w owianym znużeniu. Zastygła z chłodu, za nią ona dolina
przesuwała się nie wiedząc jak długo obok nas w rękawisko zaległych obok w.
Paniej, jadąc ostro nie, zbliżyli my się do sporej jakiej

nagle wszystko stanęło w soku, w wietle tak potężnym i olniewajcym, że a
topnie zaczęły nie pole. Powstał z nich biały przyziemny opar, osobliwie
wyglądający nad niegowymi paszczynami, i pozbawił mnie znów widoku doliny.
Działo się to jak w jakimś zymnie, jakby mnie ktoś zaczarował i jakbym nie miał
nigdy już poznać tych gór, tych okolic. Znów opadło mnie zmęczenie, a do czy się
do jeszcze przykry chrobot wiru, którym wysypano drogę; przy jakimś moście w
mimo wiru z lekka zarzucił. Paniej spotkali my transport wojskowy i szyba nam się
tak zabocila, że wycieraczki nie mogły jej już oczyścić. Pan H. siedział ponuro obok
mnie przy kierownicy, zatopiony w myślach i po chwili trudno ciami jazdy.

Właśnie owa em, em przyjął zaproszenie, przeklinał whisky i medomin. Stopniowo
jednak sytuacja zmieniła się na lep-
sze. Znów ukazała się dolina, mniej teraz widmowa, bardziej ludzka. Wszędzie

zagrody, tu i wzdzie niewielkie fabryczki, wszystko to czysto uprzemysłowe, lecz
szczupłe i nie na teraz i nie oblodzona, i nie cała od wilgoci, ale nie
groźna, pozwalała na przyzwyczajenie się szybko. Gry ustąpiły, stały się mniej przy-
taczające i wtenczas stanęli przy stacji benzynowej.

DOMOSTWO JUŻ NA WSTĘPIE ROBI O WRAŻENIE OSOBLIWE, MOJE DLATEGO, JE-
DYNAK OD SIĘ OD SWEGO AKURATNIE WYKONANEGO SZWAJCARSKIEGO
OTOCZENIA. DOM BYĆ NAJWIĘKSZY, OCIEKA WILGOCI: CAŁE POTOKI SPYWAJĄ ZE
KAMIA NA PŁYTY Z KAMIENIA, NA PŁYTY DREWNIANYCH. TE OSTATNIE TWORZYŁY RODZAJ
STODOLY, KTÓREJ ŚCIANA OD ULICY BYŁA CAŁĄ OKLEJONĄ PLAKATAMI. WIDOCZNIE
ZNAJDOWAŁY SIĘ TAM OD DAWNA, GDY POWSTAŁY Z NICH CAŁE WARSTWY PONALE-
PIANE JEDNE NA DRUGIE: „TYTONIE FIRMY BURRUS ZDATNE TAKIŚ DO
NOWOCZESNYCH FAJEK”; „PIJECIE CANADA DRY”; „PASTYLKI SPORT MINT”; „
SPODYWAJĄCIE WITAMINY”; „CZEKOLADA MLECZNA LINDTA” ITP. NA POPRZECZNEJ
ŚCIANIE WIDNIAŁY OLBRZYMIŁYMI LITERAMI: „OPONY PIRELLI”. OBIE POMPY
BENZYNOWE ZNAJDOWAŁY SIĘ NAPRZECIW KAMIENNEJ POWŁOCY DOMOSTWA, NA
NIEKŁYNYM, LEZABRUKOWANYM PLACYKU. CAŁE ROBIŁO WRAŻENIE
PODUPADŁE, POMIMO SŁOŃCA, KTÓRE TERAZ PRAWIE ZE ZŁOCIŁO
BYŁO KOMENDANT. USUWAŁ CHŁOŚC I NIE
ROZUMIEJĄC, O CO MOGŁO MU CHODZIĆ, RAZ
zresztą, jeśli wydobędzie się powietrze.

Obok otwartych drzwi wejściowych siedział na kamiennej ławce stary człowiek.
Nie umyty i nie ogolony, miał na sobie jasny bluzon roboczy, brudny i wyplamiony,
do tego ciemne, i nie było od niego uszczenia spodnie, nigdy przynależne
przed siebie osupiałym
wzrokiem i z daleka już cuchnął alkoholem. Zaleciał mi wojskowy absyntu. Dokoła
kamiennej ławki bruk zasiany był niedopalkami cygar, pyłkami w topniejącym
niegu.

– Pochwalony – zdawało mi się, że mój to komendant był
długo do pieca. Gatunek – super. Proszę też ocyścić
ci się
my.

Teraz dopiero spostrzegłem nad jedynym widocznym oknem domu gościa o szynku,
czerwony tarcz z blachy, a nade drzwiami napis: „Pod R”. Weszli my do
niechlujnego korytarza, o zastygłym odorze wódki i piwa. Komendant poszedł przodem,
otworzył nie oszklone drzwi, najwidoczniej dobrze się orientował. Salka gościnnie
należna i mroczna: kilka prostych drewnianych stołów i ław, podobizny gwiazd filmo-
wych, wycięte z ilustrowanych pism i nalepione na ścianach. Radio austriackie
nadawało o tyrolskie ceny rynkowe, a za szynkwasem stała ledwo widoczna kościasta
kobieta w matince i paląca papierosa pukała szkło.

– DWIE CZARNE ZE ŚMIETANKAMI – WIĘKSZY KOMENDANT.

Kobieta zaczęła się krzątać, a z sąsiedniego pokoju weszła flakowata kelnerka,
której wiek oceniłem na jakieś lat trzydzieści.

– MA SZESNAŚCIE LAT – MRUKNĄŁ KOMENDANT.

Dziewczyna poda a kaw . Ubrana by a w czarn
sp dnic i bia nie dopi t bluzk , pod kt r nie mia a bielizny. Sk ra wygl da a
nie domyta. Blond w osy, takie, jakie zapewne posiada a niegdy i kobieta za lad , by y
nie uczesane.

– DZIĘKI, MARIANKO – I KOMENDANT POŁO Y NALE NO NA STOLE. ALE
DZIEWCZYNA R WNIE NIC NIE RZEK A, NAWET NIE PODZI KOWA A. PILI MY W
MILCZENIU. KAWA BY A OHYDNA: KOMENDANT ZAPALI BAHIANOSA. RADIO
AUSTRIACKIE PRZESZ O NA WODOSTAN, A DZIEWCZYNA POCZ APA A DO S SIEDNIEGO
POKOJU, SK D PRZE WIECA O CO BIA EGO, NAJWYRA ANE KO.

– CHODŹMY JU KOMENDANT.

GDY WYSZLI MY, RZUCI OKIEM NA POMP BENZYNOW
I ZAP ACI . STARY DOLA BENZYNY I OCZY CI SZYBY.

– Na razie! – pożegna starego komendant i znowu wyczu em u niego jak
nieporadno ; stary ze swej strony i teraz wcale si nie odezwa . Siedzia znowu na
swej y, zidiocia si w os upieniu przed siebie.
Kiedy my jednak doszli do naszego opla-kapitana i raz jeszcze si odwr cili, stary
zacisn pi ci i wytrz saj c nimi zachrypia urywanym, gwa townym szeptem:

– JA CZEKAM, CZEKAM. ON NADJEDZIE, NADJEDZIE. – I TWARZ ZAPŁON A MU
NIEWZRUSZON WIAR .

– PRAWDĘ M WI NIECO P NIEJ DR H., GDY MY SI ZABIERALI
DO PRZEBYCIA PRZE CZY KEREN- CKIEJ. NA DRODZE ZN W BY A GO OLED , A POD
NAMI LE A O JEZIORO WALE , L NI CE, ZIMNE I NIEPRZYCHYLNE. POZA TYM
OGARN O MNIE ZN W O OWIANE ZNU ENIE OD MEDO- MINY, PAMI
PRZYDYMIONEGO SMAKU WHISKY I UCZUCIE, E SUN BEZMY LNIIE PRZEZ NIE MAJ CY
KO M WI C, NIGDY NIE BY EM ZWOLENNIKIEM ROMANS W
KRYMINALNYCH I PRZYKRO MI, E I PAN R WNIE NIMI SI PARA. STRATA CZASU! Z
TYM, CO PAN WCZORAJ M WI NA ODCZUCIE, MO NA SI WPRAWDZIE ZGODZI

JA CO O TYM WIEDZIE , BO
SAM, CO I PANU MO E WIADOMO, JAKO RADCA FEDERALNY JESTEM JEDNYM Z NICH (NIC
MI O TYM NIE BY O WIADOMO, G OS JEGO S YSZA EM JAK GDYBY Z ODDALENIA,
ZABARYKADOWANY ZA ZNU

SI WR CZ, E PRZYNAJMNIEJ POLICJA POTRAFI WIAT
UTRZYMA W RYZACH. TRUDNO SOBIE ZRESZT WYOBRAZI NADZIEJ BARDZIEJ
PARSZYW . ALE W TYCH WSZYSTKICH KRYMINALNYCH HISTORIACH TRAFIA SI ,
NIESTETY, JESZCZE ZNACZNIE GORSZY KANT. MAM NA MY LI NAWET NIE TO, E WASI
PRZEST PCY BYWAJ UKARANI, BO TAKIE PI KNE BAJDY MOG BY NIEZB DNE Z
MORALNEGO PUNKTU WIDZENIA. NALE Y TO DO K AMSTW, NA KT RYCH OPIERA SI
BYT PA STWA, R WNIE JAK I NA ZBO NEJ SENTENCJI, E ZBRODNIA NIE POP ACA... A
PRZECIE WYSTARCZY PRZYJRZE SI SPO ECZNO CILUDZ

kiej, by na tym chocia by punkcie pozna prawd !... Wszystko to jednak got wem
pu ci pazem, cho by na zasadzie kupieckiej, bo ka da publiczno i ka dy
podatnik ma prawo do swoich bohater w i swego happy endu. Na nas z policji i na was z

pisarstwa ci i jednakowy obowiązek tego im dostarcza. Nie. Raczej z o ci mnie w powieściach waszych sama akcja. Tu już szwindel staje się wprost w ciekłe bezczelny. Rozbudowujecie waszą akcję na zasadzie logiki; rzecz dzieje się jak w partyjce szach w: tu zbrodniarz, tam ofiara, tu wspólnik, widać u ytkownik. Wystarczy, a detektyw zna reguła gry i przepowie sobie tak partyjkę, a już przytrzyma przestępstwo i przyczyni się do triumfu sprawiedliwie ci. Tego rodzaju fikcja doprowadza mnie do furii. Upora się z rzeczywistością przy pomocy logiki można tylko czciowo. W dodatku trzeba przyznać, że w a nie my z policji jeste my rwnie zmuszeni postępowanie logicznie, naukowo, ale czynniki odporne, które nam wodzą, występują tak czy sto, a powodzenie zawdzięcza nieraz wypadka po prostu zawodowemu naszemu szczęściu albo też przypadkowi... Rwnie dobrze zreszt

ciach traf nie gra żadnej roli, a jeżeli nawet coś wygląda na przypadek, to robi się wnet z tego fatalność i zrządzenie losu, prawdę za wyjątkiem, pisarze, rzucacie zawsze na pastwę reguła dramatu. Połajcie raz do diabła te reguła. Zdarzenia już choćby dlatego nie da się rozwinąć bez reszty, tak jak się rozwija, a nigdy nie znamy wszystkich nieodwołalnych czynników, znamy zaledwie kilka, powińkszej czy ci drugorzędnych. W dodatku zbyt wielką rolę odgrywają rzeczy przypadkowe, nieobliczalne, niewymierne. Nasze ustawy opierają się tylko na prawdopodobieństwie, na statystyce, nie na przyczynowości, i trafiają w sedno zaledwie z grubsza, nie w szczegółach. Jednostka stoi poza rachunkiem. Nasze reguła kryminologiczne są niewystarczające, a im je bardziej ROZBUDOWUJEMY, TYM SIĘ W A NIE STAJE MNIEJ WYSTARCZAJĄCE. ALE WY, LUDZIE PISARSTWA, WCAŁE SIĘ O TO NIE TROSZCZYCIE. NIE PRZEBUJECIE ZAPAS W Z RZECZYWISTOŚCI, KTÓRA SIĘ NAM, POLICJI, RAZ PO RAZ WYMYKA, USTAWIACIE SOBIE NATOMIAST TAKI WIAT, KTÓRY DAJE SIĘ UJĄĆ W KARBIE. W WASZ WIAT JEST, BY MOŻE, DOSKONAŁY, CZEMU NIE, ALE TO FAŁSZ. WYRZEKNIJCIE SIĘ DOSKONAŁOŚCI, O ILE CHCECIE, JAK PRZYSTOIMY CZYNNOM, ZBLIŻY SIĘ DO RZECZY KONKRETNYCH, DO RZECZYWISTOŚCI. INACZEJ NIE RUSZYCIE Z MIEJSCA, ZAABSORBOWANI WASZYMI ZB

O RZECZY.

Musiało pana dzisiejszego ranka niejedno zdziwić. Przede wszystkim, jak się działo, to co teraz powiedzieli. Był komendant zuryskiej policji kantonowej powinien być zapewne wyjątkowo mniej skrajny poglądy. Ale ja jestem stary i nie zamydlałem sobie już wiecej oczu. Wiem, jak bardzo stoimy wszyscy pod znakiem zapytania, jak niewielki jest zasięg naszych możliwości, jak atwo bierzemy; wiem jednak rwnie, że mimo to musimy działać, i to nawet wtedy, kiedy zachodzi obawa, że dzieła niebądź trafne. Poza tym na pewno zdziwi o pana, a stan przy tej obskurnej stacji benzynowej. Zaraz to panu wyjaśnię: otóż w smutny, zapijaczony rozbitek, który nam natankowa benzyna, był nigdy najzdolniejszym z moich ludzi. Bóg widzi, że i ja potrafię coś czego dokonać w moim zawodzie, ale Matthai był genialny, i to daleko genialniejszy niż ktokolwiek z waszych detektywów.

CAŁA TA HISTORIA WYDARZYŁA SIĘ OKOŁO DZIEWI

GN

DOKTOR H. DALEJ PO WYPRZEDZENIU CI AR WKI FIRMY SHELL I SP

ATTHAI BY JEDNYM Z MOICH KOMISARZY, A RACZEJ OBERLEJTNANT W, BO TRZYMAMY SI W POLICJI KANTONALNEJ RANG WOJSKOWYCH. PODOBNIEM JAK JA, PRAWNIK, B D C BAZYLEJCZYKIEM DOKTORYZOWA SI W BAZYLEI I W PEWNYCH KO ACH, Z KT RYMIZETKN SI „ ” – ALE P NIEJ TAK „

MACIEJEM NA TYM KONIEC". BY

TO SAMOTNIK. ZAWSZE STARANNIE UBRANY, BEZOSOBISTY, CEREMONIALNY, NIE ZAANGA OWANY, NIE PI ANI NIE PALI . RZEMIOS O SWOJE PE NI TWARDO I NIELITO CIWIE, CO MU PRZYCZYNIA O SUKCES W, ALE I NIENAWI CI. NIGDY GO CA KIEM NIE ROZGRYZ EM. BY EM ZAPEWNE JEDNYM CZ OWIEKIEM, U KT REGO MATTHAI CIESZY SI SYMPATI , PONIEWA W OG LE LUBI LUDZI SPRECYZOWANYCH, NIEMNIEJ JEGO BRAK POCZUCIA HUMORU DZIA A MI CZ STO NA NERWY. NIECODZIENNA JEGO INTELIGENCJA Z BIEGIEM LAT ZNIECZULI A SI POD WP YWEM NAZBYT JU STATECZNEJ STRUKTURY NASZEGO KRAJU. BY MATTHAI CZ OWIEKIEM ORGANIZACJI, APARATEM POLICYJNYM POS UGIWA SI JAK LICZYD EM.

ONATY NIE BY , O SWOIM YCIU OSOBISTYM W OG LE NIE M WI I ZAPEWNE GO PO PROSTU NIE POSIADA . ZAPRZ TA A GO WY CZNIE PRACA ZAWODOWA, KT R WYKONYWA JAKO NIEPRZECI TNY KRYMINOLOG, WSZELAKO BEZ PASJI. CHO ZWYK BY FUNKCJONOWA UPORCZYWIE I NIESTRUDZENIE, ZAJ CIE JEGO ZDAWA O SI GO NUDZI , A WRESZCIE WCI GN A GO PEWNA SPRAWA I WYZWOLI A W NIM NAGLE PRAWDZIW NAMI TNO .

TRZEBA WIEDZIE , E DR MATTHAI ZNAJDOWA SI W A NIE U SZCZYTU SWEJ KARIERY. DEPARTAMENT MIEWA Z NIM TRUDNO CI. RADCA KANTONALNY MUSIA JU Z G RY MY LE O MOIM PRZEJ CIU W STAN SPOCZYNKU

PCY. W A CIWIE TYLKO MATTHAI M G WCHODZI W RACHUB . TYMCZASEM AKURAT TEMU EWENTUALNEMU WYBOROWI PRZECIWWSTAWIA Y SI OPORY, KT RYCH NIE MO NA BY O LEKCEWA Y . MATTHAI NIE DO E NIE NALE A DO ADNEJ PARTII, ALE TRZEBA SI TE BY O SPODZIEWA OBIJEKCI ZE STRONY NASZEGO ZESPO U. U G RY NATOMIAST ISTNIA Y SKRUPU Y, BO I JAK E TU POMIN TAKIEGO T GIEGO'URZ DNIKA; ST D W SAM POR WP YN WNIOSEK JORDA SKIEGO RZ DU O WYZNACZENIE DO AMMA- NU FACHOWCA, KT RY BY ZREORGANIZOWA TAMTEJSZ POLICJ . ZURYCH WYSUN MATTHAIEGO, ZAR WNO BERN, JAK I AMMAN AKCEPTOWA Y. WSZYSCY ODETCN LI Z ULG . ON SAM R WNIE CIESZY SI Z WYBORU, I TO NIE TYLKO ZE WZGL D W ZAWODOWYCH. MIA W WZAS PI DZIESI TK

I ODROBINA S O CA GOR CYCH PUSTY MOG A MU WYJ NA ZDROWIE. CIESZY SI NA WYRUSZENIE W PODR , NA PRZELOT PONAD ALPAMI I MORZEM R DZIEMNYM, W OG LE MY LA ZAPEWNE O CA KOWITYM PORZUCENIU S U BY. NAPOMYKA NAWET, E CHCE SI P NIEJ PRZENIE DO OWDOWIA EJ SIOSTRY W DANII. W A NIE BY W TRAKCIE LIKWIDOWANIA SWEGO BIURKA W GMACHU KOMENDY POLICJI KANTONALNEJ, KIEDY PRZYSZ O TO WEZWANIE TELEFONICZNE.

Z trudno ci zdo a Matthai co wyrozumie z m d dalej sw opowie z Magendorfu, ma ej dziury w pobli u Zurychu,

jeden z jego dawnych „klient w” w drowny kramarz nazwiskiem von Gunten. Matthai nie mia w a ciwie ochoty zajmowa si t spraw akurat przez ostatnie swoje popo udnie, bo i bilet na samolot by ju wykupiony, i termin odlotu przypada za trzy dni. Ja by em jednak nieobecny z powodu konferencji komendant w policji w Bernie, sk d powrotu mego spodziewa si mo na by o dopiero pod wiecz r. Zachodzi a konieczno nadania sprawie od pocz tku w a ciwego biegu. Brak do wiadzenia m g wszystko popsu . Matthai kaza si po czy z posterunkiem policji w Magendorfie. Mia o si ku ko cowi kwietnia, na dworze la o jak z cebra, op tany halniak dosi gn ju wprawdzie miasta, ale przykra, dokuczliwa temperatura, nie daj ca odetchn ludziom, wci nie ust powa a.

ODEZWA SI POSTERUNKOWY RIESEN.

– CZY I W MAGENDORFIE DESZCZ PADA? – SPYTAŁ NA WST PIE MATTHAI Z IRYTACJ , CHO ATWO MO NA BY O ODGADN ODPOWIED . TWARZ MU JESZCZE BARDZIEJ SPOS PNIA A. POTEM POLECI PILNOWA HANDLARZA W GOSPODZIE „POD JELENIEM” I POWIESI S UCHAWK .

– CZY SIĘ CO STA SI FELLER, KT RY POMAGA PRZE O ONEMU PAKOWA . TRZEBA BY O USUN CA Y KSI GOZBI R, JAKI SI STOPNIOWO NAGROMADZI .

– LEJE TEŻ I W MAGENDORFIE – ODPOWIEDZIAŁ KOMISARZ. – NIECH PAN ZAALARMUJE POGOTOWIE POLICYJNE.

– Morderstwo?

– DESZCZ TO OBRZYDLIWOŚĆ – ODMRUKNAŁ MATTHAI ZAMIAST ODPOWIEDZI, OBOJ TNY NA URAZ FELLERA.

Zanim jednak do czy si do niecierpliwie czekaj cych na niego w aucie prokuratora i lejtnanta Henzie- go, przejrze akta von Guntena. Go by uprzednio karany za wykroczenie przeciw moralno ci z czternastolatk .

ALE JU SAM ROZKAZ, BY DAWA BACZENIE NA HANDLARZA, STANOWI OKAZA D, CZEGO JEDNAK W ADEN SPOS B NIE MO NA BY O PRZEWIDZIE . MAGEN- DORF TO NIEDU A GMINA ZAMIESZKA A PO WI KSZEJ CZ CI PRZEZ CH OP W, Z KT RYCH KILKU PRACOWA O W POBLISKIEJ CEGIELNI LUB W FABRYKACH PO O ONYCH W DOLINIE. BY O WPRAWDZIE WE WSI PARU „ MIESZCZUCH W”, DW CH, TRZECH ARCHITEKT W, JEDEN RZE BIARZ KLASYCYSTA, NIE GRALI ONI JEDNAK W MAGENDORFIE ADNEJ ROLI. WSZYSCY SI TU WZAJEMNIE ZNALI, WI KSZO BY A MI DZY SOB SPOKREWNIONA. POMI DZY WSI A MIASTEM ISTNIA KONFLIKT, MO E NIE OFICJALNIE, ZA TO SKRYCIE, BO LASY OTACZAJ CE MAGENDORF NALE A Y DO MIASTA, FAKT, KT REGO ADEN AUTENTYCZNY MAGENDORFIANIN NIGDY NIE PRZYJ DO WIADOMO CI. SPRAWIA O TO W SWOIM CZASIE NADLE NICTWU WIELE K OPOTU, ONO TO W A NIE ZA DA O DLA MAGENDOR- FU POSTERUNKU POLICJI I UZYSKA O GO. NA DOBITK NIEDZIELAMI CA Y ZALEW WYCIECZKOWICZ W Z MIASTA PRZYW ASZCZA SOBIE WIOSK , PRZY CZYM GOSPODA „ POD JELENIEM”

ZWABIA A WIELU NAWET NOC . ZWA YWSZY TO WSZYSTKO MUSIA MIEJSCOWY
POSTERUNKOWY WPRAWDZIE ZNA SI NA SWOIM FACHU, ALE Z DRUGIEJ STRONY
WINIEN TE BY WSI LUDZKIE PODEJ CIE. SZEREGOWY POLICJI WEG- MILLER,
KT REGO ODKOMENDEROWANO DO WSI, WPR DCE DOSZED DO TEGO WNIOSKU.
POCHODZENIA CH OPSKIEGO, PI ZDROWO, ALE TRZYMA SWOICH MAGENDORFIAN NA
W ASNY SPOS B W GAR CI, Z TYLOMA WPRAWDZIE UST PSTWAMI, E
W A CIWIE WINIEN BYM BY INTERWENIOWA ; UPATRYWA EM WSZAK
DO TEGO ZMUSZONY SZCZUP O CI

O. SAM ZA YWA EM SPOKOJU I ZOSTAWIA EM W SPOKOJU WEGMILLERA. ZA TO JEGO
ZAST SI ATWEGO YCIA. COKOLWIEK
ROBILI, WSZYSTKO BYTO MAGENDORFCZYKOM POD W OS. CHO K USOWNICTWO I
KRADZIE E DRZEWA NA TERENIE MIEJSKICH LAS

- Y DO LEGENDY, TO JEDNAK
W R D LUDNO CI NADAL TLI A TRADYCYJNA PRZEKORA WOBEC W ADZ. TYM RAZEM
MIA NIE ATWE YCIE RIESEN, CH OPAK G UPI, SKORY DO URAZY I BEZ POCZUCIA
HUMORU. NIE UMIA SPROSTA USTAWICZNYM DOCINKOM MAGENDORFIAN, ZRESZT
POSIADA WRA LIWO . Z CHWIL
ODWALENIA CODZIENNYCH OBCHOD W S U BOWYCH ORAZ INSPEKCI STAWA SI ZE
STRACHU PRZED LUDNO CI NIEWIDOCZNY. W TYCH WARUNKACH NIEZNACZNA
OBSERWACJA W DROWNEGO HANDLARZA UDA SI NIE MOG A. JU SAMO ZJAWIENIE
SI RIESENA W GOSPODZIE, KT REJ ZAZWYCZAJ L KLIWIE UNIKA , WYGL DA O NA
WYST PIENIE OFICJALNE. W DODATKU RIESEN USADOWI SI TAK DEMONSTRACYJNIE
NAPRZECIW SWEGO KLIENTA, E ZACIEKAWIENI CH OPI NAGLE UMILKLI.

- KAWY? - ZAPROPONOWAŁ SZYNKARZ.
- Nie, dziękuj em tu s u bowo.
Ch opi zacz li si z zaciekawieniem gapi na handlarza.
- Cóż on takiego zrobi stary ch op.
- TO DO WAS NIE NALEŻY.

Salka go cinna by a niska, zadymiona, przypomina a jakby pieczar z drzewa, upa
d awi , przy tym gospodarz nie zapala wiat a. Ch opi siedzieli za d ugim sto

cieka a woda. Sk d dochodzi
klekot sto owej pi ki no nej. Sk di

N K I PRZETACZANIE SI JAKIEGO AMERYKA SKIEGO AUTOMATU.

VON GUNTEN PI WI NI WK . BY W STRACHU. SIEDZIA SKULONY W K CIE, Z
OKCIEM OPARTYM O UCHWYT SWEGO KOSZA, I CZEKA . ZDAWA O MU SI , E SIEDZI
TAK OD WIELU GODZIN. DOKO A PANOWA A G UCHA, Z OWROGA CISZA. SZYBY
PRZEJA NI Y SI , DESZCZ USTAWA I NAGLE UKAZA O SI ZN W S O CE. TYLKO
WIATR JESZCZE WY I SZARPA MURAMI. VON GUNTEN RAD BY , KIEDY PRZED DOM
ZAJECHA Y WRESZCIE AUTA.

- Chodź pan - powiedział wstaj c Riesen i wyszli obaj na dw r. Przed gospodarz

czeka a ciemna limuzyna i du y w

a w jaskrawym wietle sonecznym. U studni sta o dwoje dzieci pi cio- czy sze cioletnich, dziewczynka i ch opiec, dziewczynka z lalk na r ku, ch opiec z biczykiem.

– NIECH PAN SIADA OBOK SZOFERA, PANIE VON GUNTEN! – KRZYKNAŁ MATTHAI Z OKNA LIMUZYNY. KIEDY ZA

NARESZCIE POCZU MIEJSCE, A RIESEN WSIAD DO WOZU POGOTOWIA, DODA : -R- NO, A TERAZ NIECH E PAN NAM POKA E, CO PAN ZNALAZ W LESIE.

SZLI PO MOKREJ TRAWIE, BO DROGA DO LASU STANOWI A JEDNO BAGNISKO, I WNET OTOCZYLI KO EM DROBNE ZW OKI, KT RE ZNALE LI W R D LI CI BLISKO SKRAJU LASU. MILCZELI. Z SZALEJ CYCH DRZEW WCI JESZCZE OPADA Y WIELKIE SREBRNE KROPLE, PO YSKUJ C JAK DIAMENTY. PROKURATOR ODRZUCI SWOJE BRISSAGO I PRZYDEPTA JE ZA ENOWANY. HENZI NIE ODWA Y SI POPATRZE .

– URZĘDNIK POLICJI NIGDY NIE ODWRACA OCZU, PORUCZNIKU – ZAUWAŻY MATTHAI.

POLICJANCI USTAWILI SWOJE APARATY.

– TRUDNO BĘDZIE ZNALE MATTHAI.

Nagle w r d obecnych znalaz y si te same dzieci, ch opczyk i dziewczynka, wpatrzone z os upieniem w zaro la, dziewczynka wci jeszcze z lalk w obj ciu, ch opczyk z biczykiem.

– PROSZĘ ZABRA TE DZIECI.

JEDEN Z POLICJANT W ODPROWADZI OBOJE ZA R K Z POWROTEM NA SZOS , GDZIE POZOSTA Y.

Z WIOSKI ZACZ LI NADCHODZI PIERWSI LUDZIE, SZYNKA- RZA Z „ JELENIA" MO NA BY O ROZPOZNA JU Z DALEKA PO BIA YM FARTUCHU.

– Zamknąć dost komisarz.

Rozstawiono posterunki. Zacz to obszukiwa najbli sz okolic wypadku. Potem zab ys y pierwsze flesze.

– RIESEN, CZY ZNA PAN TĘ DZIEWCZYNK ?

– NIE, PANIE KOMISARZU.

– Czy ją pan kiedy we wsi widzia ?

– Zdaje się, e tak, panie komisarzu.

– Czy już zdj cia zrobione?

– Jeszcze zrobimy dwa z góry.

MATTHAI CZEKA .

– Są lady?

– Ż adnych. Wszystko zasz o b otem.

– GUZIKI OBEJRZANE? SA ODCISKI PALC W?

– PO TAKIM OBERWANIU CHMURY TO BEZNADZIEJNE.

Matthai pochylił się teraz ostro nie nad trupem:

– BRZYTWA – STWIERDZIŁ, POZBIERA ROZSYPAŃ DOKO A PIECZYWO I DELIKATNIE Z O Y JE NA POWR

Zameldowano, że ktoś ze wsi chce z nimi mówić. Matthai się wyprostował. Prokurator obejrzał się na skraj lasu. Stał tam siwowo osy czy owiek z parasolem zawieszonym u lewego przedramienia. Henzi, wsparty o pień buku, był bardzo blady. Handlarz siedział na swoim koszu i wciąż cichutko zapewniał:

– Przechodziłem tutaj całe życie przypadkowo! Całe życie przypadkowo!

– Dawajcie tu tego osy czy owieka.

Siwowo osy przeszedł zaroślami i zdrętwiał.

– MÓJ BO JAK BO JE.

– Czy wolno prosić o nazwisko? – spytał Matthai.

– JESTEM NAUCZYCIELEM. NAZYWAM SIĘ LUGINBUHL – ODRZEKŁ CICHY SIWY CZ OWIEK I ODWRÓCIŁ SIĘ.

– CZY ZNA PAN TĘ DZIEWCZYŃKĘ ?

– To Gretka Moserówna.

– GDZIE MIESZKAJĄ RODZICE?

– W miejscowości Moosbach.

– CZY TO DALEKO OD WIOSKI?

– Kwadrans drogi.

MATTHAI SPOJRZAŁ NA ZWÓKI. ON JEDEN WĄSAŁ SIĘ NA NIE PATRZEĆ. NIKT NIE POWIEDZIAŁ SŁOWA.

– JAK SIĘ TO STAŁO? NAUCZYCIEL.

– To zbrodnia seksualna – objaśnił mu ktoś. – Powiedz mi, o co chodzi do waszej szkoły?

– UCZYŁA SIĘ U PANNY KRUMM. W TRZECIEJ KLASIE.

– CZY MOSEROWIE MAJĄ WIĘCEJ DZIECI?

– GRETKA BYŁA JEDYNACZKĄ.

– KTOŚ MUSI TO OZNAJMIĆ. CZY

CI SIĘ DO PRZYBYŁEGO MATTHAI.

LUGINBUHL DŁUGO NIE ODPOWIADAŁ.

– NIECHAJ MNIE PAN NIE MA ZA TCHÓRZA – RZEKŁ WRESZCIE OCI GAJ C SI BYM... NIE MOGŁEM CI SIĘ WYŚWIADAC.

– Rozumiem – stwierdził Matthai. – Powiedz mi, czy pastor?

– JEST W MIEŚCIE.

– Dobrze – powiedział spokojnie Mathai. – Pan może odejść, panie profesorze.

Nauczyciel odszedł w stronę szosy, na której gromadziło się coraz więcej ludzi z Magendorfu.

Mathai przeniósł wzrok na Henzię, wciąż jeszcze opartego o pień buku.

– Proszę, nie, panie komisarzu – poprosił cicho Henzi.

PROKURATOR RÓWNIE POTRZYSN PRZECZ CO GŁOWA. RAZ JESZCZE MATTHAI OBEJRZA SIĘ NA ZWŁOKI, A POTEM

POPATRZY NA CZERWONĄ SUKIENKĘ, KTÓRA, CAŁĄ PRZESIAKĄ KRWI I DESZCZEM, LEŻAŁA PODARTĄ W KRZAKACH.

– W TAKIM RAZIE PÓJDŹ PODNOSZĄC Z ZIEMI KOSZYK Z ROGALIKAMI.

„Im Moosbach” leżało w pobliżu Magendorfu w małym bagiennym wągwie. Mathai wysiadł ze swojego wozu i teraz szedł pieszo chcąc zyskać na czasie. Domostwo zobaczył z daleka. Stanął w miejscu i odwrócił się, bo posłyszał za sobą kroki. Te same dzieci, chłopczyk i dziewczynka, ukazały się znowu, tym razem zarumienione na twarzy. Musiały sobie jakoś skręcić drogę, inaczej ponownie ich obecność byłaby nie do pojęcia.

Mathai szedł dalej. Dom był niski, o białych murach i ciemnych belkach, kryty gontem. Zza domu wyglądały drzewa owocowe i czarnoziemny ogród. Przed domem męczył rąbka drzewo. Podniósł wzrok i spostrzegł nadchodzącego komisarza.

– Czego pan sobie życzy? – spytał.

MATTHAI ZAWAHA SIĘ CHWILĘ BEZRADNIE, PO CZYM SIĘ PRZEDSTAWIŁ :

– Czy pan Moser?

– TAK JEST. CZEGO PAN SOBIE ŻYCZY? – POWTÓRZYŁ RAZ JESZCZE MĘCZYNA. PODSZEDŁ BLIŻEJ I ZATRZYMA SIĘ PRZED MATTHAEM Z SIEKIERĄ W RĘKU. MUSIAŁ MIEĆ OKOŁO CZTERDZIESTKI. CHUDY BYŁ, O PORYTEJ BRUZZDAMI TWARZY, SZARE JEHO OCZY WPATRYWAŁ SIĘ BADAWCZO W KOMISARZA. W DRZWIACH UKAZAŁA SIĘ KOBIETA, I ONA TAK JĘ NOSIŁA SUKNIĄ CZERWONĄ. MATTHAI NAMYLA SIĘ, CO POWIEDZIE. OD DŁUGIEJ JUŻ CHWILI NAD TYM SIĘ NAMYLAŁ I WCIĄŻ JESZCZE NIE WIEDZIAŁ. MOSER PRZYSZEDŁ MU SAM Z POMOCĄ, SPOSTRZEGŁ BOWIEM W RĘKU PRZYBYŁEGO KOSZYK.

– CZY SIĘ CO STAŁO I ZNAM W WPATRYWAŁ SIĘ BADAWCZO W MATTHAIEGO.

– Czyście państwo swój Gretkę gdzie posyła?

– DO BABKI W FEHREN – ODRZEKŁ CHŁÓP.

MATTHAI SIĘ ZASTANOWIŁ; FEHREN BYŁA TO WIOSKA W ŚW. SIEDZTWIE.

– CZY GRETKA CZĘSTO CHODZI A W TĄTĄ STRONĘ ?

– CO ŚROD I CO SOBÓT PO POŁDNIU NI CHŁÓP I W NAGŁYM

PRZERA LIWYM STRACHU ZAPYTA
KOSZYK?

S PAN

MATTHAI POSTAWI KOSZ NA PIE KU, GDZIE MOSER R BA DRZEWO.

– GRETKĘ ZNALEZIONO NIE YW W LESIE POD MAGEN- DORFEM.

Moser nie ruszy si z miejsca. Tak samo kobieta, wci jeszcze stoj ca we drzwiach w swojej czerwonej sukni. Matthai dojrza , jak ch opu nagle pot sp yn po bladej twarzy, ca e strugi potu. Rad by by odwr ci oczy, ale twarz ta z oblewaj cym j potem trzyma a go jak urzeczonego. Stali obaj wpatruj c si jeden w drugiego, zdr twiali.

– Gretka została zamordowana – posłysza siebie m wi cego Matthai g osem, w kt rym nie zna by o wsp czucia. To go zirytowa o.

– Ależ to niepodobna – szepnął Moser. – Takich szatanów przecie nie ma. – I dło z siekier pocz a mu dygota .

– OWSZEM, SA TACY SZATANI, PANIE MOSER – POWIEDZIAŁ MATTHAI.

Ch op wlepi w niego oczy.

– • Chcę do mego dziecka – prawie go nie był o s ycha .

KOMISARZ POTRZ SN G OW :

– NA PANA MIEJSCU, PANIE MOSER, DAŁBYM POK J. WIEM, E TO, CO M WI , BRZMI OKRUTNIE, LEPIJ JEDNAK, EBY PAN TERAZ! DO SWOJEJ GRETKI NIE CHODZI . Moser podszed do komisarza ca kiem blisko, tak blisko, e znale li si obaj dos ownie oko w oko.

– Dlaczego ma to być lepiej? – krzyknął.

KOMISARZ MILCZA .

Przez chwil jeszcze Moser wa y w r ku siekier , jakby chc c cios ni zada , potem odwr ci si i pod

SZED DO KOBIETY, CO WCI JESZCZE STA A W DRZWIACH. WCI BEZ RUCHU I BEZ S OWA. MATTHAI CZEKA . NIC NIE USZ O JEGO UWAGI I NAGLE WIEDZIA , E SCENY TEJ NIGDY JU NIE ZAPOMNI. MOSER UCZEPI SI O BUR CZ ONY. RAPTEM WSTRZ SN NIM BEZG O NY SZLOCH. UKRY TWARZ NA JEJ RAMIENIU, PODCZAS GDY ONA PATRZY A W PR NI .

– JUTRO WIECZÓR B DZIE PAN M G SWOJ GRETK ZOBACZY

DZIE W W CZAS WYGL DA O JAK PI CE.

TU ODEZWA A SI NAGLE KOBIETA:

– KTO JEST MORDERCĄ? – MÓWI A TAK SPOKOJNIE I RZECZOWO, E MATTHAI A SI ZL K .

– To ja już wykryj , prosz pani.

KOBIETA POPATRZY A TERAZ NA NIEGO GRO NIE I W ADCZO:

– Czy pan to obiecuje?

– OBIECUJ

KOMISARZ I NAGLE ZAPRAGN CO

PR DZEJ ZOSTAWI CA E TO MIEJSCE ZA SOB .

– Na zbawienie duszy?

KOMISARZ SI ZAWAHA .

– NA ZBAWIENIE DUSZY – POWTÓRZY WRESZCIE. CO MIA INNEGO ROBI ?

– NO WIĘC NIECH PAN JU

G

NA ZBAWIENIE DUSZY...

Matthai by by chcia doda jeszcze co pocieszaj tego, ale nic pocieszaj tego nie przysz o mu do g owy.

– Bardzo mi przykro – wyrzekł cicho i odwr ci si od obojga. Szed z wolna drog , kt r przyby . Przed nim le a o Magendorf na tle lasu, a ponad nimi bezchmurne ju teraz niebo. Znowu zobaczy park dzieci przykucni tych u skraju drogi, min je znu ony, lecz one podrepta y za nim. P niej pos ysza nagle z domu poza sob krzyk jakby jakiego zwierz cia. Przy pieszy kroku nie wiedz c, czyj to by pacz, m - czyzny czy kobiety.

Po powrocie do Magendorfu stan Matthai zaraz wobec pierwszej trudno ci. Du y w z pogotowia policyjnego wjecha do wsi i tam czeka na komisarza. Miejsce zbrodni i jego pobl e zosta y ju dok adnie zbadane i dost p do nich zabezpieczony. W lesie pozostao nieznacznie trzech policjant w w cywilu. Polecono im obserwowa przechodni w i przejezdnych; miano nadziej w ten spos b trafi na lad mordercy. Reszt ekipy nale a o odwie do miasta. Cho niebo by o do czysta zamiecione, napi cie nie zel a o od deszczu. Ci gle jeszcze halniak zalega nad wsi i lasem, z szumem nacieraj c rozleg ymi, mi kkimi porywami. Nienormalne dusz ce ciep o burzy o w ludziach z o , stawali si rozdra nieni i niecierpliwi. Mimo e by jeszcze dzie , lampy uliczne p on y. Chopi poscho- dzili si ze wszech stron. Odkryli obecno von Gun- tena. Mieli go za morderc ; w drowni kramarze wydaj si zawsze podejrzeni. S dz c, e go ju arestowano, otoczyli w z pogotowia policyjnego. Handlarz, skulony wewn trz wozu pomi dzy siedz cymi sztywno policjan- tami, dr a ze strachu. Magendorfianie napierali na auto z coraz bardziej bliska i przyciskali twarze do szyb. Policjanci nie wiedzieli, co pocz . W s u bowym wozie za pogotowiem znajdowa si prokurator, kt ry r wnie nie m g si ruszy . Zamkni ty w r d ci by znalaz si tak e w z medycyny s dowej, przyby y z Zurychu, i sanitarka ze zw okami dziewczynki, bia e auto z czerwonym krzy em. M czy ni stali gro nie, cho w milczeniu; kobiety przywar y do dom w. One r wnie milcza y. Dzieci powazi y na ocembrowanie wsiowej studni. Skupia a chop w g ucha w ciek o . Spragnieni byli zemsty i sprawiedliwo ci. Matthai spr bowa przedrze si do pogotowia, by o to jednak niewykonalne. Nale a o odszuka w jta gminy. Komisarz zapyta o niego. Nikt nie odpowiedzia , da y si natomiast s ysze p go ne pogr ki. Po namy le Matthai poszed do gospody. Nie myli si : w jt siedzia w „Jeleniu”. By to ma y, t gi cz owieczek o chorowitym wygl dzie. Pi jedn szklank weltlinera za drug i wygl da przez nisko po o one okna.

– CO MAM POCZAĆ, PANIE KOMISARZU? – SPYTAŁ. – LUDZIE SIĘ ZAWZI LI. MAJ WRA ENIE, E SAMA POLICJA NIE WYSTARCZA, E I ONI MUSZ SI

ZATROSZCZY O SPRAWIEDLIWOŚĆ. TO BY

MYJ SIĘ.

WŁADZIE MIAŁBY W OČZACH.

– Handlarz jest niewinny – powiedział Matthai.

– TO BYŚ CIE GO NIE ARESZTOWALI!

– On nie jest aresztowany. Potrzebujemy go na świadka.

WŁADZIE PRZYJRZA SIĘ PONURO MATTHAIEMU:

– To są tylko te wasze wykrzyki. Wiemy, co o tym myśleć.

– Jako wójt ma pan obowiązek przede wszystkim postarać się o nasz swobodny odjazd.

Chłop popija swoje trzy łyki czerwonego wina. Pięć w zupełnym milczeniu.

– NO WIĘC? – RZUCIŁ GNIEWNIE MATTHAI.

Włódz nadal trwa w uporze.

– Handlarz dostanie za swoje – odburknął.

KOMISARZ POSTAWI SPRAWĘ JASNO:

– WPIERW MUSIAŁOBY DOJĄĆ DO WALKI WRZĘCZ, PANIE WŁÓDZIE GMINY MAGENDORF.

– BRONILIBYŚCIE MORDERCY SEKSUALNEGO?

– Winien on czy nie winien, porządek musi być.

WŁÓDZ PRZECHADZA SIĘ GNIEWNIE PO NISKIEJ SALCE GOŁOBIE. WOBEC BRAKU OBSŁUGI NALAŁ SOBIE SAM WINA PRZY LADZIE I WYPIJE TAK POSPIESZNIE, ŻE WIELKIE, CIEMNE PASY POZNACZYŁ MU KOSZUL. NA DWORZE CIĘBA WCIĘ JESZCZE ZACHOWYWAŁ SIĘ SPOKOJNIE. ALE KIEDY SZOFER WOZU SŁUBOWEGO SPRÓBOWAŁ RUSZYĆ, SZEREGI ZWARZYŁ SIĘ CIĘBA NIEJ.

Teraz już i prokurator wkroczył do salki, przedarłszy się z trudnościami przez magendorfczyk w. Znał to by o podobieństwie w jego ubraniu. Włódz złączył się z nim. Zjawienie

28

sit; prokuratora było o niego niemile; jako człowiek normalny miał zawód w zakresie niesamowitego.

– PANIE WÓJDZIE – OŚWIADCZYŁ –

SIĘ SKŁONNI DO WYMIERZENIA SPRAWIEDLIWOŚCI ZA POMOCĄ SAMOSŁUBU. NIE WIDZIMY INNEJ RADY, JAK SPROWADZIĆ POSIŁKI. TO WAM MOŻE PRZYWRÓCIĆ ROZUM.

– SPRÓBUJMY RAZ JESZCZE POGADAĆ Z LUDZIEM – MATTHAI.

Prokurator z lekką szturchnięciem wskazywał palcem prawej ręki w stronę wójty.

– JEŚLI NAM PAN W TEJ CHWILI NIE WYJEDNA POS

TA.

WE WSI DZWONY KOŁEJNE ZACZYNAŁY BIĆ NA TRWOGĘ. MAGENDORFCZYKOM SPIESZONO ZEWSZĘDZIE W SUKURS. NAWET STRAŻNICY WYSTĄPILI I USTAWILI SIĘ

FRONTEM DO POLICJI. ZACZYNA PADA PIERWSZE POJANKI. PISKLIWE, NIE GROMADNE.

– SZPICLE!

– Gliny!

POLICJANCI CZEKALI W POGOTOWIU. PRZEWIDUJĄC ATAK TUMU, KTÓRY STAWA SIĘ CORAZ BARDZIEJ WZBURZONY, BYLI W A CIEWIE RWNIE BEZRADNI JAK MAGENDORFIANIE. NA ICH DZIAŁNOŚĆ ADA A SIĘ SUBA PORZĄDKOWA I POSZCZEGÓLNE AKCJE; TUTAJ ZNALELI SIĘ WOBEC CZEGO NIEZNAWEGO. TYMCZASEM CHŁOPKI W ZNIERUCHOMIELI, USPOKOILI SIĘ JAKBY. PROKURATOR WYSZEDŁ WRAZ Z WJĘTEM I KOMISARZEM Z GOSPODY, DO KTÓREJ PROWADZIŁY KAMIENNE SCHODKI/. ELAZN POR CZ .

– Ludzie – obwieścił w końcu uchwycenie, proszę, pana prokuratora Burkharda.

Tum nie zareagował w sposób dostrzegalny. Chłopi i robotnicy znów stali jak pierwsi bez ruchu, milczący i groźni pod niebem, które oblekało się w pierwszy poblask zachodu. Latarnie uliczne chwiały się nad placem jak blade księżycy. Wsiowci byli zdecydowani dostać w swoje ręce człowieka, którego poczytywali za mordercę. Auta policyjne leżały wzdłuż tego ludzkiego nawału jak wielkie ciemne zwierzęta. Próbowały raz po raz oderwać się od ciemności, ledwo jednak motory zaczynały huczeć, już traciły ducha i milczyły zdławione. I ciemne szczyty wiejskich dachów, i rynek, i zbiegowisko ludzkie tchnęły przytępczo bezradności wobec wydarzeń dnia, jak gdyby to morderstwo miało zatruć.

– Ludzie – zaczął prokurator niepewnie i z cicha, sycząc, by o jednak każe jego śledzić – śledzić śladami wszystkimi. Zamordowano Greka Mosera. Nie wiemy, kto jest sprawcą mordu...

DALEJ MOWA PROKURATORA SIĘ NIE POSUNĘŁA.

– WYDAJCIE GO NAM!

Podniosły się piśnięcia, rozległy się gwizdy.

MATTHAI PRZYPATRYWA SIĘ TUMOWI JAK URZECZONY.

– Prędko, doktorze – polecił prokurator – niech pan telefonuje. Trzeba sprowadzić posiłki!

– To von Gunten już zamordował wysokiego, kościatego człowieka ze spaloną od słońca, od dawna nie goloną twarzą. W górach, nikogo innego w dolince nie było.

BYŁO CHŁOPKI, KTÓRY PRACOWAŁ W WZDŁUŻY W POLU.

Matthai wystąpił naprzód.

– LUDZIE – ZAWOŁAŁ – JESTEM MATTHAI, KOMISARZ POLICJI. JESTEŚMY GOTOWI WYDAĆ WAM HANDLARZA.

TO BYŁO TAK NIEOCZEKIWANE, ŻE ZAPANOWAŁA GŁOŚNA CISZA.

– ZWARIOWAŁ PAN? – SYKNAŁ WZBURZONY PROKURATOR MATTHAIEMU DO UCHA.

– Od niepamiętnych czas w s dz przest pc w w naszym kraju trybuna y, skazuj c ich, kiedy s winni, uwalniaj wi
cie teraz postanowili sami taki s d utworzy . Nie b dziemy tutaj badali, czy macie do tego prawo. Sami cie je sobie wzi li.

Matthai m wi jasno i wyra nie. Ch opi i robotnicy s uchali z uwag . Zale a o im na ka dym s owie. Komi-
nirz bra ich na serio, tote i oni go podobnie traktowali.

– Ale jednej rzeczy muszę od was da gn
dego innego trybuna u: sprawiedliwo ci. Bo przecie jest jasne, e mo emy wyda
dziemy przekonani, e pragniecie sprawiedliwo ci.

– CHCEMY JEJ! – KRZYKNAŁ KTO .

– SĄD WASZ SPE NI MUSI JEDEN WARUNEK, O ILE MA LO BY S D
SPRAWIEDLIWY. TEN WARUNEK TO NIEDOPUSZCZENIE DO KRZYWDZ CEGO WYROKU.
TEN WARUNEK I PRZEZ WAS POWINIEN BY ZACHOWANY.

– Zgoda – zawoła jeden z werkmajstr w cegielni.

– MUSICIE WIĘC ZBADA , CZY VON GUNTENOWI, JE LI SI I;O OBWINI O TO
MORDERSTWO, B DZIE WYMierzona sprawiedliwo , CZY TE STANIE MU SI
KRZYWDA. SK D SI WZI O TO PODEJRZENIE?

– Ten drab już raz siedzia kt ry z ch op w.

– To wzmaga podejrzenie, że von Gunten m g by zamordowa ni
d, e to robi .

– WIDZIAŁ EM GO W DOLINCE A PONOWNIE CH OP ZE SPALON OD
S O CA, ZARO NI T TWARZ .

– Niech no pan przyjdzie tu do nas – wezwał go Matthai.

CH OP SI ZAWAHA .

– Idźże, Heniek, id kto , nie b j si .

CH OP WSZED NA SCHODKI. CZU SI NIESWOJO. W JT Z PROKURATOREM COFN LI
SI DO SIENI GOSPODY, TAK E MATTHAI POZOSTA Z CH OPEM NA GANECZKU SAM.

– CZEGO PAN CHCE ODE MNIE? – SPYTAŁ CH HENRYK
BENZ.

MAGENDORFIANIE PATRZYLI Z WYT ON UWAG NA OBU. POLICJANCI ZASUN LI
ZN W NA MIEJSCE Swoje gumowe pa ki. I ONI R WNIE LEDZILI Z ZAPARTYM
ODDECHEM BIEG

wypadk w. M odzie wsiowa pow azi a na drabin stra ackiego wozu, kt ra by a
ustawiona na p pionowo.

– Panie Benz – zaczął komisarz – pan zaobserwował w drownego handlarza
von Guntena w dolince. Czy by sam?

– TAK JEST.

- Przy jakiej pan był pracy, panie Benz?
- SADIŁEM RAZEM Z RODZINĄ KARTOFLE.
- OD JAK DAWNAŚCIE TO ROBILI?
- Od godziny dziesiątej. Obiad jadę rwnie wraz z rodziną
wiadczy ch op.
- I NIKOGO POZA HANDLARZEM PAN NIE ZAUWAŻY ?
- NIKOGO. MOGĘ NA TO PRZYSIĄGAĆ CH OP.
- Ależ to bujda, Benz! – zawołał jeden z robotników – obok
twojego pola o godzinie drugiej.
- ZG OSILI SI JESZCZE DWAJ ROBOTNICY, KTÓRY O DRUGIEJ PRZEJECHALI PRZEZ OWA
DOLINKĘ NA ROWERACH.
- A ja jechałem przez dolinkę – ktory z
ch op w ku stojącym w górze, a im się wszystkim grzbiety
pochyliły. Setki nagich kobiet mogłyby ciebie mijać, a ty byś nawet oczu nie podniósł.
Powstał miech.
- A zatem handlarz wcale nie był sam w dolince – stwierdził Matthai. – Ale
szukajmy dalej. Równoległe z lasu prowadzi do miasta szosa. Czy kto tam kiedy prze-
chodzi ?
- Owszem, Fryc Gerber – przypomniał ktoś sobie.
- Tak, ja jechałem tamtędy – siłą nieruchawych
ch op na furze.
- O której godzinie?
- O DRUGIEJ.
- Z tej szosy prowadzi droga leśna do miejsca
ZAUWAŻY, PANIE
GERBER? 0
- Nie – mruknął ch op.
- A może dostrzegł pan parkującą auto?
- CH OP ZAWAHAŁ SIĘ.
- Coś mi się zdaje, – o to niepewnie.
- CZY PAN TO WIE NA PEWNO?
- Co tam takiego by o.
- MOŻE CZERWONY MERCEDES SPORTOWY?
- Może liwe.
- ALBO MOŻE SZARY VOLKSWAGEN?

- Także mo liwe.
- Odpowiedzi pana brzmią nies ychanie m y Matthai.
- No cóż, ja w og le na tym wozie na p spa ch dy przy takim upale zasypia.
- TO PRZY TEJ SPOSOBNOŚCI POZWOL SOBIE ZWR CI PANU UWAG , E NA PUBLICZNEJ DRODZE SPA BY NIE NALE A GO MATTHAI.
- Konie uważaj umaczy si Gerber.

Rozleg si og lny miech.

- Teraz zdajecie sobie spraw z trudno ci, z jakimi spotkacie si jako s zn a si bynajmniej na odludziu. O PI DZIESI T METR W STAMT D CA A RODZINA PRACOWA A W POLU. GDYBY LUDZIE CI BYLI BARDZIEJ CZUJNI, NIESZCZ CIE TO NIE MOG OBY SI BY O ZDARZY . ALE ONI PRACOWALI BEZTROSKO, PONIEWA NIE LICZYLI SI ANI TROCH Z MO LIWO CI TAKIEJ ZBRODNI. NIE ZAUWA YLI ANI NADEJ CIA DZIEWCZYNKI, ANI TE INNYCH PRZECHODNI W. HANDLARZ ZWR CI NA SIEBIE ICH UWAG , TO WSZYSTKO. ALE I PAN GERBER R WNIE DRZEMA SOBIE NA SWOJEJ FURZE I TERAZ NIE MO E Z O Y ANI JEDNEGO WA NEGO ZEZNANIA Z NIEZB DN DOK ADNO CI . TAK RZECZY STOJ . CZY TYM SAMYM PRZEST PSTWO HANDLARZA JEST DOWIEDZONE? MUSICIE DA SOBIE NA TO ODPOWIED SAMI. OSTATECZNIE TO, E ZAALARMOWA POLICJ , PRZEMAWIA NA JEGO KORZY . NIE wiem, jak zamierzacie post pi w roli s dzi w, ale powiem wam, jak my z policji by my post pili.

Komisarz zrobi pauz . Sta teraz znowu przed magendorfianami sam. Zaambarasowany Benz wycofa si w og ln ci b .

- KAŻDY PODEJRZANY OSOBNIK ZOSTA BY, BEZ WZGL DU NA ZAJMOWANE PRZEZE STANOWISKO, NAJSKRUPULATNIEJ ZBADANY. WSZELKIE MO LIWE POSZLAKI ZOSTA YBY BEZ RESZTY SPRAWDZONE. I NIE TYLKO TO, ALE POLICJA INNYCH KRAJ W ZOSTA ABY TE WPRAWIONA W RUCH, O ILE BY SI TO OKAZA O NIEZB DNE. WIDZICIE WI C, E WASZ TRYBUNA ROZPORZ DZA SK PYMI RODKAMI DO WYKRYCIA PRAWDY, GDY MY, PRZECIWNIE, DYSONUJEMY OLBRZYMIM APARATEM. A TERAZ POSTAN WCIE, JAK MA BY .

MILCZENIE. MAGENDORFCZYK W OGARN A ZADUMA.

- CZY NAPRAWDĘ WYDACCIE WERKMISTRZ.
- DAJĘ NA TO S A ODPOWIED

Tum ogarn o niezdecydowanie. Ludzie byli pod wra eniem s w komisarza. Prokurator denerwowa si . Rzecz mu si wydawa a niebezpieczna. Ale wnet ode tchn . Jeden z ch op w zawo a :

- ZABIERAJCIE GO!

I magendorfczyzy utworzyli w milczeniu przezy cie. Prokurator zapali z ulg swoje brissago.

– TO BYŁO DU E RYZYKO, PANIE MATTHAI. NIECH PAN SOBIE WYSTAWI, CO BY TO BY O, GDYBY PAN BY ZMUSZONY DOTRZYMA S OWA.

– WIEDZIAŁ EM NA PEWNO, Z ZIMN
KRWI KOMISARZ.

– MIEJMY NADZIEJĘ, E PAN NIGDY NIE DA OBIETNICZY, KT REJ BY PAN POTE M DOTRZYMA MUSIA Y PROKURATOR I SK ONI PRZY POMOCY DRUGIEJ JU ZAPA KI SWOJE BRISSAGO, BY LEPIEJ CI GN O. POTE M PO EGNA W JTA I POD Y DO OSWOBODZONEGO WOZU.

Matthai nie powraca razem z prokuratorem. Wsiad do wozu, w kt rym znajdowa si handlarz. Policjanci zrobili mu miejsce. Wewn trz du ego auta panowa upa . Wci jeszcze nie miano opuszcza szyb. Cho t um rozst pi si przed samochodami, ch opi wci jeszcze pozostawali na placu. Von Gunten skuli si za szoferem. Matthai przysiad si do niego.

– JESTEM NIEWINNY – ZAPEWNIŁ SZEPTEM VON GUNTEN.

– Oczywiście– potwierdził Matthai.

– NIKT MI NIE WIERZY – SZEPTAŁ VON GUNTEN – POLICJANCI TEŻ MI NIE WIERZ .

KOMISARZ POKIWA G OW .

– Pan to sobie tylko wyobraża.

HANDLARZ NIE DAWA SI USPOKOI .

– I pan mi też nie wierzy, panie doktorze.

W Z RUSZY . POLICJANCI SIEDZIELI W MILCZENIU. NA DWORZE ZAPAD A TYMCZASEM NOC. LAMPY ULICZNE RZUCA Y Z OCISTE WIAT A NA ZASTYG E TWARZE. MATTHAI WYCZUWA NIEUFNO , KT RA ZEWSZ D OSACZA A HANDLARZA, NASUWAJ CE SI PODEJRZENIE. AL MU SI GO ZROBI O.

– JA PANU WIERZ C TO ZDA SOBIE
SPRAW , E SAM TE NIE BY CA E PAN JEST
NIEWINNY.

PIERWSZE DOME MIASTA ZBLI A Y SI .

– Będzie pan jeszcze musia by

Pan jest naszym g wnym wiadkiem.

– ROZUMIEM – WYMAMROTAŁ HANDLARZ, A POTE M POWT RZY
MI NIE WIERZY!

– Nonsens.

ALE HANDLARZ POZOSTA PRZY SWOIM.

– Wiem, że fak jest – rzekł prawie niedos yszalnie, po czym wpatrzy si dr two w czerwone i zielone reklamy wietlne, kt re jak upiorne gwiazdozbiory rzuca y

teraz swoje wiat a do sun cego r wnomiernie uuta.

Te oto wydarzenia zameldowano mi przy ulicy Koszarowej, kiedy wróciłem z Berna po pieszny pociąg o dziewiętnastej trzydzieci. Chodzi o o trzeci już wypadek zamordowania dziecka. Na dwa lata przedtem zamordowano brzytwą dziewczynkę w kantonie Schwyz, a przed pięćdziesięciu laty w kantonie Glarus.

Kazałem sobie przyprowadzić handlarza. Był to czterdziestoletni, małego wzrostu, niezdrowej tuszy. Zazwyczaj był zapewne gadatliwy i z tupetem, teraz jednak wyglądał jak kniopy. Fakty, jakie poda, zdały się zrazu przejrzyste. Leżał rzekomo na skraju lasu, po zdjęciu obuwia i postawieniu swego kramarskiego kosza na murawie. Zamierzał jechać do Magendorfu, by tam zobaczyć swego

syna, który od listonosza, którego znał, dowiedział się, że Wegmüller jest na urlopie i że zastępuje go Riesen. Zaczynał się więc wahać i legł na trawie; nasi młodzi policjanci ulegają przeważnie przystępom gorliwości, znał tych panów dobrze. Zdrzemnął się na powrót. Przed nim leżała dolinka, zacieniona przez las i przecięta szosą, którą obsługiwała opaska rodzina z biegającym dokoła psem. Posiłek w oberży „Pod Niedwiedziem” był luksusowy: zimne mięso na sposób berneński i butelka twannera. On, von Gunten, kochał się w obfitym jedzeniu, dlatego na to rodzki, bo mimo swego wyglądu, kiedy wchodził po kraju nieogolony, zaniedbany i obdarty, jest jednym z tych wędrownych handlarzy, co zarabiają i mają coś niecoś od obojga. Do tego poszła ku doświadczeniu

cała burza, porywy wiatru upiły go do reszty. Później jednak miało miejsce budzenie, które go krzyk, przeraźliwy krzyk małej dziewczynki, zdawało mu się słyszeć, gdy na wpół obudzony rozejrzał się po dolince, a w polu obsługiwała przez chwilę ze zdziwieniem nadsłuchiwała obiegających w kółko

cią do swojej ZGARBIONEJ POSTAWY. „JAKI O MU PRZEZ GŁÓWĘ WYKŁADKA.” SKŁADEMO NA BY O WIEDZIE ! TA WYKŁADKA GO USPOKOIŁA. DRZEMA SOBIE DALEJ, PO CHWILI JEDNAK OBUDZIŁO JEGO CZUJNOŚCIĄ I MIERTELNE UCISZENIE W PRZYRODZIE I RAPTEM SPOSTRZEŻENIEM KOWICIE JUŻ TERAZ ZACHMURZONE NIEBO. OBUŚCZYM PRÓCZ, ZAPAKOWAŁ KOSZ, WCIĄCZUJĄC SIĘ NIESWOJO I NASTAWIONY NIEUFNIE, BO MIAŁ JEDNAK W PAMIĘCI WZGLĘDOWY PTASI KRZYK. POSTANOWIŁ NIE ZACZEPIAĆ KIESIENIA I ZOSTAWIĆ MAGENDORF W SPOKOJU, TYM BARDZIEJ BYŁA TO ZAWSZE I TAK NIERENTOWNA DZIURA; ZAMIERZAŁ POWRÓCIĆ DO MIASTA. OBRACIŁ SIĘ JAKO NAJKRÓTSZĄ DO STACJI KOLEJOWEJ I TAM NATKNIĘŁ NA TRUPA ZAMORDOWANEJ DZIEWCZYNKI. POGNAŁ ZARAZ DO GOSPODY „POD JELENIEM” W MAGENDORFIE I ZATELEFONOWAŁ DO MATTHAIE-KO, NIC NIE MIAŁ WSIOWYM Z OBAWY POSZCZEGÓLNOŚCI.

TAKIE BYŁO JEGO ZEZNANIE. KAZAŁ GO WYPROWADZIĆ, LEŻ NA RAZIE NIE

PU CI EM WOLNO. CA KIEM POPRAWNE MO E TO I NIE BY O, BO PROKURATOR NIE ZARZ DZI ARESZTOWANIA, NIE MIELI MY JEDNAK CZASU NA CEREKIELE. CHO OPOWIE VON GUNTENA WYDAWA A MI SI ZGODNA Z PRAWILI), TRZEBA J BY O PODDA REWIZJI. POZA TYM VON GUNTEN BY JU S DOWNIE KARANY. OW ADN MN Z Y HUMOR. SPRAWA NIE PODOBA A MI SI , WESZ A CA A NA JAKI FA SZYWY TOR, NIE WIEDZIA EM PISMO NOSEM. ZASZY EM SI WI C W „ KRAMIKU", JAK ZWYK EM NAZYWA MA , ZADYMION KLITK OBOK MEGO OFICJALNEGO GABINETU, KAZA EM SOBIE PRZYNI E BUTELK EH&TEAUNEUF DU PAPE Z RESTAURACJI W POBLI U SIHLSKIEGO MOSTU I WYPI EM KILKA KIELISZK W. NIE ZMILCZ , E W TYM POKOJU PANOWA ZAWSZE OKROPNY NIE AD; KSI KI I AKTA LE A Y PRZEMIESZANE, Z ZASADY ZRESZT , BO MOIM ZDANIEM, JEST OBOWI ZKIEM KA DEGO TWORZY DKOWANYM PA STWIE MULE JAKBY WYSEPKI NIE ADU. POTE M KAZA EM SOBIE PODA ZDJ CIA. BY Y POTWORNE. P NIEJ PRZESTUDIOWA EM UWIP . NIKT BY NIE POTRAFI WYBRA MIEJSCA ZBRODNI I WI K SZ PERFIDI . TEORETYCZNIE NIE MO NA BY O WY- DEDUKOWA , CZY MORDERCA ZJAWI SI Z MAGENDORFU, CZY KT REJ Z OKOLICZNYCH WIOSEK LUB Z MIASTA I CZY PORUSZA SI PIECHOT , CZY KOLEJ . WSZYSTKO BY O R WNIE PRAWDOPODOBNE. ZJAWI SI MATTHAI.

– PRZYKRO MI – POWITAŁEM GO – ŻE PRZEZ OSTATNI DZIE , JAKI PAN U NAS BAWI, MUSI SI PAN ZAJMOWA TAK SMUTN HISTORI .

– Tak to bywa w naszym zawodzie, panie komendancie.

– KIEDY OGLĄDAM ZDJ CIA Z TEGO MORDERSTWA, MAM OCHOT POS A TEN CA Y NASZ ZAW D DO DIAB EM WSUWAJ C Z POWROTEM FOTOGRAFIE DO KOPERTY.

Z o mnie bra a i mo e nie ca kiem potrafi em nad ni zapanowa . Matthai by e pozostaj przy tym mniej po- prawnym, ale sympatyczniejszym okre czenie by o mi w danej chwili bardzo nie na r k .

Zdawa si odgadywa moje my li.

– Sądz , e najlepiej by oby powierzy spraw - .

Oci ga em si z tym. By bym si z miejsca zgodzi na w wniosek, gdyby nie chodzi o o morderstwo seksualne. Przy ka dej innej zbrodni mamy atwiejsze zadanie. Wystarczy zastanowi si nad pobudkami: brak pieni dzy, zazdro kr g podejrzanych si zacie nia. Ale przy morderstwie seksualnym ta metoda nie ma sensu. Kto podr uj cy w interesach mo e spojrzec dziewczynk czy ch opaka... Wysi wiadk w, ani czyjej wieczora ju siedzi w domu, mo e w Lozannie, mo e w Bazylei, gdziekolwiek, a my pozostajemy bez jakiegokolwi k punktu zaczepienia. Docenia em Hen- ziego jako t giego urz dnika, ale zdawa o mi si , e mu brak do wiadczenia.

MATTHAI NIE PODZIELA MOICH W TPLIWO CI.

– Od trzech lat słu y pod moj komend wiad-

... j fach. Nie mog sobie Wyobrazi lepszego nast pcy.
Spe ni swoje zadanie tak, jak ja bym sam to zrobi . A zreszt , jutro b d

POLECI EM WEZWA HENZIEGO I KAZA EM, BY WRAZ K WACHMISTRZEM
TREULEREM UTWORZY CI LEJSZY WYDZIA MORDERSTW. UCIESZY SI . MIA A TO
BY JEGO PIERWSZA „ NUMODZIELNA SPRAWA”.

– Może pan podzi kowa em i spyta em o
nastr j personelu. Bo my u g ry byli my zbici z tropu, bez punkt w zaczepienia, IH<Z
wynik w, by o wi c rzecz wa n , by podkomendni nie wyczuli naszej niepewno ci.

-- EKIPAS DZI, E JU TRZYMAMY MORDERC Y HENZI.

- Handlarza?

Nie da si tak ca kiem wykluczy podejrze co do niego. Von Gunten ju raz
pope ni przest pstwo obyczajowe.

– Z czternastolatką – przerwał Matthai. – To co Innego.

- ZASTOSUJMY DO TEGO CZ OWIEKA PYTANIA KRZY
HENZI.

NIE MA SI CO Z TYM SPIESZY ¹ S DZ , EBY VON
GUNTEN MIA CO WSP LNEGO Z MORDERSTWEM. JEST TYLKO NIESYMPATYCZNY,
ST D OD RAZU PODPADA PODEJRZENIU. ALE TO, MOI PANOWIE, JEST WZGL D
SUBIEKTYWNY, NIE ZA KRYMINALISTYCZNY, WI C HI I; NIM NIE POWODUJMY BEZ
G BSZEJ RACJI.

Nu tym rozstali my si z tymi panami, ale humor inl si nie poprawi .

Pu cili my w ruch ca y nasz rozporz dzalny zesp . T J samej nocy i nazajutrz
kazali my rozpytywa po ywiH ach, czy nie stwierdzono w jakim wozie lad w krwi,
p niej o to samo wypytywano pralnie. Poza tym nknntrolowano alibi wszystkich tych
os b, kt re kiedykolwiek trafi y pod wiadome paragrafy. Nasi ludzie
SPENETROWALI NIE DO E Z PSAMI, ALE Z APARATUR DO WYKRYWANIA MIN, LAS
POD MAGENDORFEM, GDZIE MORDERSTWO ZOSTA O POPE NIONE. SZUKAJ C LAD W
PRZETRZ SN LI ZARO LA, PRZEDE WSZYSTKIM W NADZIEI ZNALEZIENIA NARZ DZIA
MORDU. PRZEJRZELI SYSTEMATYCZNIE KA DY METR KWADRATOWY, ZESZLI W D DO
PAROWU, ZBADALI POTOK. ZNALEZIONE PRZEDMIOTY ZOSTA Y ZGROMADZONE, A LAS
WYEZE- SANO A PO SAM WIE .

BRA EM I JA R WNIE UDZIA W POSZUKIWANIACH W MAGENDORFIE, CZEGO
ROBI NIE ZWYK EM. MATTHAI TE WYDAWA SI ZANIEPOKOJONY. BY O TO W
ZDECYDOWANIE PRZYJEMNY WIOSENNY DZIE , LECIUSIE KI, BEZ HALNIAKA, CO
POZOSTA O JEDNAK BEZ WP YWU NA NASZ PONURY NASTR J. HENZI PRZES UCHIWA
W „ JELENIU” CH OP W I ROBOTNIK W FABRYCZNYCH, A MY WYBRALI MY SI Z
WIZYT DO SZKO Y. SKRACAJ C SOBIE DROG POSZLI MY PRZEZ K , GDZIE ROS Y
R WNIE DRZEWA OWOCOWE. NIEKT RE Z NICH STA Y W PE NYM KWIECIU. Z
BUDYNKU SZKOLNEGO DOLATYWA PIEW:

We e mnie wi c za r k i prowad mnie...

BOISKO PRZED SZKO BY O PUSTE. ZAPUKA EM DO DRZWI KLASY, SK D

DOBIEGA Y D WI KI CHORA U, I WESZLI MY.

piewa y dzieci, dziewcz ta i ch opcy od lat sze ciu do o miu. Trzy najm odsze klasy. Dyryguj ca nauczycielka opu ci a r ce i powita a nas nieufnym spojrzeniem. Dzieci przerwa y piew.

- Czy mam przyjemnoś ć z pann Krumm?

- Co proszę?

- CZY TO PANI BYŁ A NAUCZYCIELK GRETKI MOSER?

- CZEGO PAN SOBIE ODE MNIE ŻYCZY?

Panna Krumm zbli a a si do czterdziestki, by a chuda, o wielkich, pe nych rozgoryczenia oczach.

OBJA NI EM, KTO JESTEM, PO CZYM ZWR CI EM SI DO DZIECI:

- Pochwalony!

. DZIECI PATRZY Y NA MNIE Z CIEKAWO CI .

-r- Na wieki wiek y.

- JAKĄ PI KN PIE PIEWA Y CIE,

- Ćwiczmy chora - ni a nauczycielka.

W PIASKOWNICY WIDA BY O GOTOW WYSP ROBINSONA. NA CIANACH WISIA Y RYSUNKI DZIECI.

- JAKAŻ ONA BY SPYTA EM DO NIE MIA O.

- KOCHALIŚMY J A NAUCZYCIELKA.

- JAKI TO BYŁ RODZAJ INTELIGENCJI?

- Było to dziecko o niezmiernie bujnej wyobra ni.

Zawaha em si znowu.

- Musiał bym zada kilka pyta dzieciom.

- PROSZĘ BARDZO.

Wyst pi em przed klas . Dziewczynki nosi y przewa nie jeszcze warkocze i kolorowe fartuszki.

- PEWNOŚEIE S YSZA O (JRETK MOSER. JA JESTEM KOMENDANTEM POLICJI, TO JEST TYLE, CO U O NIERZY W WOJSKU KAPITAN. MAM ZA ZADANIE AZUKA CZ OWIEKA, KT RY ZABI GRETK . B D M WI DO WAS NIE JAK DO DZIECI, ALE JAK DO LUDZI DOROS YCH. CZ OWIEK, KT REGO POSZUKUJEMY, JEST CZ OWIEKIEM CHORYM. W.SZYSCY LUDZIE, KT RZY PODOBNE RZECZY POPE NIAJ , TO LUDZIE CHORZY. A PONIEWA S CHORZY, USI UJ ZWABI DZIECI DO JAKIEJ KRYJ WKI, EBY JE TAM POKALECZY , DO INNU CZY DO PIWNICY, CZY DO JAKIEGOKOLWIEK INNEGO UKRYTEGO MIEJSCA. TO SI BARDZO CZ STO ZDARZA, MAMY TAKICH WYPADK W PONAD DWIE CIE ROCZNIE W SAMYM TYLKO NASZYM KANTONIE. A NIEKIEDY ZDARZA SI , E PODOBNI LUDZIE DZIECKO TAK CI KO OKALECZ , E ONO MUSI UMRZE , JAK TO SI STA O Z GRETK . DLATEGO TRZEBA

TAKICH LUDZI ZAMYKA . S ZBYT NIEBEZPIECZNI, BY ICH MO NA BY O ZOSTAWI NA
WOLNO CI. ZAPYTACIE MNIE PEWNO TERAZ, DLACZEGO MY ICH NIE ZAMYKAMY
NAPRZ D, ZANIM PRZYTRAFI SI TAKIE NIESZCZ CIE JAK Z GRETK . ANO DLATEGO,
II< NIE MA SPOSOBU ROZPOZNA TAKICH CHORYCH. S ONI CHORZY WEWN TRZ, NIE
NA WIERZCHU.

Dzieci s ucha y z zapartym oddechem, a ja m wi em dalej:

– Musicie mi dopomóc. Musimy znale cz owieka, kt ry zabi Gretk Moser,
bo inaczej zn w zabije jak dziewczynk .

STA EM JU TERAZ OTOCZONY DZIE MI.

– Czy Gretka opowiadała kiedy, e j jaki obcy cz owiek zaczepi ?

Dzieci milcza y.

– CZYŚCIE W OSTATNICH CZASACH ZAUWA Y Y U GRETKI CO OSOBLIWEGO?

DZIECI O NICZYM TAKIM NIE WIEDZIA Y.

– Czy w ostatnich czasach Gretka posiadała co , czego dawniej nie miała?

DZIECI NIE ODZYWA Y SI .

– KTO BYŁ NAJLEPSZ PRZYJACI K GRETKI?

– JA – SZEPNĘŁA JEDNA Z DZIEWCZYNEK.

By o to male stwo o ciemnych w osach i piwnych oczach.

– JAKŻE SI EM.

– URSZULA FEHLMANN.

– A więc ty by a przyjaci k Gretki, Urszulko?

– SIEDZIAŁY MY OBOK SIEBIE.

DZIEWCZYNKAM WI A TAK CICHO, E MUSIA EM SI DO NIEJ SCHYLI .

– I TOBIE TAKŻE NIC SI NIE RZUCI O W OCZY?

– Nie.

– CZY GRETKA Z NIKIM SIĘ NIE SPOTYKA A?

– OWSZEM, SPOTYKAŁA SI Z KIM .

– Z kim mianowicie?

– TO NIE BYŁ CZ OWIEK.

ZDZIWI A MNIE TA ODPOWIED .

– CO CHCESZ PRZEZ TO POWIEDZIEĆ, URSZULKO?

– Ona spotykała si ni a dziewczynka.

– Z WIELKOLUDEM?

– Tak – potwierdziła.

– CHCESZ POWIEDZIEĆ, E TO BY BARDZO DU Y CZ OWIEK?

– Nie. Mój ojciec jest bardzo du y, ale to nie wielkolud.

- Jakiegoż on wi c by wzrostu?
- BYŁ JAK G WIADCZY NIE CZARNY.
- - Czy ten wielkolud Gretce co podarowa em si dociec.
- TAK.
- Cóż takiego?
- PODAROWAŁ JEJ MA E JE YKI.
- Jak to języki? Co przez to rozumiesz, Urszulko? – Byłem bezradny.
- WIELKOLUD BYŁ CA Y WYPCHANY MA YMIJE A MA A.
- Przecie to nonsens. Urszulko. Sk d by si u wielkoluda wzi y je a em.
- BO TO BYŁ W A NIE TAKI WIELKOLUD OD JE YK A PRZY SWOIM DZIEWCZYŃKA.

Wr ci em do pulpitu nauczycielskiego:

- Ma pani rację, droga pani, Gretka istotnie musia a by obdarzona bujn fantazj .
- TO BYŁO TAKIE POETYCZNE DZIECKO – ODPARŁA NAUCZYCIELKA I WPATRY A SI W PRZESTRZE TERAZ WICZY Z NIMI DALEJ TEN CHORA NA JUTRZEJSZY POGRZEB. DZIECI GO JESZCZE NIE CA KIEM UMIEJ .

I podda a ton:

„ WE EMNIE WI CZAR K I PROWAD PIEWA Y SI DZIECI ZNOWU.

Przes uchiwanie magendorfczyk w w „ " – gdzieś my zlurowali Henziego, r wnie nic nowego nie przynios o. Ku wieczorowi powr cili my do Zurychu z pustymi r koma, tak jake my wyjechali rano. Wracali my w milczeniu. Za du o wypali em cygar i za du o wypie em miejscowego czerwonego wina. Matthai siedzia w g bi auta r wnie pos pny jak ja i dopiero niedaleko R merhofu przem wi .

- NIE SĄDZ BY KTO Z MAGENDORFU. TO Z PEWNO CI TEN SAM SPRAWCA, CO W KANTONIE SANKT GA LEN I KANTONIE SCHWYZ. MORDERSTWO ZOSTA O POPE NIONE W ZUPE NIE TAKI SAM SPOS B. UWA AM ZA PRAWDOPODOBNE, E TEN CZ OWIEK MA SWOJ BAZ OPERACYJN W ZURYCHU.

- Możliwe – zgodziłem si .
- Zapewne wchodzi w grę automobilista, mo e komiwoja er. Ch op nazwiskiem Gerber widzia przecie auto parkuj ce w lesie.

- Gerbera wziąłem dzi osobi y , e w a ciwie spa zbyt mocno, by m c cokolwiek spostrzec.
ZAMILKLI MY PONOWNIE.

– Przykro mi, że muszę opuścić pana w trakcie nie wyjątkim
Matthai niezbyt pewnym gościem.
rzeczdem dotrzyma muszę.

– PAN ODLATUJE JUTRO?

– O trzeciej po południu, przez Ateny.

– ZAZDROSZCZĘ PANU, PANIE DROGI – POWIEDZIAŁEM CA
WNIE WOLA BYM BYĆ SZEFEM POLICJI U ARABÓW W NIEMCUTW W ZURYCHU.

Potem odwiozłem go do hotelu „Urban”, gdzie od lat mieszka, i poszedłem do restauracji „Kronenhalle” posili się pod obrazem pędzla Miro. To jest moje stałe miejsce. Zawsze tam siaduję i zaczynam od voiture¹.

KIEDY JEDNAK OKOŁO DZIESIĘTEJ ZASZEDŁEM JESZCZE NA KOSZAROWY I PRZY TEJ
SPOSOBNOŚCI MIJAJEM DRZWI DAWNEGO GABINETU MATTHAIEGO, SPOTKAŁEM
HENZIEGO. OPUŚCIŁ MAGENDORF JUŻ W POŁUDNIU I NAWET MNIE TO W WŁASNY
ZDZIWIŁO, ALE SKORO MU RAZ ZLECIŁEM SPRAWĘ TEGO MORDERSTWA, TO JUŻ
TRZYMAŁEM SIĘ ZASADY NIEWCIUBIANIA NOSA. HENZI TO BERNECZYK, CZYLI
AMBITNY, A MIMO TO POPULARNY W RÓDZESPOŁOŻENIACH SIĘ Z HOTTINGE-
¹ Yoiture, dosłownie powóz (francuski) – kach, na których
przetacza się z miejsca na miejsce różne potrawy gotowe, do wyboru, na przykład
zakuski.

Przebieg, przeszedł z partii socjalistycznej do liberałów i znajdował się na najlepszej
drodce do kariery. Mówi o tym tylko nawiasem; dzięki tak jest u Niezależnych.

– Facet wciąż się jeszcze nie chce przyznać Henzi.

– KTO TAKI? – ZDZIWIŁEM SIĘ PRZYSTAJ
PRZYJAZNA?

– VON GUNTEN.

Byłem zaskoczony.

– BADANIE TRZECIEGO STOPNIA?

– Przeszczujemy go przez całą popołudniową godzinę, jeśli
okazałoby się konieczne, będziemy go badali i przez noc. Teraz go Treuler obrabia. Wyszedłem
tylko, żeby odsapnąć.

– Muszę się temu jednak przyjrzeć, jestem zaintrygowany i wszedłem do
dawnego gabinetu Matthaiego.

Handlarz umieścił się na stołku biurowym bez poręczy, Treuler zaś przysunął sobie
krzesło do biurka po Matthaim. Stłoczył się za oparcie dla lewego okna, nogi
złożył jedna na drugą, a głowę podtrzymywał lewą dłoń. Palił przy tym papierosa.
Feller protokołował. Henzi i ja pozostaliśmy na stojąco przy drzwiach, tak jak von
Guntent, zwrócony plecami, nas nie zauważył.

– Ja tego nie zrobiłem, panie wachmistrzu – mamrotał niewyraźnie handlarz.

– Ja też tego nie twierdzę. Powiedziałem tylko, że mogę być przy tym zrobie

, czy nie, to się panię oka e. Zaczniemy od pocztku. A więc rozoye się wygodnie na skraju lasu?

– TAK JEST, PANIE WACHMISTRZU.

– I spał ?

– Słusznie, panie wachmistrzu.

– DLACZEGO? CHCIAŁ PRZECIE IĆ DO MAGENDORFU.

– BYŁ EM ZNUŻONY, PANIE WACHMISTRZU.

– TO DLACZEGOŚ WYPYTYWA LISTONOSZA O POSTERUNKOWEGO W MAGENDORFIE?

– ŻEBY SI POINFORMOWAĆ, PANIE WACHMISTRZU.

– Cóże chciał takiego wiedzie ?

– Patent miałem przedawniony. Chciałem się więc dowiedzie, jak wyglądały we wsi stosunki policyjne.

– I JAKŻE WYGLĄDAŁY TE POLICYJNE STOSUNKI?

– Dowiedziałem się, że w Magendorfie urządzone zastępcą, więc bałem się, panie wachmistrzu.

– Ja też jestem zastępcą dzierżawcą, boisz?

– Tak jest, panie wachmistrzu.

– Z TEGO POWODU WIĘC ODECHCIAŁ O CI SIĘ IĆ DO WSI?

– TAK JEST, PANIE WACHMISTRZU.

– To wcale niezła wersja tej historii – z uznaniem powiedział Treuler – ale może istnieje jeszcze inna wersja, o tyle lepsza, a prawdziwa.

– Powiedziałem prawdę, panie wachmistrzu.

– A może raczej chciał dowiedzie się od listonosza, czy w pobliżu jest policjant, czy tego nie ma?

HANDLARZ SPOJRZAŁ NIEUFNIE NA TREULERA.

– Co pan chce przez to powiedzie, panie wachmistrzu?

– No – ciągnął Treuler nie spiesząc się, a chciał przede wszystkim upewnić się u listonosza, czy w Rudzikowej Dolince nie ma policji, bo czekał na tę dziewczynkę.

Handlarz wytrzeszczył na Treulera przerażone oczy.

– • Ależ ja tej dziewczynki w ogóle nie zna

był zna, nie mógłbym tego zrobić. Nie byłem przecie sam w tej dolince. Przecie na polu znajdowała się cała chłopska rodzina. Ja nie jestem mordercą. Niech mi pan wierzy.

- Ależ ja ci wierzę, że ty i twoja historia sprawdzisz, sam to powiniene zrozumieć. Opowiedz mi, co się po tym odpoczynku wszedło do lasu, żeby potem wrócić do Zurychu, czy nie tak?

- Bo nadszedła burza, więc chciałem sobie skrócić drogę do handlarza.

- I WTEDY NATKNAŁE SIĘ NA TRUP ?

- TAK, WTEDY.

- Nie dotykając go?

- SŁUSZNIE, PANIE WACHMISTRZU.

Treuler milczy. Nawet nie widząc twarzy handlarza wyczuwa jego strach. Chciał mi go przytulić, coraz bardziej jednak rosła takłość i we mnie pewność jego winy, może po prostu dlatego, że pragnęliśmy znaleźć wreszcie przestępcę.

- Zabraliśmy ci ubranie, von Gunten, a daliśmy ci inne. Czy domyślasz się, kto to Treuler.

- Nie wiem, panie wachmistrzu.

- NA TO, ŻEBY PRZEPROWADZIŁ PRÓBĘ BENZYDYNÓW. CZY WIESZ, CO TO JEST PRÓBA BENZYDYNÓW ?

- Nie, panie wachmistrzu – głos handlarza brzmi bezradnie.

- Jest to analiza chemiczna służąca do stwierdzenia ładunku objętego Treuler z upiornym dobroduszem – no ci powiedzmy na twojej odzieży krew, brachu. I to krew tej dziewczynki.

- Bo... ja się o tego trupa potknęłam, kiedy przechodziłam przez korytarz, twarz w drzwiach.

- I oczywiście zamłczał o tym wobec nas tylko ze strachu?

- TAK JEST, PANIE WACHMISTRZU.

- I teraz znów ci mamy wierzyć ?

- To nie ja ją zamordowałam.

- Matthaiego, on wie, że ja prawdę mówię. Proszę pana...

- DOKTOR MATTHAI NIC JUŻ NIE MA Z TĄ SPRAWĄ WSPÓLNEGO.

- DO JORDANII – WYSZEPKAŁ VON GUNTEN – TEGO NIE WIEDZIAŁEM. – WLEPIŁ OCZY W ZIEMIE I UMILKŁ. W POŁOŻENIU KORYTARZA KROKOWAŁA MORTWA CISZA: SŁYCHAŁYŚMY GO.

Tu wchodził Henzi. Najpierw zamknął okno, potem usiadł za biurkiem Matthaiego, uprzejmie i przyjacielski, tylko że przesunął lampy biurkowe tak, by światło padało na handlarza.

– Niech się pan nie przejmuj, panie von Gunten – powiedział z wyszukaną grzecznością ci czy, usiujemy tylko dowiedzieć się prawdy. Dlatego zmuszeni jeste my udać się do pana. Jest pan głównym wiadkiem, musi więc pan nam pomóc.

– TAK JEST, PANIE DOKTORZE – ZGODZIŁ SIĘ HANDLARZ, JAKBY ZNAW NABIERAJĆ OTOUCHY.

HENZI TYMCZASEM NAPYCHA SOBIE FAJKA.

– CO PAN PALI, PANIE VON GUNTEN?

– Papierosy, panie doktorze.

– TREULER, PROSZĘ MI DAĆ PAPIEROSA.

HANDLARZ POTRZYSN PRZECZ CO GÓW. OCZY WLEPI W ZIEMI, WIAT O GÓW O LEPIA O.

– Może ta lampa panu przeszkadza? – zatroszczył się uprzejmie Henzi.

– Świeci mi wprost w oczy.

HENZI PRZEKRÓCIŁ ABĄ URŁAMPY INACZEJ.

– Czy tak – lepiej?

– LEPIEJ – CICHO ODPOWIEDZIA VON GUNTEN. W GÓWIE JEGO ZNAŁBY O WDCZNO.

– Niech mi pan powie, panie von Gunten, jakim własnosciami znaw Henzi.

– OWSZEM, RÓWNIEM I WI TO OCI GAJ C SI. NIE WIEDZIA, DO TZEGO TO PYTANIE MA PROWADZIĆ.

– A poza tym?

– MAM SZNUROWADŁA, PANIE DOKTORZE. SZCZOTECZKI DO ZŁOŻENIA. PASTA DO ZŁOŻENIA. MYDŁO. KREM DO GOLENIA.

– Nożyki do golenia te?

– Także i nożyki, panie doktorze.

– Jakiej marki?

– MARKI GILLETTE.

– Czy to wszystko, panie von Gunten?

– MYŚLE TAK, PANIE DOKTORZE.

– Pięknie. Zdaje mi się jednak, że pan o czymś zapomnia. majstrowa, a potem jakby mimochodem dodać, a potem jakby drobiazgi, panie von Gunten, Zrewidowali my pański koszt dokumentnie.

HANDLARZ MILCZA.

- No?!

- NOŻE KUCHENNE, PANIE DOKTORZE - POWIEDZIAŁ HANDLARZ CICHY I ZE SMUTKIEM. KROPLE POTU ZAŁY NI MU NA KARKU. HENZI WYPUSZCZA KŁYBY DYMU JEDEN ZA DRUGIM, SPOKOJNIE, POGODNIE. WYGLĄDA NA UPRZEJMEGO MŁODEGO CZŁOWIEKA, BIAŁA OD NIEGO WŁOCZYLIWO.

- DALEJ, PANIE VON GUNTEN, CO JESZCZE POZA KUCHENNYMI NOŻAMI?

- Brzytwy.

- DLACZEGO OCIAŁGA SIĘ PAN Z TYM WYZNANIEM?

Handlarz milczy. Henzi na pozór bezmyślnie wyciągnął rękę, jakby chciał w manipulować przy lampie. Cofnął jednak dłoń, gdy von Gunten się wzdrygnął. Wachmistrz Treuler wpatrywał się nieruchomo w handlarza, paląc przy tym jednego papierosa za drugim. Do tego dochodził dym z fajki Henziego. Od powietrza w pokoju można było uduśnić. Najchętniej by był pootwierał okna. Ale zamknął te okna należało do metody.

- DZIEWCZYNIKA ZOSTAŁA ZARANIŁA BRZYTWĄ TERAZ DYSKRETNIE I JAKBY PRZYPADKOWO HENZI. MILCZENIE. HANDLARZ SIEDZIAŁ NA SWOIM STOŁKU SKŁADAJĄCY, ZMARTWIANY.

- Drogi panie - podjął na nowo rozpartym w krześle

po mojemu. Nie potrzebujemy rzucać sobie piaskiem w oczy. Ja wiem, że pan to morderstwo popełnił. Ale wiem też, że pan jest tym UCZYNIKIEM RÓWNIEM PRZERAŻONY JAK JA, JAK MY WSZYSCY. CO PO PROSTU PANA OPÓŃDZAŁO, STAŁ SIĘ PAN NAGLE DZIKĄ BESTIĄ, NAPADŁ PAN I ZABIŁ DZIEWCZYNIKA, CHOĆ PAN TEGO NIE CHCIAŁ. NIE MÓGŁ PAN POSTĄPIĆ INACZEJ, CO SILNIEJSZEGO NIEM PAN PANA DO TEGO PCHANO. A GDY PAN OPRZYTOŃNIAŁ, PRZERAZIŁ SIĘ PAN BEZGRANICZNIE. POBIEGŁ PAN DO MAGENDORFU, BO CHCIAŁ SIĘ PAN ODDAĆ W RĘCE SPRAWIEDLIWY CI, TERAZ JEDNAK ODESZŁA PANA ODWAGA. ODWAGA DO PRZYZNANIA SIĘ. MUSI PAN ODZYSKAĆ ODWAGĘ, PANIE VON GUNTEN. I MY CHCEMY PANU W TYM DOPOMÓC.

Henzi skończył. Handlarz zachwiał się z lekka na swym stołku. Wyglądało, że się wnet załamie.

- Ja dobrze panu życzę

- Jestem zmęczony - jęknął handlarz.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni

nam sprowadzi kawę, a później piwa. Równie i dla gościnności u nas pana von Gunten. My tu, w policji kantonowej, jesteśmy fair.

- Jestem niewinny, panie komisarzu - szeptał

Zadzwoń telefon, przyjdź go Henzi, wysłuchaj z uwagą, po obydwu suchawkach i

u miech si .

– NIECH NO MI PAN POWIE, DROGI PANIE, CO PAN WŁA CIWIE JAD
BEZ PO PIECHU.

– ZIMNE MIĘSO NA SPOS B BERNE SKI.

– Pięknie. I co jeszcze?

– NA DESER – RÓŻ NE SERY.

– Jakie? Ementalski? Gruyerski?

– TYLŻYCKI I GORGONZOL POT ZALEWAJ CY MU
OCZY.

– Wędrowni handlarze wietnie si sto uj y A nic poza
tym pan nie jad ?

– NIC.

– Na pana miejscu dobrze bym się zastanowi go Henzi.

– Jeszcze jadłem czekolad sobie von Gunten.

– Widzi pan, a więc jednak co mu zach cają co g ow
pan jad ?

– NA SKRAJU LASU – POWIEDZIAŁ HANDLARZ SPOGL DAJ C NIEUFNIE I ZE
ZM CZENIEM NA PYTAJ CEGO.

Porucznik zgasi lamp na biurku. Ju tylko lampa pod sufitem o wietla a pe en
dymu pok j.

– OTRZYMAŁEM W A NIE SPRAWOZDANIE INSTYTUTU MEDYCYNY S DOWEJ,
PANIE V GUNTEN – POWIEDZIAŁ JAKBY Z POLITOWANIEM. – ZROBIONO SEKCJĘ I W
O DKU DZIEWCZYNKI ZNALEZIONO CZEKOLAD .

Teraz i ja r wnie by em przekonany o winie handlarza. Przyznanie si jego to ju
tylko kwestia czasu. Skin em Henziem u g ow i opu ci em biuro.

Nie omyli em si do mnie o

si dmej Henzi. Handlarz si przyzna . O smej ju by em w biurze. Henzi wci

jeszcze znajdowa si w dawnym gabinecie Matthaiego. Patrzy przez otwai.e okno.

Kiedy odwr ci si , eby si ze mn przywita , wida by o, jak jest zm czony. Na
pod odze sta y flaszki od piwa. Popielniczki by y przepe nione. Nikogo poza nim w
pokoju nie by o.

– CZY ZŁO Y SZCZEG EM.

– JESZCZE TO ZROBI – ODRZEKŁ HENZI. – RZECZ GŁÓWNA, E PRYZNA SI
DO POPE NIENIA MORDU SEKSUALNEGO.

– Mam nadzieję, e post powanie z nim by em.
Badanie trwa o dwadzie cia godzin, co by o oczywi cie niedozwolone, ale ostatecznie
my, policja, nie zawsze mo emy trzyma si przepis w.

– Nic poza tym nie stosowano – zapewnił mnie Ilenzi.

WSZEDŁ EM DO „KRAMIKU” I KAZAŁ EM PRZYPROWADZIĆ HANDLARZA. LEDWO JUŻ TRZYMAŁ SIĘ NA NOGACH, WSPIERANY PRZEZ POLICJANTA, KTÓRY GO PRZYWIDŁ, ALE KIEDY WSKAZAŁ EM MU KRZESŁO, NIE USIADŁ.

51

– PANIE VON GUNTEN – ZWRÓCIŁ EM SIĘ
WYŚWIETLIŁ SIĘ, E PAN SIĘ PRZYZNAŁ DO ZAMORDOWANIA MAŁEJ
GRETKI MOSER WNY.

– Tak, to ja zabiłem tę dziewczynkę – patrz ciekawo w ziemi
handlarz tak cicho, ledwo go zrozumiał.

– Niech się pan teraz wycofa – niej znowu pogadamy.
Gdy go wyprowadzano, już w drzwiach zetknął się z wchodzącym w niego
Matthaim. Handlarz przystanął. Przez chwilę cięko dyszał. Otworzył usta, jakby
chciał coś powiedzieć, ale w końcu zamilczał, popatrzył tylko na Matthaięgo. Ten
usunął się z drogi nieco zakopotany.

– No, dalej – rzekł policjant i wyprowadził von Guntena.
Matthai wszedł do „kramiku” i zamknął drzwi za sobą. Zapalił em bahianosą:

– No, i co pan na to, doktorze?

– BIEDNEGO FACETA PRZESŁUCHIWANO PONAD DWADZIEŚĆ GODZIN.

– TĘ METODĄ PRZEJŚĆ HENZI OD PANA. PAN BYWAŁ
WYŚWIETLIŁ SIĘ
LI PAN, E W A CIWIE HENZI
POPROWADZIŁ BARDZO PORZĄDNIEM SWOJĄ PIERWSZĄ SPRAWĘ ?
Matthai nie odpowiedział. Kazał em przynieść dwie kawy ze słodkimi i rogaliki. Obaj
mieli myślenie nieczyste sumienie. Gorąca kawa nie poprawiła im nastroju.

– Mam wrażenie – odezwał się
e von Gunten swoje
zeznania odwoła.

– MOŻE LI WŁAŚCIWIE – PRZYZNAŁ EM POSŁUSZNY
MIEMY GO NA NOWO W
OBROTACH.

– UWAGA PAN, E JEST WINIEN?

– A PAN SĄDZI INACZEJ? – RZUCIŁ EM W ODPOWIEDZI.

Matthai ociągając się chwilę.

– No, właśnie – to bez przekonania.

Przez okno wlewał się zimny srebrem ranek. Z sihlskiego nabrzeża
przeciekają hałasy uliczne, z koszar wymaszerowywali o nierze.

Chwilę później zjawił się Henzi. Wszedł bez pukania i zameldował :

– Von Gunten się powiesił.

Cela znajdowała się na końcu głównego korytarza. Pobiegli tam. Dwóch ludzi
krzycząco się już koło von Guntena. Leżał na ziemi. Rozdarł na nim koszulę,

ow osiona klatka piersiowa by a nieruchoma. Szelki dynda y jeszcze w oknie.

– TO NA NIC – STWIERDZIŁ JEDEN Z POLICJANT YJE.

ZAPALI EM ZN W MEGO WYGAS EGO BAHIANOSA, A HENZI SI GN DO SWOJEJ PAPIERO NICY.

– TYM SAMYM SPRAWA GRETKI MOSERÓWNY BY ABY ZA EM WYCZERPANY, PO CZYM WR CI EM PRZEZ NIESKO CZENIE D J DROGI MATTHAI, YCZ MI EGO LOTU DO JORDANII.

KIEDY JEDNAK OKO O DRUGIEJ PO PO UDNIU FELLER ZAJECHA PRZED HOTEL „URBAN”, OSTATNI RAZ S U BOWYM SAMOCHODEM, BY ODWIE MATTHAIEGO NA LOTNISKO, KIEDY NAWET JU ZA ADOWANO BAGA E, KOMISARZ POWIEDZIA , E JEST JESZCZE DOSY CZASU, WI C EBY JECHA OBJAZDEM NA MAGENDORF. POJECHALI DROG PRZEZ LASY. PRZYBYLI NA RYNEK, GDY NADCI GA JU ORSZAK A OBNY, D UGI POCH D MILCZ CEGO T UMU. WIELKA LICZBA MIESZKA C W OKOLICZNYCH WIOSEK, A NAWET I MIASTA, ZEWSZ D NAP YN A, ABY WZI UDZIA W POCH WKU. GAZETY DONIOS Y JU O MIERCI VON GUNTENA; OG ODETCN Z ULG . SPRAWIEDLIWO ODNIOS A ZWYCI STWO. MATTHAI WYSIAD Z WOZU I STAN Z FELLEREM PRZED KO CIO EM WRAZ Z T UMEM DZIECI. TRUMN , UBRAN W BIA E R E, USTAWIONO NA WOZIE CI GNIONYM PRZEZ PAR KONI. ZA TRUMN KROCZY Y DZIECI WSIOWE, PARA ZA PAR , KA DA PARA Z WIE DZONE PRZEZ NAUCZYCIELK , NAUCZYCIELA I PASTORA, DZIEWCZYNKI WSZYSTKIE NA BIA RODZICE GRETKI MOSER: DWIE POSTACIE W CZERNI. KOBIETA PRZYSTAN A I POPATRZY A NA KOMISARZA. TWARZ MIA A BEZ WYRAZU, OCZY PUSTE.

– Pan dotrzymał s a cicho, ale tak dobitnie, e j komisarz dos ysza kuj panu.

POSZ A DALEJ, NIEUGI TA, WYNIOS A OBOK ZDRUZGOTANEGO, NAGLE POSTARZA EGO M A.

Komisarz odczeka , a ca y korow d z w jtem i przedstawicielami rz du go minie, a przejd ch opi, robotnicy, gospodynie i dziewcz wi tnie, jak najuroczy cie j poubierane. Ci gn li oniemiałi w popo udniowym s o cu po r d widz w pozostaj cych te bez ruchu. S ycha by o tylko rozleg y d wi k dzwon w ko cielnych, klekot k a obnego wozu i niezliczone kroki ludzi na twardym bruku wiejskiej ulicy.

– TERAZ DO KLOTEN¹ MATTHAI I ZAJ LI ZN W MIEJSCA W AUCIE.

PO ROZSTANIU SI Z FELLEREM I ZA ATWIENIU ODPRAWY CELNEJ MATTHAI KUPI W POCZEKALNI „ NEUE ZIRCHER ZEITUNG”. FIGUROWA A W NIEJ PODOBIZNA VON GUNTENA Z NADMNIENIEM, E TO MORDERCA GRETKI MOSER, ALE BY A TE I FOTOGRAFIA MATTHAIEGO Z NOTATK O JEGO ZASZCZYTNEJ NOMINACJI, JEDNYM S OWEM, PORTRET CZ OWIEKA STOJ CEGO U SZCZYTU KARIERY. KIEDY WKROCZY Z P ASZCZEM NIEPRZEMAKALNYM PRZEZ RAMI NA POLE STARTOWE, ZAUWA Y NA TARASIE BUDYNKU MN STWO DZIECI. BY A TO WYCIECZKA SZKOLNA ZWIEDZAJ CA

PORT LOTNICZY, DZIEWCZTA I CHOPCY W BARWNYCH LETNICH UBIORACH. POWIEWANO STAMT DCHOR GIEWKAMI I CHUSTECZKAMI, WRZA WIELKI JUBEL I ZDUMIENIE NA WIDOK WZNOSZENIA SI I OPADANIA OLBRZYMICZ SREBRZYSTYCH APARAT W. KOMISARZ NAGLE PRZYSTAN , POTEM KROCZY DALEJ W KIERUNKU

¹ PORT LOTNICZY W ZURYCHU.

OCZEKUJ CEJ NA ODLOT MASZYNY SWISSAIR. GDY ZNALAZ SI PRZY NIEJ, WSZYSCY POZOSTALI PASA EROWIE BYLI JU NA SWOICH MIEJSCACH. STEWARDESSA, KT RA WPROWADZI A PODR NYCH DO SAMOLOTU, WYCI GN A TERAZ R K , BY ODEBRA BILET OD MATTHAIEGO, ALE KOMISARZ PRZYSTAJ CZN W OBEJRZA SI NA GROMAD DZIECI. POWIEWA Y KU I GOTUJ CEJ SI DO ODLOTU MASZYNI Z RADOSNYM UT SKNIENIEM.

- PROSZĘ PANI - POWIEDZIAŁ - JA NIE POLECĘ - PO CZYM POWRÓCI DO BUDYNKU STACYJNEGO I PRZESZED POD TARASEM PE NYM NIEZMIERZONEGO MN STWA DZIECI W KIERUNKU WYJ CIA.

PRZYJ EM MATTHAIEGO DOPIERO RANO, ALE TYM RAZEM NIE W „ KRAMIKU", TYLKO OFICJALNIE W BIURZE Z URZ DOWYM NIEJAKO WIDOKIEM NA SIHLSKIE NABRZE E. OBRAZY GUBLERA, MORGERRTHALERA, HUNZIKERA, ZURYSKICH MALARZY CIESZ CYCH SI UZNANIEM, ZDOBI Y CIANY. BY EM ZIRYTOWANY Z POWODU WYNIK YCH NUDZIARSTW. TELEFONOWA Z DEPARTAMENTU POLITYCZNEGO JAKI FACET, KT RY GWA TEM CHCIA PROWADZI ROZMOW PO FRANCUSKU; JORDA SKA AMBASADA ZA O Y A PROTEST, A RADCA KANTONALNY DA WYJANIE , KT RYCH UDZIELI NIE BY EM W STANIE, PONIEWA SAM NIE ROZUMIA EM POST POWANIA MEGO BY EGO PODKOMENDNEGO.

- Niech pan spocznie, panie doktorze Matthai - powitałem go.

M J OFICJALNY TON MUSIA PODZIA A NA NIEGO TROCH DEPRYMUJ CO. USIEDLI MY. NIE ZAPALI EM I NIE POCZYNI EM ADNYCH PRZYGOTOWA DO PALENIA. TO GO ZANIEPOKOI O.

- RZĄD FEDERALNY - ZAGAŁEM ROZMOW UK AD Z PA STWEM JORDANII OBIECUJ C U YCZENIE IM FACHOWCA POLICYJNEGO. POZA TYM PAN, PANIE DOKTORZE, PODPISA ZE SWEJ STRONY Z JORDANI UMOW . POROZUMIENIA TE ZOSTA Y ZERWANE, Z CHWIL GDY PAN ZANIECHA PODR Y. NIE POTRZEBUJ CHYBA JA, PRAWNIK, M WI C DO PRAWNIKA WYPOWIADA SI WYRA NIEJ.

- To zbyt cenne - zgodził si ze mn Matthai.

- PROSZĘ WI C PANA, BY PAN JEDNAK ZECHCIA CO RYCHLEJ DO JORDANII WYRUSZY .

- NIE POJADĘ.

- Dlaczego?

- PONIEWAŻ MORDERCA MA EJ GRETKI MOSER NIE ZOSTA DOTYCHCZAS ODNALEZIONY.

- Uważa pan, że handlarz był niewinny?
- TAK.
- Mamy przecież jego przyznanie się do zbrodni,
- Musiał się za to ama nerwowo... Długie badanie, rozpacz, poczucie, że go opuszczono... Jest w tym tak
- ci się do mnie, a ja mu nie pomogłem... Bo miałem ochotę na Jordani.
- CO ZA OSOBLIWA SYTUACJA. JESZCZE DNIA POPRZEDNIEGO DALECY BYLI MY OD JAKIEGOKOLWIEK SKRÓWOWANIA, TERAZ SIEDZIELI MY OD WIDOCZNO UBRANI, SZTYWNI I URZĘDOWO NAPRZECIW SIEBIE.
- NIECH MI PAN NA NOWO POWIERZY TĘ SPRAWĘ, PAKOMENDANCIE – POWIEDZIAŁ MATTHAI.
- NIE MOGĘ SIĘ NA TO ZGODZIĆ POD
- NASZYM URZĘDNIKIEM, PANIE DOKTORZE MATTHAI.
- Komisarz spojrzawszy na mnie zaskoczony.
- ZOSTAŁEM ZWOLNIONY?
- Zwolnił się pan ze służby w policji kantonowej, ponieważ miał pan objąć
- niektórą sprawę, a pan zerwał
- skądś rzecz, gdybyśmy jednak przyjęli pana z powrotem, oznaczałoby to, że pański krok cieszy się naszym aprobatem. Rozumie pan, że to jest niemożliwe.
- ACH, TAK, ROZUMIEM.
- To się, niestety, już zmieniło – powiedziałem.
- Pomilczeliśmy chwilę.
- Kiedy po drodze na lotnisko jechałem przez
- MAGENDORF, BYŁO TAM DUŻO
- MATTHAI CICHY.
- CO PAN CHCE PRZEZ TO POWIEDZIEĆ?
- Orszak był z samych dzieci.
- TO PRZECIE NATURALNE.
- A i na lotnisku były dzieci, całe klasy dzieci szkolnych.
- Więc co? – przyglądał mi się Matthaiem ze zdziwieniem.
- DAJMY NA TO, ŻE JA MAM RACJĘ, DAJMY NA TO, ŻE MORDERCA GRETKI JEST PRZYBYCIU, CZY W TAKIM RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWO NIE GROZI TE
- MATTHAI.
- OCZYWIŚCIE – POTWIERDZIŁEM ZE SPOKOJEM.
- A skoro istnieje możliwość niebezpieczeństwa
- w
- zkiem policji chroni dzieci i zapobiega nowej zbrodni?
- WIĘC TO DLATEGO PAN NIE ODLECIA
- EM SIĘ
- BY BRONIĆ DZIECI?

– DLATEGO – POTWIERDZIŁ MATTHAI.

Milczałem chwilę. Sprawa stała się teraz dla mnie bardziej przejrzysta i zaczynałem rozumieć Matthaię. Powiedziała mi więc, i należało się pogodzić z tym, że dzieci zawsze są zagrożeniem. Jest surowy, to można mieć tylko nadzieję, że się rzeczywiście morderca z czasem przecie zdradzi albo że w najgorszym wypadku, przy następnej swojej zbrodni pozostawi ślady bardziej dla nas przydatne. Tłumaczył mi, że to, co mówi, brzmi jak cynizm, ale jest tylko stwierdzeniem okropnościami. Władza policji ma swoje granice i granice mielibyśmy. Wszystko jest "możliwe, nawet rzeczy najmniej prawdopodobne, my jednak – perswadowałem – musimy wychodzić od rzeczy prawdopodobnych. Nie możemy wprawdzie twierdzić na pewno, że von Gunten był winien (tego wam ciwie nigdy twierdzić niepodobna), ale możemy twierdzić, że zapewne nim był. O ile nie wymyśli sobie jakiegoś nieznajomego, to handlarz jest jedynym człowiekiem, który mógłby wchodzić w rachubę. Popełniał w przeszłości przestępstwa obyczajowe, miał ze sobą brzytwy i czekoladki, ubranie jego wykazało ślady krwi, poza tym uprawiał swój proceder również w kantonach Schwyz i Sankt Gallen, a więc tam, gdzie zdarzyły się i tamte mordy. Co więc do zbrodni i odebrał sobie życie. W tym w tych warunkach o jego winie to czysty dyletantyzm. Zdrowy rozsądek powiada nam, że von Gunten był tym mordercą. To, że zdrowy rozsądek może się mylić, to jest nasze ludzkie ryzyko. Musimy się z tym pogodzić.

– Zresztą – tłumaczył – winy to nie jedyna zbrodnia, która nas zaprzęta. Przed chwilą pogotowie policyjne wyruszyło do Schlieren. Poza tym zdarzyły się tej nocy cztery powążeń w Amman. Nie możemy sobie pozwolić na luksus ponownego ledztwa, nie możemy w czysto technicznych. Możemy robić tylko rzeczy możliwe, i te też zrobiliśmy. Dzieciom zawsze coś zagraża. Przestępstw obyczajowych zdarza się około dwustu na rok... W jednym tylko naszym kantonie... Możemy uwiadomić rodziców, ostrzeżać

my i czynimy, ale nie możemy stworzyć tak gęstej sieci policyjnej, aby się żadne więcej przestępstwa nie zdarzały. Zbrodnie zdarzają się zawsze, nie dlatego, że jest za mało policjantów, ale dlatego, że policjanci w ogóle istnieją. Gdyby my nie byli potrzebni, my, nie byłoby tych zbrodni. Musimy to sobie wyraźnie powiedzieć. Trzeba spełniać swój obowiązek, to racja, ale pierwszym naszym obowiązkiem jest pozostawać w zakreślonych nam granicach. Inaczej stworzylibyśmy tylko państwo policyjne.

ZAMILKŁEM. Z ULICY DOSZED DWA KŁOZKOWY W KOZIELNYCH.

– ROZUMIEM – DODAŁEM GRZECZNIE -- ŻE SYTUACJA PAKA STAŁA SIĘ TRUDNA. ZNAŁAZ SIĘ PAN MIŁDZY DWOMA STOKAMI.

– DZIĘKUJ

SI SPRAW GRETKI MOSER.

PRYWATNIE.

– Niech pan lepiej da temu spokój – radziłem.

– ANI MYŚL .

NIE OKAZAŁ EM GNIEWU, JAKI MNIE OGARNIA .

– W TAKIM RAZIE, CZY MOGĘ PANA PROSIĆ , BY NAS PAN W TEJ SPRAWIE WIECZ
NIE MOLESTOWAŁ EM WSTAJĆ C ZZA BIURKA.

– Jak pan sobie życzy – rzekł Matthai.

PO CZYM POEGNALI MY SIĘ BEZ PODANIA RĘKI.

NIE PRYSZŁ O MATTHAIEMU ATWO MIJA DAWNY W ASNY GABINET, KIEDY
WYCHODZIŁ Z OPUSTOSZAJĄcej W DANEJ CHWILI KOMENDY POLICJI. SZYLDZIK NA
DRZWIACH BYŁ JUŻ NIE TEN SAM, A FELLER, KTÓREGO SPOTKAŁ , BO OBJAŚNIŁ ON PO
BUDYNKU TAK I W NIEDZIELNĄ , ZMIESZAŁ SIĘ NA JEGO WIDOK, LEDWO SIĘ UKŁONIŁ I
COŚ BŁYNNY POD NOSEM. MATTHAI WYDAŁ SIĘ SAM SOBIE WIDMEM, ALE DOKUCZYŁ O
MU PRZED WSZYSTKIM, ALE NIE DYSPONUJE JUŻ WOZEM SŁUBOWYM. POSTANOWIŁ
BYĆ CO RYCHLEJ POWRÓCIĆ DO MAGENDORFU, ZAMIAR TEN NIE DAŁ SIĘ JEDNAK
WCAŁE TAK ATWO USKUTECZNIĆ , BO JAZDA OWY, CHOĆ NIEDŁUGA, BYŁA ZA TO
SKOMPLIKOWANA. MUSIAŁ WSIĄSĆ DO SEMKI, A PÓNIEJ PRZESIŁ SIĘ DO
AUTOBUSU. W TRAMWAJU ZNAJDOWAŁ SIĘ MIĘDZY INNYMI TREULER, JADĄCY Z ON
DO TEJ CI W. WYTRZESZCZYŁ NA KOMISARZA ZDUMIONE OCZY, O NIC JEDNAK NIE
PYTAŁ . W OGÓLE MATTHAI SPOTYKAŁ

¹ ORAZ PEWNEGO ARTYSTY MALARZA. UDZIELAŁ RACZEJ NIEJASNYCH
INFORMACJI NA TEMAT NIE-DOJĆCIA DO SKUTKU SWOJEJ PODRÓŻY; SYTUACJA ZA
KAŻDYM RAZEM BYŁA PRZYKRA, BO PRZECIE OBCHODZONO UROCZYSTOŚĆ JEGO „
AWANS”. SAM SOBIE WYDAWAŁ SIĘ UPIOREM CZY KIM ZMARTWYCHPOWSTAŁYM.
W Magendorfie w a nie skończył się nabożeństwo. Wścieknie ubrani chłopcy stali
na wiejskim placu albo cięgnęli grupkami do „ Jelenia”. Był o ch odniej

¹ Wyższa szkoła techniczna w Zurychu.

ni w dni ubiegłe, potężne orszaki obok w w drowały z zachodu. Nad potokiem
Moosbach miodzie grają w piłkę nożną . Nic nie wskazywało, że w pobliżu wsi
popłynęła przed paru dniami zbrodnia . Wszystko technicznie owościło . Skąd
dolaływała piosenka:

U STUDNI PRZED WROTAMI...

PRZED WIELKICH OPSKACHAT Z PRUSKIEGO MURU I O POTĘNYM DACHU DZIECI
BAWIŁY SIĘ W CHOWANEGO. JEDEN Z CHOPCÓW GÓNO LICZYŁ DO DZIESIĘCIU, A
RESZTA UMYKAŁA CO TCHU. MATTHAI STAŁ I PRZYGLĄDAŁ SIĘ IM.

– PROSZĘ PANA – ODEZWAŁ SIĘ TU OBOK NIEGO CICHY GOSIĆ.

OBEJRZAŁ SIĘ WKOŁO. POMIĘDZY UŁOONYM W SŁOGI DRZEWEM A MUREM OGRODU
STAŁA MAŁA DZIEWCZYŃKA W NIEBIESKIEJ SUKIENCIE: PIWNE OCZY, CIEMNE W

- WNA.

– CZEGO CHCESZ? – ZAPYTAŁ KOMISARZ.

– Niech pan stanie przede mną, żeby oni mnie nie znaleźli.

Komisarz stanął przed nim.

– Urszulko – powiedział.

– NIECH PAN NIE MÓWI TAK GOŁOŚCIE, WIECZ, E PAN Z KIM ROZMAWIA.

– URSZULKO – WYSZEPTAŁ TERAZ ZE SWEJ KOMISARZ – WIESZ, JA NIE WIERZĘ W TEGO TWEGO WIELKOLUDA.

– W co pan nie wierzy?

– NIE WIERZĘ, E GRETKA MOSER SPOTKAŁA A WIELKOLUDA WIELKIEGO JAK DOM.

- – Ale on jest właśnie taki.

– CZYŚ TY KIEDY TAKIEGO WIDZIAŁA?

– JA – NIE, ALE GRETKA GO WIDZIAŁA... TYLKO TERAZ NIECH PAN BIEŻ DZIECICHO.

PIEGOWATY RUDZIELEC SKRADAŁ SIĘ W A NIE OD STRONY DOMU, CHOCIAŻ, KTÓREGO RZECZ BY O SZUKAŁ. POSTAŁ PRZED KOMISARZEM CHWILĘ, PO CZYM PRZESZEDŁ SKRADAJĄC SIĘ WCIĄŻ NA PRZECIWNĄ STRONĘ CHAJUPY. Dziewczynka cichutko zachichotała.

– Nie zauważył mnie.

– Gretka opowiedziała ci bajeczkę, wiadczy szeptem komisarz.

– NIE – ZAPRZECZYŁA MA WIELKOLUD CZEKA NA GRETKĘ I OBDAROWYWA JĄ JEDYKAMI.

– Gdzie się to dzieje?

– W Rudzikowej Dolince. Ona go narysowała, więc on musi istnieć naprawdę. I jest taki samo.

Matthai był zaskoczony:

– GRETKA NARYSOWAŁA WIELKOLUDA?

– Rysunek wisi w klasie – oświadczył pan odsunął się.

I w mgnieniu oka przebiegł między gałęziami drzewa a Matthaim, podskoczył ku domostwu i z radosnym piskiem dobiegł do uszka drzwi, o które wypadł i uderzył, zanim go dosięgnie chajupa spieszycy teraz spoza domu.

WIECI, KTÓRE OTRZYMAŁEM W PONIEDZIAŁEK RANO, BYŁY OSOBLIWE I NIEPOKOJĄCE. NAJSAMPIERW ALI SIĘ TELEFONICZNIE W JUTRO Z MAGENDORFU, E MATTHAI WYTRĄGNĄ DO BUDYNKU SZKOLNEGO I PORWAŁ STAMTÓD RYSUNEK ROBOTY ZAMORDOWANEJ GRETKI MOSER WNY. W JUTRO WYPRASZA SOBIE DALESZE .W CIUBIANIE NOSA POLICJI KANTONALNEJ DO JEGO WSI, BO LUDZIOM PO TYCH

WSZYSTKICH OKROPIE - STWACH POTRZEBNY JEST SPOK J. NA ZAKO CZENIE DODA
NIEZBYT GRZECZNIE, E JE LI MATTHAI RAZ JESZCZE POKA E KI WE WSI, TO ON,
W JT WYSZCZUJE GO Z NIEJ PSAMI. NAST Y SI HENZI: MIA Z
MATTHAIM ZAJ- LIDE, NIESZCZ CIEM AKURAT W „ KRONENHALLE". JEGO DNWNY
PRZE O ONY BY WYRA NIE PIJANY, JEDNYM HAU- NTEM WYTR BI CA Y LITR
R SERVE DU PATRON, A POTEM ZN DA KONIAKU, PRZY CZYM NAZWA HENZIEGO
MORDERC % URZ DU. W PANI HENZIOWEJ, HOTTINGER WNIE Z DOMU, ZAJ CIE
OBUDZI O JAKOBY NAJWY SZY NIESMAK. TYLE HENZI. ALE TO JESZCZE NIE BY
KONIEC: OD FELLERA DOWIEDZIA EM L PO RANNEJ ODPRAWIE, E PEWIEN OSOBNIK,
JAK NA
Z O MU, JAKOBY MATTHAI BY WIDZIANY W
R NYCH LOKALACH, A POZA TYM, E MIESZKA OBECNIE W HOTELU „ REX".
DONIESIONO TE , E ZACZ PALI PAPIEROSY PARISIENNES. TEN CZ OWIEK TAK SI
ZMIENI , JAKBY GO WYMIENIONO NA KOGO INNEGO, JAKBY Z DNIA NA DZIE WZI
MU SI SK D INNY CHARAKTER. PRZYSZ O MI NA MY L, E A NU GROZI MU
ZA AMANIE NERWOWE, I STELEFONOWA EM SI Z PSYCHIATR , KT RY CZ STO
WYKONYWA DLA NAS EKSPERTYZY.

Ku memu zdziwieniu lekarz poinformowa mnie w zamian, e Matthai
zapowiedzia si wa nie u niego na popo udnie, wobec czego zreferowa em mu
wszystko, co zasz o.

NA ZAKO CZENIE NAPISA EM DO AMBASADY JORDA SKIEJ. OZNAJMI EM IM, E
MATTHAI ZACHOROWA , I POPROSI EM DLA NIEGO O URLOP. OBIECA EM, E KOMISARZ
ZJAWI SI W AMMANIE ZA DWA MIESI CE.

Klinika prywatna le a a daleko za miastem w pobli u wsi R then. Matthai wybra si
tam kolej , musia wi c przej porz dny kawa ek na piechot . Naglony
niecierpliw o ci , nie zaczeka na pocztowy autobus, kt ry go wpr dce prze cign i w
lad za kt rym patrzy potem z irytacj . Szed przez ma e ch opskie wioseczki. U
skraju drogi bawi y si dzieci, ch opi pracowali w polu. Niebo by o srebrzy cie zasnute.
Nasta o znowu zimno, temperatura sun a w d ku zeru, nie dosi gaj c go na
szcz cie... Matthai w drowa wzd u pasma pag rk w, a skr ci w kierunku
R then na drog prowadz c do lecznicy przez p aszczyzn . Zauwa y najsampierw
t budowl z wysokim kominem. Id c ku niej mia wra enie, e zbli a si do
jakiej ponurej fabryki. Wkr tce jednak obraz sta si sympatyczniejszy. Wprawdzie
buki i topole wci jeszcze zas ania y g wny budynek, ale Matthai dojrza tak e cedry
i olbrzymi welingtoni . Wszed do parku. Droga si rozwidla a; wybra kierunek
pod ug tablicy: „ Do Dyrekcji". Poprzez drzewa i krzewy po yskiwa o jezior
KO, MOG O TO BY JEDNAK R WNIE DOBRZE PASEMKO MG Y. PANOWA A GROBOWA
CISZA. S YSZA TYLKO CHRZ ST W ASNYCH KROK W NA WIRZE. CHWIL P NIEJ
DOSZED GO SZMER, JAKI CZYNI GRABIE. M ODY CZ OWIEK, WYKONUJ C RUCHY
POWOLNE I R WNOMIERNE, OPRZ TA CIE K . MATTHAI ZATRZYMA SI

NIEZDECYDOWANY: NIE WIEDZIA , W KT R STRON SI ZWR CI , BO TU NIE BY O ADNEJ TABLICY.

- Czy nie mógł by mi pan powiedzie ci si do m odego cz owieka.

M ODY CZ OWIEK NIE ODRZEK ANI S OWA, GRACOWA DALEJ R WNOMIERNIE, SPOKOJNIE JAK MASZYNA, JAKBY SI NIKT DO NIEGO NIE ODEZWA , JAKBY NIKT POZA NIM NIE BY OBECNY. TWARZY TEJ BRAK O JAKIEGOKOLWIEK WYRAZU, H E CZYNNO JEGO KONTRASTOWA A Z JAWNIE POT N SI FIZYCZN , KOMISARZ DOZNA BEZWIEDNIE UCZUCIA ZAGRO ENIA... JAKBY W M ODY M G NAGLE ZADA MU CIOS SWYMI GRABIAMI. POCZU SI NIESWOJO. OCI GAJ C SI POSZED DALEJ A DO JAKIEGO DZIEDZI CA I ZARAZ POTEM ZNALAZ SI NA NAST PNYM WI KSZYM. PO OBU STRONACH CI GN Y SI , JAK W KLASZTORACH, KRU GANKI, ALE ZAKO - CZENIEM PODW RZA BY BUDYNEK O WYGL DZIE DWORU WIEJSKIEGO. I TU R WNIE NIE BY O NIKOGO, SK D TYLKO DOCHODZI O G O NE NARZEKANIE, WYSOKI, B AGALNY TON, WCI POWTARZAJ CY JEDNO S OWO, WCI BEZ PRZERWY TO SUMO. MATTHAI ZN W PRZYSTAN I ZAWAHA SI . O PANOWA GO NIEPOJ TY SMUTEK, ZNIECH CENIE, JAKIEGO W TYM STOPNIU NIGDY W YCIU NIE DOZNA . NACISN KLAMK STAREGO, G BOKO SP KANEGO PORTALU O SNYCERSKICH ZDOBIENIACH, ALE DRZWI SI NIE PODDA Y. S YCHA BY O TYLKO TEN G OS, WCI , WCI NA NOWO... POSZED JAK WE NIE KRU GANKIEM. W WIELKICH DONICACH Z KAMIENIA KWIT Y CZERWONE TULIPAFIY, W INNYCH ZN TE. TERAZ WRESZCIE POS YSZA JAKIE KROKI: WYSOKI STARSZY PAN T GODNO CI SZED PRZEZ DZIEDZINIEC. WYRAZ TWARZY MIA ZASKOCZONY, Z LEKKA ZDZIWIWIONY. PROWADZI A GO PIE- NIARKA.

bym si dosta do pana profesora Lochera.

- ZAPOWIEDZIA ?

- PROFESOR MNIE OCZEKUJE.

- To niech pan wejdzie do salonu – i pielęgniarka wskaże a na dwuskrzyd tam przyjdzie.

PO CZYM POSZ A DALEJ POD R K ZE STARYM PANEM, POGR ONYM NADAL W ODR TWIENIU, OTWORZY A Z KLUCZA JAKIE DRZWI I ZNIK A TAM WRAZ ZE SWYM TOWARZYSZEM. W G OS, DOCHODZ CY NIE WIADOMO SK D, CI GLE JESZCZE SI ALI . MATTHAI WSZED DO SALONU, OBSZERNEGO POKOJU UMEBLOWANEGO ANTYKAMI. STA Y TAM FOTELE I OLBRZYMIA KANAPA, NAD NI W CI KIEJ Z CZYZNY, ZAPEWNE PRZEDSTAWIA FUNDATORA SZPITALA. POZA TYM WISIA Y JESZCZE OBRAZY PODZWROTNIKOWYCH KRAJ W, MO E BRAZYLII. MATTHAIEMU WYDA O SI , E ROZPOZNAJE OKOLICE LE CE ZA RIO DE JANEIRO. PODSZED DO JAKICH PODWOI. PROWADZI Y NA TARAS. WIELKIE KAKTUSY STA Y NA KAMIENNEJ BALUSTRADZIE. ALE WIDOKU NA PARK JU NIE BY O, MG A TYMCZASEM

ZG STNIA A. MATTHAI ODGADYWA ISTNIENIE POD NI ROZLEG EGO FALISTEGO TERENU Z JAKIM POMNIKIEM CZY GROBOWCEM ORAZ SREBRN TOPOL , GRO N I ZJAWISKOW . OGARN O GO ZNIECIERPLIWIE. ZAPALI PAPIEROSA, TEN NOWY NAWYK USPOKAJA GO. WR CI DO SALONU, KU KANAPIE, PRZED KT R STA STARY OKR G Y ST ZE STARYMI KSI KAMI: GUSTAW BONNIER KOMPLETNA FLORA FRANCJI, SZWAJCARII I BELGII. ZACZ PRZEGL DA NARYSOWANE STARANNIE TABLICE KWIAT W I TRAW, Z PEWNO CI BARDZO PI KNE, KOJ CE, ALE KOMISARZ NIE WIEDZIA , CO BY MIA Z TYM POCZ . ZAPALI DRUGIEGO PAPIEROSA. WRESZCIE PRZYSZ A PIEL GNIARKA, MA A ENERGI CZNA OS BKA W OKULARACH BEZ OPRAWKI:

– Czy pan Matthai? – spytała.

– OCZYWIŚ CIE.

Piel gniarka rozejrza a si wok :

– Czy nie ma pan bagaży?

MATTHAI POTRZ SN G OW W ODPOWIEDZI. PRZEZ CHWIL DZIWI O GO TO PYTANIE.

– CHCIAŁBYM TYLKO ZADA PANU PROFESOROWI PAR PYTA .

– CZY MOGĘ PROSI GNIARKA PRZEPROWADZI A KOMISARZA W G B MA YMI DRZWICZKAMI.

Znalaz si w niewielkim, zadziwiaj co ubo uchnym pomieszczeniu, w kt rym nic nie zdradza o adepta sztuki lekarskiej. Na cianach znajdowa y si obrazy podobne do tych w salonie oraz fotografie powa nych m w w okularach bez oprawy. Najwidoczniej podobizny poprzednik w. Oblicza raczej makabryczne. Biurko oraz krzes a zawałono ksi kami, wolny by tylko stary sk rzan y taboret. Lekarz siedzia w bia ym kitlu lekarskim nad swoimi aktami. Ma y by , suchy, o ptasim wygl dzie i tak jak piel gniarka i jak brodacze na cianie zaopatrzone w okulary bez oprawy. Nieoprawne okulary zdawa y si by tu obowi zuj ce, a mo e stanowi y odznak czy te znak rozpoznawczy jakiego tajnego zakonu. Podobnie jak tonsura u mnich w... Czy to mo na wiedzie !

Piel gniarka ulotni a si . Locher wsta i przywita si z Matthaim nie bez pewnego zaambarasowania.

– Miło mi pana powita e si pan rozgo ci. Wszystko jest tu raczej podniszczone. Jeste my fundacj , wi c finanse nie dopisuj .

Matthai usadowi si na sk rzanym taborecie. Tak by o ciemno w pokoju, e doktor za wieci lamp na biurku.

– Czy wolno zapalić? – spytał Matthai.

LOCHER ZDZIWI SI .

– PROSZĘ – POWIEDZIAŁ I PRZYJRZA SI UWA NIE MATTHAIEMU SPONAD SWYCH NIE PRZETARTYCH SZKIE PAN DAWNIEJ NIE PALI , PRAWDA?

– NIE, NIGDY.

Locher wzi arkusz papieru i zacz skroba pi rem, widocznie co notowa .

Matthai czeka .

- PAN URODZIŁ SIĘ
C PISANIA ZAPYTAŁ ZNAJOMY DOKTOR.
- NIEWĄTPLIWIE.
- Czy mieszka pan, jak dotychczas, w hotelu „Urban“?
- MIESZKAM TERAZ W HOTELU „REX“.
- Aha, teraz już w „Rexie“. Przy ulicy Winniczej. Wiadomo, że pan stale zamieszkuje pokoje hotelowe, nieprawdaż?
- ZDAJE SIĘ TO PANA DZIWIŁO, DOKTORZE?

DOKTOR PODNIÓSŁ WZROK ZNAD SWOICH PAPIERÓW:

- Ależ oczywiście, mieszka pan już od lat trzydziestu w Zurychu. Inni w takim przeciągu czasu zakładają rodziny, posiadają potomstwo, angażują swoją przyszłość. Czy pan nie posiada w ogóle osobistego życia? Proszę mi wybaczyć to pytanie.
- AHA, ROZUMIEM – MAM WRAŻENIE, DOKTORZE, DLA KTOŚCI REGO NAGLE WSZYSTKO STAŁO SIĘ JASNE, WŁAŚCIWIE Z ZAPYTANIEM PIELĘGNIARKI O BAGAŻ.

Doktor odwrócił się ostro na bok i powiedział:

- CO PAN CHCE PRZEZ TO POWIEDZIEĆ, NIEPRAWDAŻ?
- TO, ŻE PAN DOSTAŁ POLECENIE, BY MNIE ZBADAĆ. MATTHAI I
ZGNIŁY WŁAŚCIWIE POLICJA KANTONALNA UWAGA NA MNIE ZA NIE
CZYNIAŁEM NORMALNEGO.

Obaj mówili cicho. Głuchym głosem stał się na dworze przed oknem tworząc bezkształtne zmierzchnięte, wpełzające szarości do pokoju zawałonego księkami i stołkami. Do tego – ziąb, suchy powietrze z domieszką woni jakiegoś lekarstwa.

Matthai wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Stali tam dwaj w białych kitlach, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

- DWAJ PIELĘGNIARZE NA WYPADEK, GDYBYM STAWIAŁO SIĘ.

Lochera nie wyprowadziło to z równowagi.

- Niech pan mnie posłucha, panie Matthai. Chciałbym teraz pogadać z panem jako lekarz.
- JAK PAN SOBIE ŻYCZY – I MATTHAI USIADŁ.

Teraz Locher opowiedział, że podług otrzymanych przez niego informacji wuj

Matthai miał dopuścić się ostatnio czynów, których niepodobna już kwalifikować jako normalne. Wynika stąd konieczność szczerej rozmowy. Zawód komisarza policji jest zawodem surowym i w jego zasięgu Matthai bywa zmuszony traktować ludzi bezwzględnie. Powinien on zatem, w imię sprawiedliwości, wybaczyć te i te lekarzowi, gdy ten mówi prawdę bez ogródek, bo jego lekarski zawód uczynił go

rwieć owiekiem bezwzględny. A do tego podejrzliwym. Bo czy nie jest w kościu rzecz osobliwie li rozpatrywać postępowanie aby wzgardzi tak jedną na tysiąc szans, jak ten wyjazd do Jordanii. I to całkiem niespodzianie, nagle, z pieca na śleb. Dodajmy do tego urojenie, aby szuka mordercy, który już został wykryty; dalej nagły pomysł palenia papierosów, tak samo jak w niezwykły pociąg do pijactwa... Wypił cztery podwójne koniaki po całym litrze win wyborowych, czowieku bo wygląda cholernie na bęskawiczne, zygzakowate zmiany w charakterze, czyli na początkowe objawy choroby. W interesie samego Matthaiego leży gruntowne zbadanie jego stanu, tak by uzyskać dokładny obraz ze stanowiska zarówno klinicznego, jak i psychologicznego. W tym celu Locher proponuje mu kilkudniowy pobyt w Rethen.

LEKARZ UMILK SIĘ I ZABRAŁ SIĘ ZNÓW DO SWOICH PAPIERÓW, CO ZACZĄŁ PONÓWNIĆ GRYZMOLI.

- CZY MIEWA PAN OD CZASU DO CZASU TEMPERATURĘ?
- Nie.
- ZAKŁÓCENIA MOWY?
- Także nie.
- SŁYSZY PAN JAKIE GŁOSY?
- Bzdury! .
- POCI SIĘ PAN OBFICIE?

Matthai potrząsnął przecząc głową. Mrok i gadanina doktora zniecierpliwily go. Poszukał po omacku papierosów. Znalazł je wreszcie. Zapalony zapalnik, który mu poda doktor, trzymał w ręce drżąc z złości. Co za głupia sytuacja, ale powinien był przewidzieć

i wybrać innego psychiatrę. Tego jednak wcale nie lubi. Wzywano go niekiedy na ulic Koszarów jako rzeczoznawcę serca ni

mu, ponieważ inni lekarze go lekceważyli jako dziwaka i fantastę.

- Pan jest zdenerwowany – stwierdził lekarz omalże nie z satysfakcją
pielgniarkę? Może pan łychnie sobie i od razu do swojego pokoju...
- Ani mi w głowie – odparł MattMi. – Nie ma pan koniaku?
- DAM PANU COŚ NA USPOKOJENIE – ZAPROPONOWAŁ LOCHER WSTAJC Z MIEJSCA.
- NIE TRZEBA MI NIC NA USPOKOJENIE, TRZEBA MI KONIAKU – GRUBIAŃSKO RZUCI KOMISARZ.

DOKTOR PUCCI ZAPEWNE W RUCH JAK UKRYTY SYGNALIZACJA, BO WE DRZWIACH STAN PIELGNIARZ.

- Niech pan przyniesie z mego mieszkania butelkę koniaku i dwa kieliszki – polecił doktor zacierając ręce, zapewne zreszt

Pielęgniarka znikła.

– Naprawdę, panie Matthai – tłumaczy

– mocno wskazane. Inaczej gotowi my się znaleźlibyśmy wobec klasycznego załamania psychicznego i fizycznego. Tego by my jednak woleli uniknąć, prawda? I jeśli się z rozmachem do tego we miemy, mogą oby się nam poszczęśliwić.

MATTHAI W OGÓLNE NIE ZAREAGOWAŁ. LEKARZ TAKIŁE ZAMILKŁ I TYLKO KIEDY ODEZWAŁ SIĘ TELEFON, WZIĄŁ SIĘ ZA UWAGI I POWIEDZIAŁ:

– NIE MA MNIE DLA NIKOGO.

Za oknem panowała już teraz całkowita ciemność, tak nagle się wtedy wieczór ciemnił.

– CZY MAM ZAŚWIECIĆ GŁÓWNE WIAŚNIKI? – DOKTOR, ABY TYLKO CO POWIEDZIE.

– Nie.

MATTHAI ZDAŁ SIĘ JUŻ OSPANOWAĆ. KIEDY NADSZEDŁ PIELĘGNIARZ Z KONIAKIEM, NALAŁ SOBIE KIELISZEK, WYPILI JESZCZE RAZ NALAŁ.

– PANIE DOKTORZE – RZEKŁ WRESZCIE – DAJ PAN JUŻ. SPOKÓJ Z TYMI WSZYSTKIMI BŁĄDAMI „ASKAWCO”, ZE SWOIM „CZOWIEKU” I SWOIM „NA JEDNEJ NODZE” ETC. PAN JEST LEKARZEM. CZY SIĘ PANU W JEGO LACHU NIE ZDARZYŁO, JEŚLI NIE POTRAFI PAN ROZSUPAĆ JAKIEGO WYPADKU?

Doktor spojrzał na Matthaiego ze zdziwieniem. Pytanie zaskoczyło go, zaniepokoiło, nie wiedział, do czego to ma prowadzić.

– U MNIE WIĘKSZOŚĆ WYPADKÓW JEST NIE DO ROZSUPAĆ. UCZCIWIE, ODCZUWAJ CIE JEDNOCZYNIE, JEŚLI NIE POWINIEN BYĆ NIGDY DAWAĆ TAKIEJ ODPOWIEDZI PACJENTOWI, A WSZAK ZA PACJENTA MATTHAIEGO UWAŻA.

– W pańskim fachu o to Matthai z ironią, która przygnębiała Lochera.

– Czy pan przyszedł tu tylko po to, żeby mi zadać to pytanie?

– TAKŻE I PO TO.

– Co się, na miłość boską, z panem dzieje? Przecież zwykle jest pan najrozsądniejszy siłą rzeczy opętany doktor.

– Nie wiem sam... – zawahał się z odpowiedzi.

– GRETKA MOSERÓWNA?

– Nie mogę się tej dziewczynki pozbyć z pamięci.

– Czy właśnie to nie daje panu spokoju?

– Czy ma pan dzieci? – spytał w zamian Matthai.

– PRZECIĘŻ I JA RÓWNIEŻ JESTEM NIELEKARZEM. LEKARZ ZMIESZA SIĘ ZNOWU I BIEŻE CIŚNĄC GŁOS.

– Czy tak? I pan również dobrze przyjrzał się, nie odwracał oczu, jak to czyniłem ja ostatnio, ten normalny Henzi. Pomiędzy nami leżał okaleczony trup, twarz tylko została nietknięta, twarz dziecka. Wlepiłem w ten widok oczy; w żarówkach leżała ta czerwona sukienka, pieczywo. Ale nie to było najokropniejsze.

Matthai ponownie umilkł. Jakby się czegoś przełknął.

ON, CZY OWIEK, KTÓRY NIGDY NIE MÓWIŁ O SOBIE, TYM RAZEM MUSIAŁ MÓWIĆ, PONIEWAŻ W MAMY DOKTOR W MIESZNYCH OKULARACH, PODOBNY DO PTAKA, BYŁ MU POTRZEBNY. ON JEDEN MÓGŁ MU DOPOMÓC RUSZYĆ Z MIEJSCA, MATTHAI WINIEN MU BYĆ WIERZĄCYM ZAUFANIE.

– Przed chwilą zdziwił się pan, i się zdziwiłem, że wciąż jeszcze mieszkam w hotelu. O to ja nie chciałem spotykać się z wiatrem jak ranny żuraw. Chciałem, żeby cierpieć z nim razem nie chciałem. Chciałem zachować nad wiatrem moją przewagę, nie tracić głowy, kierować nim, jak to czyni technicy. Wytrzymałem widok dziewczynki, kiedy jednak znalazłem się wobec rodziców, nie mogłem znieść tego do niej, zapragnąłem nade wszystko znaleźć się daleko od tego przeklętego domu nad strumykiem Moosbach. Obiecałem wtenczas na zbawienie duszy odnaleźć mordercę, obiecałem, żeby nie był zmuszonym patrzeć do niej na bóle tych ludzi i bez względu na to, obietnicy nie byłbym mógł dotrzymać, bo musiałem wszak odlecieć do Jordanii. A ponieważ, doktorze, dopuściłem, by mnie znów ogarnęła dawna obojętność. I w końcu nie to było okropne. Nie broniłem handlarza. Zezwoliłem na wszystko, co się zdarzyło. Zostałem sobie bezosobowy, jak przedtem, tym „Maciejem Na Tym Koniec”, jak nazywa mnie dzielnica Niederdorfu. Znowu uciekłem w spokój, w wysokość, w formalistykę, w jednym słowie... A zobaczysz te dzieci na lotnisku...

Doktor Locher odsunął swoje notatki.

– ZAWRÓCIŁ PAN CZY JAKIŚ PAN JU WIĘC?

– A TERAZ? – ZAPYTAŁ DOKTOR.

– No, teraz jestem tutaj. Bo ja nie wierzę w winę handlarza i muszę spełnić moją obietnicę.

LOCHER WSTAŁ I PODSZEDŁ DO OKNA. UKAZAŁ SIĘ PIELGNIARZ, A ZA NIM DRUGI.

– Idźcie na oddział, gdzie was więcej potrzebowaliśmy.

MATTHAI NALAŁ SOBIE JESZCZE KONIAKU I ROZEMIAŁ SIĘ:

– WCALE NIEŻŁY TEN REMY MARTIN,

Locher wciąż jeszcze stał przy oknie wpatrzony w przestrzeń.

– W JAKI SPOSÓB MIAŁBYM PANU POMÓC?

CI SIĘ

HANDLARZA?

– Patrz pan, doktorze – tu Matthai położył na stole jakiś papier i starannie go

rozprostowa .

BY TO RYSUNEK DZIECKA. U DO U W PRAWYM ROGU STA O NIEUMIEJ TNYM PISMEM: „ GRETKA MOSER”, A NA ARKUSZU NARYSOWANY BY KOLOROWYMI O WKAMI M - CZYZNA WIELKIEGO WZROSTU, WI KSZY OD OTACZAJ CYCH GO JODE , PODOBNYCH NA RYSUNKU DO OSOBLIWYCH JAKICH TRAW. WYOBRA ONO GO TAK, JAK RYSUJ DZIECI: „ KROPKA, KROPKA, PRZECINEK, KRESKA, RAZ DOKO A I JU MAMY TERESK .” MIA CZARNY KAPELUSZ I CZARNE UBRANIE, A Z PRAWEJ JEGO D ONI, NARYSOWANEJ W POSTACI OKR G EJ TARCZY I PI CIU KRESEK, SPADA O JAK GWIAZDY KILKA MA YCH KOLCZA- TYCH KR K W NA MALUSIENIECZK , MNIEJSZ OD JODE DZIEWCZYNK . CA KIEM U G RY, W A CIWIE JU W NIEBIE, STA O CZARNE AUTO, OBOK NIEGO ZA DZIWCZNE ZWIERZ O NIEZWYK YCH ROGACH.

- RYSUNEK TEN POCHODZI OD GRETKI MOSER – OBJAŚNI
EM GO Z JEJ KLASY.
- CÓŻ ON MA PRZEDSTAWIA DOKTOR OGL DAJ C NIEPORADNIE
RYSUNEK.
- JEŹYKOWEGO WIELKOLUDA.
- Co należ y przez to rozumie ?
- Gretka opowiadała, e jaki wielkolud obdarowywa j w lesie je
ni wskazuj c na kr ki Matthai.
- WIĘC PAN S DZI...
- PODEJRZENIE, ŻE GRETKA MOSER RYSUJ C JE YKOWEGO
wielkoluda narysowa a swego morderc , nie jest ca kiem bezpodstawne.
 - TO ABSURD, PANIE DROGI – ZIRYTOWAŁ SI
D WYOBRA NI. NIECH E PAN NIE ROBI SOBIE ADNYCH Z UDZE .
 - Możliwe – odparł Matthai – ale za to samochód jest a nadto dobrze
podpatrzony. Powiedzia bym nawet, e chodzi tu o w z ameryka ski starego typu. A i
olbrzym na rysunku jest r wnie pe en ycia.
 - Olbrzymy przecież nie istniej si e
mi pan tu bajek nie opowiada, panie Matthai.
 - WYSOKI, MASYWNY MĘŻCZYZNA M G SI MA EJ DZIEWCZYNC E ATWO
WYDA OLBRYMEM.
. Doktor spojrze na Matthaiego ze zdziwieniem:
 - PAN UWAŻA, E MORDERC BY CZ OWIEK WYSOKIEGO WZROSTU?
 - To tylko nie do co odrzek
uszne, to morderca do swych rozjazd w u ywa czarnego
ameryka skiego wozu starego typu.
Locher odsun okulary na czo o, wzi rysunek do r ki i uwa nie mu si
przyjrza .

– CO JA MIALBYM TU DO ROBOTY? – SPYTAŁ Z POW TPIEWANIEM.

– POWIEDZMY, ŻE NIE POSIADA BYM PRZECIWIW MORDERCY ADNYCH POSZLAK PR NI BY TO JEDYNY LAD, PO KT RYM M G BYM TROPI . ALE W TAKIM WYPADKU ZNAJDOWA BYM SI W SYTUACJI LAIKA STOJ CEGO PRZED ZDJ CIEM RENTGENOWSKIM. NIE POTRAFI BYM TEGO RYSUNKU ODCZYTA .

LOCHER POKIWA G OW .

– Z rysunku tego dziecka nic by się o mordercy wyczyta nie da wi c po o y zn ej mo na co powiedzie o dziewczynce, kt ra obrazek wykona a. Gretka musia a by dzieckiem inteligentnym, rozbudzonym i weso ym. Dzieci rysuj przecie, poza tym, co widz , jeszcze to,

. Fantazja miesza si u nich z rzeczywisto ci . Tak e i na tym rysunku pewne rzeczy Ni} realne, jak w wysoki m czyzna, auto, dziewczynka, inne zdaj si jakby zaszyfrowane: je e, zwierz o wielkich rogach. Same zagadki. A ich rozwi zanie?... No tak... Gretka zabra a je z sob do grobu. Ja jestem medykiem, a nie wywo ywaczem duch w. Niech pan uchowa sw j rysunek. Zajmowanie si nim nadal to absurd.

– Pan nie chce zdobyć si na odwag , doktorze.

– JA TYLKO NIE CIERPIĘ STRATY CZASU.

– To, co pan nazywa stratą czasu, mo e by po prostu przestarza metod y c pan wie, co to teza robocza. Niech pan we mie moj supozycj , e ten rysunek przedstawia morderc , za tak tez robocz . Niech si pan w czy do mojej fikcji i zbadajmy, co z tego wyniknie.

Locher przez chwil patrzy z namys em na komisarza, po czym wzi si zn w do ogł dania rysunku.

– NO WIĘC, JAK W A CIWIE WYGL DA .

– NIEPOZORNIE.

– Czy był inteligentny?

– NIEGŁ UPI, TYLKO LE .

– CZY NIE BYŁ JU KIEDY KARANY ZA PRZEST PSTWO PRZECIWIW MORALNO CI?

– Coś tam mia z czternastolatk .

– JAKI BYŁ JEGO STOSUNEK DO KOBIET W OG LE?

– JAK TO BYWA Z WĘDROWNYMI HANDLARZAMI, UPRAWIA WSZ DZIE PO TROCHU K USOWNICTWO.

W DOKTORZE OCKN O SI ZAINTERESOWANIE: CO SI TU NIE ZGADZA O.

-e si w don uan przyzna , a potem powiesi , bo poza tym wcale by nie robi na mnie wra enia mordercy seksualnego. Ale przyjmijmy

na razie pa sk hipotez . Wielkolud od Je yk w ze swej powierzchowno ci pasuje, owszem, na

takiego morderc . Wygl da wielki i masywny. Wi kszo ludzi, kt rzy dopuszczaj si takich wykrocze wobec dzieci, to osobniki pierwotne, mniej lub wi cej niedorozwini wimy. Bywaj zwykle silni, sk onni do czyn w gwa townych. Wobec kobiet wykazuj kompleks ni szo ci lub impotencj .

Locher przerwa , jakby mu si nasun o jakie odkrycie.

- Dziwna rzecz - zauważy ,

- Co takiego?

- DATA POD RYSUNKIEM.

- No?...

- WSKAZUJE NA WIĘCEJ NI TYDZIE PRZED MORDERSTWEM. GDYBY PA SKA HIPOTEZA BY A S USZNA, PANIE MATTHAI, TO GRETKA MOSER WNA MUSIA ABY SI BY A SPOTKA ZE SWYM MORDERC JESZCZE PRZED ZBRODNI . TO OSOBLIWE, E OPOWIEDZIA A O TYM SPOTKANIU W FORMIE BAJKI.

- Zwyczajnie - jak dziecko.

LOCHER POTRZ SN G OW :

- NAWET DZIECI NIE ROBIĄ NIC BEZ POWODU - OŚWIADCZY

GRETCE OPOWIADA O TAJEMNEJ SCHADZCE I BIEDNA MA A BY A MU POS USZNA OPOWIADAJ C BAJK ZAMIAST PRAWDY. W PRZECIWNYM RAZIE KTO M G BY BY POWZI PODEJRZENIE I KTO WIE, ZYBY JEJ WTEDY NIE URATOWANO. PRYZNAJ , E W TAKIM WYPADKU CA A TA HISTORIA MA W SOBIE CECHY DIABELSTWA. CZY DZIEWCZYNIKA BY A ZGWA ZNIENACKA.

- Nie.

- CZY DZIEWCZYNIKI PARĘ LAT TEMU W KANTONACH SANKT GALLEN I SCHWYZ W TEN SAM SPOS B ZOSTA Y ZABITE?

- Dokładnie w ten sam.

- TEŻ ZA POMOC BRZYTWY?

- TEŻ .

Teraz i lekarz nala sobie koniaku.

- W TAKIM RAZIE NIE ZASZŁY TU MORDERSTWA SEKSUALNE - ORZEKŁ - LECZ AKT ZEMSTY. SPRAWCA PRAGNAŁ PRZEZ MORDERSTWA ZEM CI SI NA KOBIECIACH BEZ WZGL DU NA TO, CZY POPE NI TO HANDLARZ, CZY TE JE YKOWY WIELKOLUD Z RYSUNKU BIEDNEJ GRETKI.

- Dziewczynka to przecież nie kobieta.

LOCHER NIE DA SI ZBI Z TROPU:

- Ale u człowieka chorobliwie nastawionego mo e /ust pi kobiet . Morderca, kt ry nie o miela si zbli y do kobiety, zbli a si bez obawy do ma ych dziew-

czynek. Zabija dzieci zamiast kobiet. Dlatego te atakuje zawsze ten sam typ dziewczynki. Niech pan to sprawdzi: ofiary są z pewno ci jedna do drugiej podobne. Prosz nie zapomina, że chodzi tu o człowieka prymitywnego bądź niedorozwiniętego od urodzenia, bądź upośledzonego na skutek choroby. Tacy ludzie nie panują nad swymi popędami. Odporność, jak im powinni przeciwstawiać, jest anormalnie słaba. Cholernie ma zachwianie przemiany materii, degeneracja paru komórek, człowiek zmienia się w bestię.

– A CO ZA POWÓD TAKIEJ ZEMSTY?

Locher objaśnił po zastanowieniu:

– Czasem zachodzi konflikt seksualny, kiedy indziej takiego człowieka uciska lub wyzyskuje kobieta. Może, sam bądź ubogi, może bogaty – on albo stoi ona od niego wyżej towarzysko.

– Wszystko to zupełnie do handlarza nie pasuje – stwierdził Matthai.

DOKTOR WZRUSZYŁ RAMIONAMI.

– Do niego może znów pasować coś innego. Pomiędzy mężczyzną a kobietą może liwe są najabsurdalniejsze absurdy.

– CZY, JEŚLI TO NIE HANDLARZ BYŁ MORDERCĄ?

– Kiedy popełniono mord w kantonie Sankt Gallen?

– PRZED PIĘCIU LATY.

– A morderca w kantonie Schwytz?

– DWA LATA TEMU.

– Odstęp staje się

co by to oznaczało – rosnące nasilenie choroby. Opór wobec podniecia musi widocznie stopniowo słabnąć i chory przypuszczalnie popełni teraz nowe morderstwo – już w ciągu paru miesięcy czy nawet tygodni, o ile znajdzie po temu sposobność.

– A JAKIE BYŁOBY JEGO ZACHOWANIE SIĘ W CZASIE TAKIEJ PAUZY?

– ZRAZU CHORY CZUŁBY NIEJAKĄ ULGĘ.

– TĘ MUSIA BYĆ SIĘ NAGROMADZIŁ NOWY ADUNEK NIENAWIŚCI, A Z NIĄ DOŚĆ ABY DO GŁOSU NOWA POTRZEBA ZEMSTY. POCZĄTKOWO TRZYMA BY SIĘ TYLKO W POBLIŻU DZIECI. NA PRZYKŁAD KOŁO SZKÓŁ ALBO NA PLACACH PUBLICZNYCH, PÓŃNIEJ ZACZEŁ BY ZNÓW ROZJE DĄĆ SWOIM WOZEM I POSZUKIWAĆ NOWEJ OFIARY. ZNALEZŁ SOBIE JAKIEŚ DZIECKO ZNÓW BY SIĘ Z NIM POKUMAŁ – CZY OBY SIĘ NA TYM SAMYM.

LOCHER UMILKŁ.

Matthai wziął rysunek, złożył go i wsunął do wewnętrznej kieszeni, po czym wpatrzył się w okno, gdzie już teraz stała noc.

– Niechaj mi pan życzy szczęścia – powiedział – ebym ja jakiegoś wielkoluda odnalazł.

Doktor spojrzawszy na niego zaskoczony i nagle zrozumiał.

– Więc jezykowy wielkolud jednak jest dla pana czymś więcej niż tylko hipotezą roboczą.

– Jest dla mnie rzeczywisty – przyznał Locher, – ale to morderca.

Na to doktor, urażony, że go tak zmylono i że nie przejrzał zamiaru Matthaiego, zaczął dowodzić, jakoby wszystko, co mówił, było czystą spekulacją, grą wyobraźni, czymś bez podstaw naukowych. Twierdził, że wskazywała na jedną tylko możliwość spomienia

TYSIĄCĄ INNYCH. PRZY UŻYCIU TAKIEJ METODY NIKTWO PRZYPIŚCIE MORDERSTWO PIERWSZEMU Z BRZEGU CZ OWIEKOWI. DLACZEGO BY NIE! OSTATECZNIE KADY ABSURD JEST DO POMYŚLENIA I MOŻE NAJWYBIEJ JAKO LOGICZNIE UZASADNIĆ, JAK MATTHAI SAM WIE I NADTO DOBRZE. LOCHER UPEWNIŁ SIĘ, ŻE WZIĄŁ UDZIAŁ W TYM CAŁYM ZMYŚLENIU PO PROSTU PRZEZ PEWNE USTUPLIWOŚĆ, TERAZ JEDNAK MATTHAI POWINIEN POMYŚLEĆ, BEZ WADLIWYCH HIPOTEZ, ZOBACZYĆ RZECZYWISTOŚĆ. TRZEBA SIĘ ZDOBYĆ NA ODWAGĘ I POGODZIĆ SIĘ Z CZYNNIKAMI, KTÓRE JEDNOZNACZNIE WSKAZUJĄ NA HANDLARZA JAKO NA WINOWAJCĘ. RYSUNEK DZIECKA TO, ZDANIEM LOCHERA, TYLKO WYTWÓR FANTAZJI LUB TEJ PRZEDSTAWIA SPOTKANIE Z CZOWIEKIEM, KTÓRY ANI MORDERCĄ NIE JEST, ANI TEJ NIM BYĆ NIE MOŻE.

– NIECHAJ PAN, DOKTORZE, ZDAĆ Z CAŁĄ WYPOWIEDZI MATTHAI I WYPISTOJĄCĄ PRAWDOPODOBIEŃSTWA WYPADA PRZYPIŚCIE NAJWIĘCEJ WYWODOM.

Doktor nie od razu gotów był z odpowiedzi. Siedział po staremu za swoim zwykłym biurkiem, otoczony swymi księgami i protokołami, w swojej funkcji dyrektora od dawna przestarzałej kliniki, gdzie brakowało funduszy i w szczególności lekarzy, których Locher się beznadziejnie szukał.

– Panie Matthai – zakończył wreszcie rozmowę, a w głosie jego czuć było znużenie i ucieczkę od niemożliwości. Nie zamierzam wpadać w panikę. Czowiek o silnej woli, dumny i ambitny, niechętnie daje za wygraną. Rozumiem to, bo sam jestem taki. Ale jeśli pan chce znaleźć mordercę, który według wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie istnieje i którego nawet gdyby istniał, nigdy pan nie wykryje, bo ludzi w jego rodzaju jest zbyt wielu, a nie mordujcie się, to jest to niebezpieczne. Opiera pan swój metodą na obiektywizm; chętnie przyznaj, że jest to dość cenne postawy dzisiaj, jednak imponującej, ale ta metoda nie osiągnie celu, to aby nie pozostało panu kiedyś samo tylko obiektywizm.

– Żegnaj pana, doktorze – powiedziała Matthai.

Locher doniósł mi o tej rozmowie. Jego drobniutkie, jakby grawerowane gotyckie pismo było ledwo do odcyfrowania. Kazałem wezwać Henzięgo. Musiał tak być ten dokument przestudiowałem. Był zdania, że doktor sam ocenia te hipotezy jako bezpodstawne. Ja nie wierzę w tę pewność, doktor zdawał się raczej mieć stracha przed własną odwagą.

Wzbudzi o to we mnie nowe wątpliwości. Nie uzyskaliśmy, ostatecznie, od handlarza szczegółowego przyznania się do winy, nic, co byśmy mogli sprawdzić. Przyznał się tylko ogólnikowo. Poza tym nie zostało jeszcze odnalezione narzędzie zbrodni. Jedna z brzytw znajdujących się w koszu nie nosi śladu krwi. To tak się dawało do myślenia. Nie uniewinnia o to po prostu von Guntena, poszlaki, na których oparte było o podejrzenie, wciąż jeszcze powątpiewałem, ale poczułem niepokój. Poza tym kroki Matthaiego bardziej mi trafiały do przekonania, niż bym był rad przyznać. Ku niezadowoleniu prokuratora posunąłem się do polecenia, aby przeszukano ponownie magendorfski las, co zresztą pozostało bez rezultatu. Narzędzie zbrodni się nie odnalazło. Widocznie leżało w parowie, jak przypuszcza Henzi.

– No – powiedział – wyjmując z pudełka jeden ze swoich wstrząsanych perfumowanych papierosów – myślimy już nic więcej dla tej sprawy zrobić. Albo Matthai zwariował, wreszcie zdecydował.

WSKAZAŁEM NA FOTOGRAFIE, KTÓRE NA MOJE POLECENIE PRZYNIESIONO. TRZY ZAMORDOWANE DZIEWCZYNKI BYŁY DO SIEBIE PODOBNE.

– Przecież i to wskazuje na wielkoluda z jeźnikami.

– Skąd się

wszystkie w „typie”

MIAŁ SIĘ

MATTHAI DALEJ POCZNIE. NIE CHCIAŁBYM BYĆ W JEGO SKRZYWIE.

– NIECH GO PAN NIE LEKCEWAŁY, PORUCZNIKU. ON WSZYSTKO POTRAFI.

– CZY POTRAFI TEŻ WYTROPIĆ MORDERCĘ, KTÓRY WCAŁE NIE ISTNIEJE, PANIE KOMENDANCIE?

– KTO WIE – ODRZEKŁEM I Z OBYEM TRZY FOTOGRAFIE ZN

Isk dzione mi było o mi rację. Pierwsza wiadomość wpłynęła do szefa policji miejskiej. Po jakimś czasie myślnie do rozwikłania spraw kompetencyjnie najwcześniej się napomknęło o Matthaim... Chyba po to, abyśmy się zeznali! Dowiedzieliśmy się, że widujemy go czsto w ogrodzie zoologicznym, a dalej, że w garażu na placu Escher-Wyss kupił sobie używanego nasha. Wkrótce potem dostał dalszy meldunek. Ten mnie już całkiem zbił z tropu. Stało się to w „Kronenhalle” pewnej soboty, co dokładnie pamiętam. Dokoła mnie zgromadziło się wszystko, co cieszy się w Zurychu znaczeniem, dobrą saw oraz dobrym apetytem. Wśród tej elity krzątały się zapobiegliwe kelnerki, voiture'y parowe, z ulicy dochodził odgłos cyrkulacji miejskiej. Konsumowałem akurat, nie przeczuwając nic z ego, zupę z trobianymi knedelkami, pod obrazem pędzla Miro, gdy zaczepił mnie przedstawiciel jednej z wielkich firm materiałów pędnych. Z lekka wstawiony i nadto poufale, przysiadł się bez ceremonii do mego stołu, zamówił sznapsa marci i opowiedział mi ze smutkiem, że mój dawny obywatel zmienił fach i objął w kantonie graubiindzkim, niedaleko Churu, stację benzynową, i to tak, że firma zamierza ją zwinąć jako całość nierentowną.

ZRAZU NIE CHCIAŁEM DAĆ WIARY TEJ NOWINIE. WYDAŁA MI SIĘ NIEDORZECZNA,
GŁUPIA, BEZSENSOWNA.

Agent firmy trwa jednak przy swoim. Chwali

Matthaiego za to, że i w nowym zawodzie znalazł się na wysokości zadania. Stacja benzynowa cieszy się olbrzymim powodzeniem. Matthai ma licznych klientów, prawie wyłącznie takich, z którymi już kiedyś do czynienia. Rozesz o siebie zapewne szeroko, że „Maciej Na Tym Koniec” awansował na kierownika stacji benzynowej, więc te różni starzy bywalcy ruszyli czy pomknęli w asfalu lokomocji motorów ku niemu hurmem ze wszystkich stron. Wszystkie firmy, od przedpotopowych rodzajów w transporcie aż do najdroższych mercedesów, są tam reprezentowane. Stacja benzynowa Matthaiego stanowi dziś jakby miejsce pielgrzymek dla każdego wiata przestępczego wschodniej Szwajcarii. Zużycie benzyny potrafi nie wzrastać. Właśnie firma ustawiła tam drugą pompę dla gatunku super. Proponowano mu też wystawienie nowoczesnego budynku na miejsce starego domu, w którym teraz mieszka. Odmówił z podziękowaniem, odrzucił te propozycje przydzielenia mu pomocnika. Nieraz podobno wozy i motocykle stoją długim wciśniętym w kolejkę, nikt się jednak nie niecierpliwi, bo to znaczy wobec szacunku, że się jest obserwowanym przez byłego oberlejtanta policji kantonowej. Pojechał nie miałem, co mu odpowiedział. Przedstawiciel firmy pojechał się, a kiedy przytoczono buchający parę voiture, nie miałem już w sobie apetytu, jadłem małą i tylko obstałem piwo. Później zjawił się wedle zwyczaju ze swoim Hottingerem Henzi, ponury, bo jakie głośowanie wypadło nie po jego myśli, i wysuchał ode mnie nowin. Powiedział, że przecie Matthai w końcu zupełnie postrada rozum, co on, Henzi, dawno przepowiada. Zaraz też wpadł w znakomity humor i zjadł dwa steki, podczas gdy Hottinger bez przerwy opowiada o teatrze i jakoby znał tam trochę ludzi.

JESZCZE PÓŃNIEJ, PO KILKU DNIACH, ZADZWONIŁ KIEDY TELEFON. PODCZAS KONFERENCJI... OCZYWIŚCIE, ZNOWU Z POLICJĄ MIEJSKĄ ... TELEFONOWAŁA KIEROWNICZKA PEWNEGO

sierocińca, starsza już osoba. Bardzo przejechała, opowiadała mi, że zjawił się u niej Matthai w uroczystym garniturze, całkiem na czarno (widocznie żeby sprawiło dobre wrażenie) i zapytał, czy nie mógłby spomnieć o jej podopiecznych (jak się wyraziła) zabranie określonej dziewczynki. Tylko o to dziecko mu chodziło, nie o inne. Zawsze pragnął jakoby mieć własne dziecko, a teraz, kiedy sam jeden prowadzi garaż w kantonie Gryzów, bybyłoby w stanie dziecko wychować. Oczywiście, odrzuciła ofertę, ale grzecznie, powołała się na statut przytułku, by mógł oberlejtant zrobić na niej wszelako tak dziwne wrażenie, że uważa ją za swój obowiązek mnie zawiadomić. Co powiedział, rozczynał. To było rzeczywiście dziwne. Miałem z wolna, w osłupieniu, mojego bahianosa.

ALE CAŁKIEM NIEMOŹLIWE WYDAŁO NAM SIĘ DOPIERO NA KOSZAROWEJ POSTANOWIENIE MATTHAIEGO PRZY INNEJ OKAZJI. WEZWALI MY BYLI DO SIEBIE NADZWYCZAJNIE PODEJRZANE INDYWIDUUM. CHODZI O NIEOFICJALNEGO STRAŻNIKA, KTÓRY POD MASKĄ OFICJALNEGO FRYZJERA DAMSKIEGO ZADOMOWIŁ SIĘ NADER WYGODNIE W PEWNEJ WSI NAD JEZIOREM, WYRÓBNIANEJ PRZEZ WIELU

POET W, I ZAJMOWA TAM OKAZA WILL . W KA DYM RAZIE RUCH TAKS WEK I AUT PRYWATNYCH W T STRON BY ARCYO YWIONY. LEDWOM GO ZACZ PRZES UCHIWA , KIEDY MNIE ZAJECHA ATUTEM. PROMIENIA Z RADO CI, E MO E NAS K U W OCZY NOWIN , JAKOBY MATTHAI ZAMIESZKA PRZY SWOJEJ STACJI BENZYNOWEJ WSP LNIEM Z HELLER WN . ZATELEFONOWA EM NATYCHMIAST DO CHUR, A POTEM DO MIEJSCOWEGO POSTERUNKU POLICJI: INFORMACJA ZGADZA A SI . ZAPOMNIA EM J ZYKA W G BIE. DAMSKI FRYZJER TRIUMFUJ CO TRWA NAPRZECIW MEGO BIURKA UJ C SW J CHEWING GUM. SKAPITULOWA EM, KAZA EM STAREGO DRANIA PU CI NA Z AMANIE KARKU. JEGO BY O NA WIERZCHU.

Ten wypadek wznieci u nas pop och. Ja ca kiem zba- rania em, Henzi by

en niesmaku, a radca kantonalny, o kt rego si r wnie sprawa opar a, napomyka o ha bie. Heller wn by a

W SWOIM CZASIE NASZYM GO CIEM PRZY ULICY KOSZAROWEJ. JEDNA Z JEJ KOLE

E TO OKRE LI WNIE ZNANA CA EMU MIASTU DAMA, ZOSTA A ZAMORDOWANA; MIELI MY W PODEJRZENIU HELLER WN , E WIE O TEJ AFERZE WI CEJ, NI NAM OPOWIEDZIA A. P NIEJ ZOSTA A W KR TKIEJ DRODZE WYDALONA Z KANTONU ZURYSKIEGO, MIMO NA JEJ BY O ZARZUCI . LUDZIE ZASIADAJ CY W ADMINISTRACJI MIEWAJ

UPRZEDZENIA... POSTANOWI EM INTERWENIOWA I POJECHA NA MIEJSCE. WYCZUWA EM, E POST POWANIE MATTHAIEGO MA ZWI ZEK Z GRETK MOSER, NIE ROZUMIA EM JEDNAK JAKI. NIEWIEDZA TA PRZYPRAWIA A MNIE O W CIEK O I POZBAWIA A PEWNO CI SIEBIE, A DODA DO TEGO NALE Y ZACIEKAWIENIE KRYMINOLOGA. ZRESZT , JAKO M OD PRZESTRZEGANIA PORZ DKU, MIA EM WPROST OBOWI ZEK OSOBI CIE DOWIEDZIE SI , CO W TRAWIE PISZCZY.

Wyruszy em wi c. W asnym wozem i sam. By a zn w akurat niedziela i gdy teraz patrz wstecz, zdaje mi si , e wiele wa nych rzeczy, zwi zanych z t histori , zdarzy o si wa nie w dni niedzielne. Zewsz d s ycha by o odg os dzwon w, ca y kraj zdawa si hucze i brz cze ; w dodatku trafi em w kantonie Schwyz w istn procesj niej w ka dej wiosce zacz dochodzi ze strzelnic gwizd, terkot i grzmot strza w. Wszystko doko a zdj te by o potwornym, bezsensownym niepokojem. Zdawa o si , e ca a Szwajcaria wschodnia zostala wprawiona w ruch; w jakim punkcie odbywa y si wy cigi samochodowe; pod a o na nie mn stwo woz w ze Szwajcarii zachodniej; zje d ano si rodzinami, ca e grupy krewniacze toczy y si po drogach, a gdy wreszcie dotar em do wiadomej i panu stacji benzynowej, by em wyko czony tym ca ym rwetesem dnia wi tego. Rozejrza em si naok . Stacja benzynowa nie sprawia a w owym czasie wra enia takiego zaniedbania jak dzisiaj. Prezentowa a si raczej sympatycznie, czysto, w oknach kwit y pelargonie. Nie by o te tam wtedy szynku. Wia o od niej solidnym drobnomieszcza stwem. W dodatku wsz dzie przy drodze znajdowa y si przedmioty wskazuj ce na obecno dziecka: hu tawka, na awce du y domek dla lalek, w zek lalczyny, ko na biegunach. Sam Matthai obs ugiwa wa nie jakiego klienta, kt ry spieszenie zwia ze swoim volkswagenem, kiedy ja wysiad em z mego opla. Obok Matthaiego sta a siedmio- czy o mioletnia dziewczynka piastuj c lalk . Mia a

blond warkocze i czerwone sukienki. Dziecko wydało mi się znajome, sam nie wiedziałem skąd, bo do Heller wniósł w końcu ciwie wcale podobne nie było.

– To przecie rudy Meier – zauważyłem wskazując na oddalającą się w

– Benzyny? – zapytała obojganie Matthai. Miała na sobie białą kitny monterski kombinezon.

– PROSZĘ O SUPER.

Matthai napełnił bak, wytarł szyby.

– Należy się czternaście franków w czterdzieści.

DAŁEM PIENIĄDZEM W CIEMNO:

– Dobrze już, dobrze – kiedy chciał wydać resztę, ale zaraz krew mi napłynęła tak tylko wypłynęła.

– Ależ proszę – i zgarnę

W MOMENTU ZAKOPIANIU ZACZĘŁEM SIĘ ZNIEWPRZYGLĄDA DZIEWCZYNCIE.

– MIŁE STWORZONKO – ZAUWAŻYŁEM.

Matthai otworzył drzwiczki auta.

– ŻYCZĘ PANU SZCZĘŚLIWEJ PODRÓŻY.

– NO TAK – WYKRZTUŚLIŁEM – WŁAŚCIWIE TO JA CHCIAŁEM SIĘ Z PANEM RAZ PORZUCIĆ ROZMOWĘ. DO DIABŁA, MATTHAI, CO TO WSZYSTKO MA ZNACZYĆ?

– Panie komendancie, obiecałem pana więcej spraw Gretki Moser nie molestować. Niechże się pan teraz odwzajemni i mnie też obróci się do mnie plecami.

– Doktorze – nalegałem – dajmy pokój dziecinadom.

MILCZAŁ. TYMCZASEM ZNIEWZACZĘ SIĘ GWIZD I KLEKOT STRZAŁY, MUSIAŁA SIĘ I TU W POBLIŻU ZNAJDOWAĆ STRZELNICA. BYŁA PRAWIE JEDENASTA. PRZYGLĄDAŁEM SIĘ, JAK MATTHAI OBSŁUGUJE WOLVO Z ALFA ROMEO.

– I ten również odsiedzia, kiedy swoje powiedziałem, skoro auto odjechało, a my tak weszliśmy do rodka? Ta strzelanina działa mi na nerwy. Nie znoszę tego.

WPROWADZIŁ MNIĘ DO DOMU. W KORYTARZU SPOTKALI MY HELLERA WNIOSŁA Z PIWNICY KARTOFLE. BYŁA TO WCIĄG JESZCZE PIĘKNA KOBIETA I CZUŁEM SIĘ W MEJ ROLI URZĘDNIKA KRYMINALNEGO NIECO ZAAMBARASOWANY. MIAŁEM WOBEC NIEJ ZŁE SUMIENIE. POPATRYWAŁA NA NAS PYTAJĄCO, TROCHĘ JAKBY PRZEZ CHWILĘ ZANIEPOKOJONA, ALE POTEM POZDROWIŁA MNIĘ GRZECZNIE. W OGÓLNOŚCI WRAŻENIE ROBIŁA DOBRE.

– CZY TO JEJ DZIECKO? – SPYTAŁEM, KIEDY KOBIETA ZNIKŁA W KUCHNI.

MATTHAI SKINął POTAKUJĄCO GŁOWĄ.

– SKĄD PAN WYTRZASNAŁ HELLERKA?

- STĄD Z BLISKA. PRACOWA A W CEGIELNI.
- A CO ROBI TUTAJ?
- No, przecież potrzebny mi jest kto ni Matthai.
- POKIWA EM G OW .
- Chciałbym pom wi em.
- MARIANKO, ID DZIECKU MATTHAI.
- DZIEWCZYNKA WYSZ A. POK J BY SKROMNY, ALE CZYSTY. USIEDLI MY PRZY OKNIE ZA STO EM. DOCHODZI A POT NA KANONADA: SALWA ZA SALW .
- PANIE MATTHAI – SPYTAŁEM RAZ JESZCZE – CO TO WSZYSTKO ZNACZY?
- Po prostu, panie komendancie – odrzekł dawny m .
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- KRYMINALISTYCZNA ROBOTA, KOMENDANCIE.
- Zapali em ze z o ci bahianosa.
- .Nie jestem nowicjuszem, ale naprawdę nic nie rozumiem.
- NIECH MI PAN DA TEŻ JEDNO TAKIE.
- Proszę – i podsunąłem mu moje porte-cigares. Matthai przyni s wi ni wk . Siedzieli my w s o cu; okno by o na wp otwarto; tu od pelargonii na oknie zaczyna a si czerwcową pogodną pogodą, no i ta pukanina. Kiedy zaję d a o auto, co si teraz ku po udniowi zdarza o mniej cz sto, obs ug pe ni a Heller wn .
- Locher przecież z o y Matthai po pieczo owitym zapaleniu bahianosa.
- TO NAS NIE POSUNĘŁO NAPRZ D.
- ALE MNIE – I OWSZEM.
- W jaki sposób?
- RYSUNEK TEGO DZIECKA ODPOWIADA PRAWDZIE.
- Czy tak? No, a co znaczą w takim razie te je e?
- Tego jeszcze nie wiem – wyznał Matthai – ale doszedłem, co ma przedstawia zwier z dziwacznymi rogami.
- MIANOWICIE?
- To koziorożec – stwierdził spokojnie Matthai, delektuj c si cygarem i pykaj c na pok j dymem.
- A WIĘC PO TO CHODZI PAN DO ZOO?
- OWSZEM, I TO CAŁYMI DNIAMI. KAZA EM TE DZIECIOM RYSOWA KOZIORO CE. TO, CO NARYSOWA Y, BY O PODOBNE DO ZWIERZ CIA U GRETKI MOSER. ZROZUMIA EM.
- Koziorożec to .herbowe zwierz Gryzon

g ow si Gretce w oczy na tabliczce z numerem wozu.

Rozwi zanie by o proste.

– Mogliśmy byli o tym pomy le em.

MULTHLLL WPATRYWA SI W SWOJE CYGARO: W NARASTANIE POPIO U, W LECIUTKI DYMEK.

– Błąd, jaki pope nili o przypuszczenie, e morderca operuje z Zurychu. W istocie operuje on z kantonu graubundzkiego. Prze ledzi em szlak miejsc zbrodni: wszystkie one le

ZASTANAWIA EM SI PRZEZ CHWIL .

– W tym coś mo e by em zmuszony przyzna .

– To jeszcze nie wszystko.

– TAK? CO JESZCZE?

– Spotkałem m odych rybak w.

– RYBAKÓW?

– No tak, ci lej m wi opc w owi cych ryby.

Wytrzeszczy em na niego zdumione oczy.

– WIDZI PAN – ZACZAŁ SW OPOWIE

EM WPIERW DO KANTONU GRAU- BIINDZKIEGO. TO SI NASUWA O ZE WZGL D W LOGICZNYCH... WKR TCE JEDNAK JASNO SOBIE ZDA EM SPRAW Z ABSURDALNO CI MEGO PRZEDSI WZI CIA: KANTON GRAUBIINDEN TAK JEST ROZLEG Y, E BY OBY TRUDNO ZNALE W NIM CZ OWIEKA, O KT RYM SI NIC NIE WIE POZA TYM, E MUSI BY WYSOKIEGO WZROSTU I E JE DZI AMERYKA SKIM CZARNYM WOZEM STAREGO TYPU. PONAD SIEDEM TYSI CY KILOMETR W KWADRATOWYCH, PONAD STO TRZYDZIE CI TYSI CY MIESZKA C W, ROZPROSZONYCH PO NIEZMIERNYM MN STWIE DOLIN, JEDNYM S EBNO . PEWNEGO CH ODNEGO DNIA SIEDZIA EM BEZRADNIE NAD INNEM W ENGADYNIE I PRZYGL DA EM SI CH OPAKOM UWIJAJ CYM SI PO BRZEGU RZEKI. JU MIA EM SI ODWR CI W INN STRON , GDY SPOSTRZEG EM, E CH OPCY MNIE ZAUWA YLI. WYGL DALI PRZESTRASZENI I POSTAWALI ZAK OPOTANI W MIEJSCU. JEDEN Z NICH MIA PRZY SOBIE W DK W ASNEJ ROBOTY.

– Łów e, ch ci em go.

– A może pan jest z policji? – spytał rudy piegowaty dwunastolatek.

– CZY WYGLĄDAM NA TO?

– No, ja nie wiem.

– NIE JESTEM Z POLICJI – OŚWIADCZY EM, PO CZYM PRZYGL DA EM SI , JAK RZUCALI DO WODY PRZYN T . BY O ICH PI CIU CH OPAK W, A WSZYSCY BEZ RESZTY

POGR ENI W SWYM ZAJ CIU.

– Ani jedna nie bierze – skonstatował po chwili z rezygnacją piegowaty, wygramolił się na brzeg i podszedł do papierosa?

– A TO DOBRE! – POWIEDZIAŁEM. – W TWOIM WIEKU!

– Kiedy pan wygląda na to, że nie ma zamiaru wiańczyć ch opak.

– No, to już chyba muszę powiedzieć em mu pude ko moich „pary anek”.

– Dziękuję. Mam czym zapalić papierosa zaraz dym puszcza jak owiekowi potem, kiedy rybołówstwo tak kompletnie zawiodło butnie.

– No – zauważ, że zdaje się wytrwali od ciebie. Właściwie owi dalej i z pewno cię wkręcą co z owi.

– NA PEWNO NIE, NAJWYŻEJ LIPNIA.

– A ty byś zaraz chciał szczupaka, co? Chyba em się z nim.

– Nic mnie szczupaki nie obchodzą – odrzekł. – Mnie chodzi o pstrągi. To jest po prostu kwestia zarobku.

– JAK TO? – ZDZIWIŁEM SIĘ. – APA EM JE PRZECIE GO YMI R KAMI JAKO DZIECIAK.

Potrzebuję go w związku z lekceważeniem:

– TO BYŁY M ODE. ALE NIECH PAN SPRÓBUJE Z APA GO R K TAKIEGO DOROSŁEGO ZBIAĆ. PSTRĄGI TO DRAPIE NIKI, TAK JAK SZCZUPAKI, ALE SĄ TRUDNIEJSZE DO OWIENIA. DO TEGO POWINNO SIĘ MIEĆ KARTY RYBACK-

– NO, OSTATECZNIE ROBICIE TO I TAK BEZ WYDATKÓW.

– MA TO TĘŻ STRONNICY NIEMIEC E DNLTFKI TOMU NIE DOSTAJEMY SIĘ NA WŁAŚCIWE MIEJSCA. TAM JUT SIĘ SIEDZI CI, CO MAJĄ NA TO PATENT.

– Co to za właściwe miejsca? Co masz na myśli?

– PAN WIDOCZNIE POJĘCIA NIE MA O WŁAŚCIWYCH OPAK.

– NIE PRZECZĘ – POTWIERDZIŁEM.

Siedzieliśmy obaj na wale nadrzecznym.

– PEWNO PAN SOBIE WYOBRAŻA, ŻE W DOKONANIE Y WRZUCIĆ PO PROSTU W WODĘ WŁAŚCIWYCH OPAK.

Spytałem nieco zdziwiony, co by w tym miało być nieprawidłowe.

– To typowe dla początkujących drzy się między rozmawiającymi w dkarstwie potrzebna jest przede wszystkim znajomość dwóch rzeczy: miejsca i przynęty.

PRZYSŁUCHIWAŁEM SIĘ, UWAŻAŁEM NIE, JAK PEROROWAŁ DALEJ:

- Przypuśćmy, że ma pan zamiar z owi pstr ga, takiego ca kowicie wyro ni tego drapie nika. Musi pan w pierw zastanowi si , gdzie ryba najch tniej przebywa. Tam, rzecz jasna, gdzie ma ochron od pr du wody, a poza tym w miejscu, gdzie pr d jest bardzo silny, bo t dy najwi cej przep ywa yj tek. A wi c, dajmy na to, z biegiem wody za jakim sporym kamieniem albo z biegiem wody za filarem mostowym. Takie miejsca bywaj dkarzy koncesjonowanych.

- Prąd w takim miejscu musi by rzy em za nim.

- WIDZ , G OW PROTEKCYJALNIE.

- A przynęta? - dopytywałem si

- To znów zale y, czy pan chce z owi ryb -dra- pie nika, czy te lipnia albo brzan , kt re s a odpowied na ten przykad zn ci pan mo e na wi ni , ale drapie nika, jak pstr g czy oko , musi pan z owi na co yj cego: na komara, robaka lub ma rybk .

- NA COŚ YJ RZY EM W ZAMY LENIU WSTAJ

CZY EM CH OPCU CA E PUDE E NA NIE.

TERAZ WIEM JU , JAK MAM OWI MOJ RYB : WPIERW MUSZ WYBRA MIEJSCE, A P T .

MATTHAI UMILK . D UGO SI NIE ODZYWA EM, PI EM MOJ WI NI WK I, WPATRUJ C SI W T PI KN POR U WST PU LATA Z JEJ PUKANIN ZA OKNEM, ZAPALA EM WYGAS E CYGARO.

- Matthai - zacząłem wreszcie - teraz już wiem, co pan przed chwil rozumia pod rybo wstwem. Tu, przy stacji benzynowej jest sprzyjaj

TWARZ MATTHAIEGO NIE ZMIENI A WYRAZU.

- Ktokolwiek chce się dosta z kantonu graubiindz- kiego do Zurychu, musi t dy przeje d a , chyba e woli objazd prze cz ze spokojem.

- A DZIEWCZYNIKA JEST TĄ PRZYN T EM TO I SAM SI PRZESTRASZY EM.

- Na imię jej Marianka - pouczył mnie Matthai.

- WIEM JUŻ TERAZ, KOGO ONA PRZYPOMINA - STWIERDZIŁEM. - ZAMORDOWANĄ GRETK MOSER.

ZNOWU OBAJ UMILKLI MY. NA DWORZE OCIEPLI O SI , G RY MIGOTA Y W OPARZE. STRZELANINA WCI TRWA A, WIDOCZNIE ODBYWA O SI WI TO KURKOWE.

- Czy nie popełnia pan przez to jakiego - em wreszcie z wahaniem.

- Być mo .

Zafrasowa o mnie to.

- WIĘC ZAMIERZA PAN OCZEKIWA TUTAJ, A MORDERCA B DZIE PRZEJE D A , SPOSTRZE E MARIANK I WPADNIE W ZASTAWION PRZEZ PANA PU APK ?

– MORDERCA MUSI T DY PRZEJECHA .

– Dobrze – powiedziałem po chwili namys my, e pan ma racj i e ten morderca istnieje. Nie jest przecie wykluczone, e tak jest istotnie. W nanym fachu wszystko jest mo liwe. Ale czy nie *qdr.i pan, e pa ska metoda to zbyt wielki hazard?

– KIEDY INNEJ NIE MA – OŚWIADCZY I WYRZUCI NIEDOPA GO TROPI . MUSIA EM WI C SZUKA JEGO NAST PN OFIAR , TO JEST DZIEWCZYNK , I TEGO DZIECKA MUSZ U Y ZA PRZYN T .

– Pięknie – zgodziłem si swoj zapo yczy pan ze sposob w i obyczaj w rybackich. Tymczasem obie te dziedziny nie ca kiem si pokrywaj . Ma ej dziewczynki nie mo e pan przecie trzyma trzyma przyn t u szosy. Dziecko musi chodzi do szko y. A zreszt mo e w og le chce si oddali od tej cholernej pa skiej szosy.

– Wkrótce zaczn si uparcie przy swoim Matthai.

POKIWA EM Z POW TPIEWANIEM G OW .

– OBAWIAM SIĘ, E WBI PAN SOBIE WIEKA W M ZG. NIE MO E PAN PRZECIE POZOSTAWA TU, A ZAJDZIE CO , CO SI MO E NIGDY NIE ZDARZY . ZAK ADAJ C NAWET, E MORDERCA WED UG WSZELKIEGO PRAWDOPODOBIE STWA B DZIE T DY PRZEJE D A , TO NIE JEST PRZECIE POWIEDZIANE, E DA SI Z OWI NA PA SK PRZYN T ... SKORO JU SI TRZYMAMY TEGO POR WNANIA... A W TAKIM RAZIE B DZIE PAN CZEKA I CZEKA ...

– Przy łowieniu ryb tak e trzeba czeka si Matthai,

Wyjrza em oknem i przygl da em si , jak Heller wn obs ugiwa a Oberholzera. Og lat Regensdorfu.

– CZY HELLERKA WIE, PO CO PAN TUTAJ SIEDZI?

– Nie. Wyjaśni em jej, e chodzi mi tylko o znalezienie kogo do prowadzenia gospodarstwa.

Zafrasowa o mnie to wszystko nie na arty. Facet imponowa mi wprawdzie, jego metoda bya niezwyk a, zatr ca a wznios o ci . Wzbudzi we mnie nag y podziw, yczy em mu powodzenia, ju cho by po to, eby upokorzy tego obrzydliwego Henziego, uwa a em jed nak pomys za skazany z g ry na fiasko. Ryzyko by o zbyt wielkie, szanse wygranej zbyt nik e.

– Panie doktorze Matthai – usiłowa em przywo a go do opami e pan mimo wszystko przyj to stanowisko w Jordanii. Inaczej ci w Bernie po l Szafrotha.

– A niech jedzie.

NIE DAWA EM JESZCZE ZA WYGRAN :

– A MOŻE MIA BY PAN OCHOT WR CI DO NAS DO S U BY?

– Nie.

– UŻYWAŁIBY MY NA RAZIE PANA DO S U BY WEWN TRZNEJ. NA DAWNYCH WARUNKACH.

– Nie mam ochoty.

– MÓG BY PAN TE PRZEJ DO POLICJI MIEJSKIEJ. MUSIA BY TO PAN ROZWA Y OD STRONY FINANSOWEJ.

– Jako kierownik stacji benzynowej zarabiam teraz niemal wi cej ni w pa stwowej s u Matthai i doda a si klient, a pani Heller w tej chwili na pewno pilnuje pieczenia wieprzowej.

Wsta i wyszed . Zaraz potem obs u y musia jeszcze jednego klienta... Pi knego Leonka... Kiedy z nim sko czy , ja ju siedzia em w aucie.

– MATTHAI – POWIEDZIAŁEM EGNAJ C SI , E NIE MA NA PANA RADY.

– Ano, tak to już jest – stwierdził i da mi znak, e droga jest wolna. Obok niego sta

wna. Z oczu jej ponownie bi a nieufno . Ruszy em w powrotn drog .

CZEKA TEDY. . NIEUB AGANIE, Z NAMI TNYM UPOREM. OBS UGIWA KLIENT W, WYKONYWA SWOJ PRAC ; TANKOWA BENZYN , DOPE NIA OLIW I WOD , CZY CI SZYBY. ZAWSZE JEDNAKOWE, MECHANICZNE ZABIEGI. PO POWROCIE ZE SZKO Y DZIECKO POZOSTAWA O PRZY JEGO BOKU LUB W POBLI U LALCZYNEGO DOMKU. DREPTA O SOBIE, PODSKAKIWA O, DZIWOWA O SI CZEMU , TO ROZMAWIA O SAMO ZE SOB LUB

odziane w czerwón sukienk siedzia o roz piewane, z fruwej cymi warkoczami, na hu tawce. On ezeka i czeka . Mija y go samochody, wozy wszelkich barw i wszelkich kategorii podatkowych, stare wozy i nowe... Matthai czeka . Spisywa wszystkie auta z kantonu Gryzon w, wyszukiwa w spisie wa cielei, zasi ga telefonicznie o nich informacji w kancelariach gminnych. Heller wn pracowa a w ma ej fabryczce we wsi od strony g r i wraca a do domu dopiero na wiecz r przez pag rek le cy na ty ach stacji benzynowej. Niosa ze sob torb z zakupami i siatk pe n chleba. Nocami kto niekiedy wa sa si doko a domu, sycha by o ciche pogwizdywania, ale kobieta nie otwiera a. Przysz

czenie d ugie, mieni ce si , oci ae, cz sto z gwa townymi wy y si ferie letnie. Wybi a godzina szansy Matthaiego. Marianka pozostawa a przy nim teraz stale, a tym samym trwa a przy drodze, widoczna oczom ka dego przeje d aj cego. Matthai czeka i czeka ... Bawi si z dzieckiem, opowiada bajki: ca ego Grimma, ca ego Andersena, bajki Tysi ca i Jednej Nocy, sam wymy la nowe, robi rozpaczliwe wysi ki, eby dziewczynk przytrzyma obok siebie przy szosie, gdzie mu by a niezbd na. Marianka pozostawa a te przy nim, zadowolona z opowiastek i bajek. Automobili ci przygl dali. si owej parze ze zdziwieniem lub rozczuleniem, widz c w tym idyll ojca z dzieckiem, obdarowywali dziewczynk czekolad , gaw dzili z ni , podczas gdy

Matthai sta na czatach. Czy by ten wysoki, t gawy czowiek by morderc seksualnym? W z jego pochodzi z kantonu Gryzon w. A mo ugi, suchy, kt ry teraz rozmawia z dziewczynk ?... Wa ciciel cukierni w Disentis, jak Matthai dawno o nim wyszpera .

- Co z oliwą? W porz dku? Prosz bardzo: dolej jeszcze z p litra. Dwadzie cia trzy franki i dziesi centym w. ycz szcz liwej drogi.

CZEKA I CZEKA . MARIANKA LUBI A GO, WYSTARCZA JEJ, JEGO ZA ABSORBOWA MORDERCY. NIC DLA NIEGO NIE ISTNIA O POZA T WIAR W JEGO UKAZANIE SI , NIC POZA T NADZIEJ , T T SKNOT , TYM URZECZYWIŚNIENIEM. WYOBRA A SOBIE PRZYBYCIE DRABA, JEGO MASYWNO , NIEZGRABSTWO, INFANTYLIZM. PRZEWIDYWA JEGO POUFA E OBEJ CIE I DZ MORDU... JAK SI B DZIE RAZ PO RAZ ZJAWIA PRZY STACJI BENZYNOWEJ, PRZYJA E JAKI ZEMERYTOWANY KOLEJARZ CZY WYS U ONY URZ DNIK CELNY. WYOBRA A SOBIE, JAK DZIECKO DA SI STOPNIOWO ZWABI TY WP

DZIE ST PA W LAD ZA OBOJGIEM A DO LASU NA TY ACH STACJI BENZYNOWEJ, JAK W KRYTYCZNEJ CHWILI SKOCZY NAPRZ D I JAK DOJDZIE MI DZ Y NIMI DO DZIKIEJ, KRWAWEJ WALKI WR CZ, A DO ROZSTRZYGN I CIA, A DO WYZWOLENIA. JAK WRESZCIE MORDERCA LE E B ROZBITY, SKOWYCZ CY, JAK SI DO ZBRODNI PRYZNA. MUSIA JEDNAK W KO CU POWIEDZIE SOBIE, E TO WSZYSTKO JEST NIEMO LIWE, BO ZBYT JAWNIE CZUWA NAD DZIECKIEM, UZNA , E O ILE REZULTAT MA BY OSI GNI TY, MUSI ZOSTAWI MARIANCE WI CEJ SWOBODY. WTEDY J DOPUSZCZA , BY ODCHODZI A OD SZOSY, ALE TOWARZYSZY JEJ SKRYCIE, POZOSTAWIAJ C BEZ OPIEKI STACJ BENZYNOW , KO O KT REJ STA Y NIECIERPLIWIE POHUKUJ C SAMOCHODY. DZIEWCZYNIKA BIEG A W WCZAS W PODSKOKACH DO WIOSKI, ODDALONEJ O JAKIE P GODZINY DROGI, BAWI A SI Z DZIE MI KO O CHA UP LUB NA SKRAJU LASU, ZAWSZE JEDNAK PO KR TKIM CZASIE WRACA A. PRYZWYCZAJONA DO SAMOTNO CI, BY A P OCHLIWA, A ZRESZT INNE DZIECI OD NIEJ STRONI Y. ZMIENIA NATENCZAS TAKTYK , WYNAJDYWA NOWE ZABAWY, NOWE BAJKI, ZNOWU MARIANK DO SIEBIE PRZYN CA , CZEKA . NIC NIE MOG O GO ZMYLI Z OBRANEJ RAZ DROGI, NIC ZDEZORIENTOWA ... ANI TE SK ONI DO WYJA NIE . BO HELLER WN OD DAWNA JU UDERZY A UWAGA, JAK DARZY JEJ C RECZK . NIE UWIERZY A NIGDY, E J MATTHAI WZI JAKO GOSPODYN I WY CZNIE Z POCZCIWO CI SERCA. WYCZUWA A, E YWI ON JAKI ZAMIAR, BY A JEDNAK U NIEGO BEZPIECZNA, I TO MO E PO RAZ PIERWSZY W YCIU, NIE rozmy la a wi c nad tym d u ej. Mo e te mia a jakie z udzenia; kt wie, co si dzieje w takiej biednej kobiecie. W ka dym razie zainteresowanie, jakie w Mat- thaim wzbudza o jej dziecko, przypisa a z czasem prawdziwej sympatii, mimo e niekiedy zastarza a podejrzliwo i wrodzone poczucie rzeczywisto ci bra y u niej g r .

- Proszę pana - powiedziała raz - nie moja to wprawdzie rzecz, ale czy pan komendant policji kanto- nalnej przyjeżd a tu z mego powodu?

- ALEŻ NIE - ZAPEWNIL J

D E ZNOWU.

- Bo ludzie we wsi o nas gadają.
- TO NIEWAŻNE.
- Proszę pana – zaczęła znowu – czy pobyt pana tutaj ma coś wspólnego z Marianką ?
- GŁUPSTWO! – ROZESZ MIA SIĘ PO PROSTU TO DZIECKO I TYLE.
- Jest pan dobry dla mnie i dla Marianki – stwierdził ona. – Żeby to ja tylko mogła zrozumieć dlaczego.

FERIE LETNIE SKOŃCZYŁ SIĘ; NADESZA WRESZCIE, KRAJOBRAZ STANOWIŁ CZERWONĄ CIEMNOŚĆ, A NADTO CZYTELNY, JAK POD POTEMNOŚCIĄ. MATTHAIEMU ZDAWAŁO SIĘ, JAKBY PRZEPADŁA JAKA WIELKA OKAZJA; MIMO TO, NIEUSTANOWIŁO SIĘ, CZĘKAŁ DŁUŻEJ. DZIECKO CHODZIŁO DO SZKOŁY NA PIECHOTY; W POUDNIU NA WIECZOR PRZEWAŃCZAŁ NA JEJ SPOTKANIE ALBO JĄ PRZYWOZIŁ DO DOMU AUTEM. ZAMYŚLENIEM STAWAŁ SIĘ CORAZ BARDZIEJ NIEDORZECZNY, NIEREALNY, SZANSE SUKCESU MAŁĄ; DOBRZE O TYM WIEDZIAŁ. ILE RAZY MORDERCA MUSIAŁ PRZEJECHAĆ KOŁEM STACJI BENZYNOWEJ, ROZMYŚLAŁ, MOŻE PRZEJECHAĆ Z PEWNO CIĘ RAZ NA TYDZIEŃ, JEDNAK NIC SIĘ NIE DZIAŁO, WCIĄŻ SZUKAŁ PO OMACKU. ANI CIENIA JAKIEGO PUNKTU OPARCIA, ANI LADU CHOBY PODEJRZEŁ TYLKO AUTOMOBILI CIĘ, KTÓRY NADJECHAŁ I ODJECHAŁ, CZASAMI POGAWĘDZAŁ Z DZIEWCZYŃKAMI ... NIESZKODLIWI, PRZYPADKOWI, NIEDOCIECZENI. KTÓRY Z NICH JEST TYM POSZUKIWANYM I CZY W OGÓLE KTÓRY Z NICH JEST NIM? MOŻE TYLKO DLA

tego, myślała, nie wiecie mu się, że wielu pamięta jego dawny zawód, ale tego uniknąć nie mógł, ani się tego tak młodo nie liczył. Trwał jednak dalej przy swoim: czekał i czekał. Odwrót był niemożliwy; inna metoda jak oczekiwanie tu nie istniała. Czekał więc, choć go to wyniszczało; choć nieraz omalby nie zaczął pakować manatki, by wyjechać ratując się ucieczką (niechby nawet do tej Jordanii); choć czasem obawiał się, że rozum traci. To znów zdarzały się godziny, dni całe z obójtowania, gdy ogarniała go apatia, cynizm, gdy myślała: niech się

człowiek oczy ma w suwnię przed stacją, piśnie za sznapsa, otoczony leżącymi na ziemi niedopałkami cygar. Potem znowu brał się do pracy, ale coraz częściej zapadał w ten swój stan obojętności, całymi dniami, ba, tygodniami, zdrętwiał w pracy, w absurdalnym, bolesnym oczekiwaniu. Zgubiony, zdrętwiały, bez nadziei, a jednak nadziei pełen.

DZIEŃ PEWNEGO, GDY TAK SIEDZIAŁ, WYGLĄDAŁ JAKBY USMAROWANY OLIWĄ, NIM WSTRZĄSNĄ. NAGLE UWIADOMIŁ SIĘ, ŻE MARIANKA DOTYKAŁA GO ZE SZKOŁY. WYRUSZYŁ PIESZODROGOWIEM, OBFITUJĄC W KURZ DROG, KTÓRA PO DRUGIEJ STRONIE DOMU SZŁA LEKKO POD GÓRĄ, PONIŻEJ, PROWADZIŁA PRZEZ WYSCHODNIE I PRZECINAŁA LAS. Z JEJ SKRAJU WIDZIAŁ BYŁO W ODDALI WIEŻY: STARE DOPY PRZYCUPNIŁE WOKÓŁ NIOCI, SIWE DOPY NAD DACHAMI. Z TEGO MIEJSCA MOŻNA BYŁO OBJĄDOKIEM DROG, PO KTÓREJ WYPADAŁO PRZYJAZD MARIANKI. NIE BYŁO JEJ TAM ZRESZTĄ ANI LADU. MATTHAI

OBR CI SI KU LASOWI Z NAT ON RAPTEM UWAG I CZUJNO CI : NISKIE WIERCZKI, ZARO LA, ZIEMIA ZAS ANA NA CZERWONO I BRUNATNO SZELESZCZ CYMI LI MI, KO ATANIE DZI CIO A GDZIE W G BI, GDZIE WY SZE JOD Y NASUN Y SI A NA NIEBO I PRZEPUSZCZA Y TYLKO UKO NE PROMIENIE S O CA. PORZUCI DROG I ZACZ SI PRZEDZIERA PRZEZ KOLCZASTE POSZYCIE LASU: GA ZIE BI Y GO PO TWARZY. WYSZED NA JAKI KARCZUNEK, OBEJRZA SI DOKO A ZE ZDZIWIENIEM, NIGDY GO DOTYCHCZAS NIE BY ZAUWA Y . KO CZY A SI TUTAJ SZEROKA DROGA, PROWADZ CA Z PRZECIWNEJ STRONY LASU, KT RA ZAPEWNE S U Y A WSI DO WYW ZKI ODPADK W, BO G RA POPIO U STERCZA A NA POLANIE, A PO JEJ BOKACH WALA Y SI PUSZKI OD KONSERW, ZARDZEWIA E DRUTY, ROZMAITE RESZTKI. ZBIOROWISKO MIECIA, KT RE CI GN O SI W D A DO MA EJ STRU KI BE KOC CEJ PO RODKU POLANY. TU DOPIERO SPOSTRZEG MATTHAI MARIANK . SIEDZIA A NA BRZEGU W SKIEJ SREBRZYSTEJ NITKI WODNEJ; LALKA I TORNISTER LE A Y OBOK.

- Marianko - zawoła na ni .

- JUŻ PRZECIE ID A DZIEWCZYNIKA NIE RUSZAJ C SI Z MIEJSCA.

MATTHAI OSTRO NIE PRZELAZ PRZEZ MIETNISKO I NARESZCIE STAN OBOK DZIECKA.

- CO TU ROBISZ?

- Czekam.

- NA KOGO?

- Na czarodzieja.

DZIEWCZYNIKA MIA A G OW NAPCHAN BAJKAMI: TO CZEKA A NA WR K , TO NA CZARODZIEJA; ZAKRAWA O TO NA KARYKATUR

A GO ZN W DESPERACJA, WIADOMO , E JEGO AKCJA JEST BEZOWOCNA, A JEDNOCZE NIE DOZNAWA OBEZW ADNIAJ CEJ PEWNO CI, E MUSI MIMO TO CZEKA , BO NIC JU WI CEJ ZROBI NIE MO E, TYLKO CZEKA , CZEKA , CZEKA .

- No, to chodź ju bez gniewu. Wzi dziecko za r k i poszed z nim przez las do domu, usadowi si zn w na awce i wbi wzrok przed siebie; przyszed zmierzch, potem noc; zoboj tnia na wszystko; siedzia tam sobie, pali , czeka i czeka . Czekaj automatycznie, zastyg y, nieub agany i tylko niekiedy wybucha szeptem, b aga bezwiednie: „Przybywaj e, przybywaj, przybywaj, przybywaj.” Nieruchomy w bia ym ksi ycowym wietle, niespodzianie zasypia , budzi si zeszytnia y na ko i o szarym wicie w azi wreszcie do ka.

NAZAJUTRZ JEDNAK MARIANKA WR CI A ZE SZKO Y NIECO WCZE NIEJ NI ZAZWYCZAJ. MATTHAI PODNI S SI BY W A

NIE ZE SWEJ AWKI, EBY PO NI POJECHA , GDY NADESZ A 7. TORNISTREM NA PLECACH, PRZY PIEWUJ C POD NOSEM I PODSKAKUJ C TO NA JEDNEJ, TO NA DRUGIEJ NODZE. LALKA ZWISAJ CA U JEJ R KI POW CZY A DROBNYMI STOPKAMI PO ZIEMI.

– Klasówka? – zapytał.

MARIANKA ZAPRZECZY A RUCHEM G OWY I PIEWAJ C DALEJ: „ MANIA SIEDZIA A DO DOMU. NIE ZATRZYMYWA JEJ, ZBYT ZDESPEROWANY, BEZRADNY I ZBYT ZNU ONY, BY JEJ OPOWIADA NOWE BAJKI ALBO PRZYTRZYMYWA PRZY SOBIE NOW JAK ZABAW .

ALE KIEDY PRZYSZ A HELLER WNA, SPYTA A:

– Czy Marianka była grzeczna?

– PRZECIE BYŁA W SZKOLE – ODPOWIEDZIAŁ MATTHAI.

Heller wna spojrz a na niego zdziwiona:

– W szkole? Marianka miała dzi wolne. Co tam by o: konferencja nauczycielska czy jak.

Matthai ockn si : zaw d minionego tygodnia nagle .si rozwia . Przeczu , e spe nienie jego nadziei, kres jego wariackiego oczekiwania, jest tu . Z trudem zapanowa nad sob . Nie pyta Heller wny o nic wi cej, nie rozpytywa te dalej dziewczynki. Za to nast pnego popo udnia pojecha do wsi i zaparkowa w z w bocznej uliczce. Chcia skrycie ledzi dziecko. Zbli a a si czwarta. Z okien dolatywa piew, potem wrzask. Uczniaki powychodzi y i zacz y szale . Powsta y b jki pomi dzy ch opakami, polecia y kamienie; dziewczynki przechadza y si pod r k , ale Marianki w r d nich nie by o. Wysz a i nauczycielka o pow ci gliwym obej ciu, surowo badaj c wzrokiem Matthaiego. Powiedziano mu, e Marianka nie przysz a do szko y, i zapytano, czy nie chora, bo ju przedwczoraj po po udniu jej nie by o, a usprawiedliwienia te nie przynios a. Matthai o wiadczy , e dziecko istotnie choruje, uk oni si i jak szalony pogna autem do lasu. Pobieg p dem na polank . By a pusta. Wyczerpany, ci ko dysz c, podrapany do krwi w cierniach, wr ci do auta i ruszy w kierunku stacji. Nim jednak zd y tam dojecha , dojrza dziewczynk biegn c w podskokach brzegiem drogi. Zastopowa .

– WSIADAJ, MARIANKO – ZACHĘCI J PRZYJACIELSKO, OTWIERAJ C DZWICZKI.

PODA DZIEWCZYNCE R K I WGRAMOLI A SI DO RODKA. ZASTANOWI O GO, E R CZKA JEJ JEST LEPKA, A GDY OBEJRZA W ASN D O , STWIERDZI NA NIEJ RESZTKI CZEKOLADY.

– • Od kogo masz tę czekolad .

– Od jednej dziewczynki – odrzekła Marianka.

– W SZKOLE CIJĄ DA A?

MARIANKA SKIN A TWIERDZ CO.

MATTHAI ZMILCZA . ZAJECHA PRZED DOM. MARIANKA WYSKOCZY A I USIAD A NA AWCE PRZY STACJI. OBSERWOWA J NIEZNACZNIE. DZIEWCZYNKA WSUWA A CO DO UST I U A. ZBLI Y SI Z WOLNA:

– POKAŻ NO – I DELIKATNIE OTWORZY NIEDOMKNI T PI STK DZIECKA. LE A

DZIEWCZYNIKA POTRZESNĄGOW.

KOMISARZ SIĘGNĄDO KIESZENI DZIECKA, WYJĄSTAMT DCHUSTK DO NOSA,
ROZWINĄJ : LE A Y W NIEJ JESZCZE DWIE TRUFLE.

Marianka milczy a.

KOMISARZ NIE RZEKŁ R W NIE ANI S OWA. OGARNĄGO GO NIEWYMOWNE
USZCZĘLIWIENIE. USIADŁOBOK DZIEWCZYNIKA NA ŁAWCE.

– MARIANKO – WYRZEKŁ WRESZCIE. GŁOS MU DRAŁ, A DWIE KOLCZATE
CZEKOLADOWE KULKI TRZYMAŁ OSTRO NIE NA DŁONIE CZARODZIEJ?

Dziewczynka milczy a.

– ZABRONIŁ CI PEWNIENIE OPOWIADAĆ, E SIĘ SPOTYKACIE?

NIE BYŁO ODPOWIEDZI.

– Toteż nie rozgrywał się z nią, tylko z kolegami w Matthai
jutro znów do niego.

TWARZ DZIEWCZYNIKA ZAJAŁA NAGLE NIEZMIERNĄ RADOŚĆ. UCIŚNĄŁ
MATTHAIEGO, ROZGORCZKOWANA ZE SZCZĘCIA, A POTEM PODEM POBIEGŁ DO
SIEBIE NA GRZEBIENIE.

Następnego ranka ośmiej, wnet po moim przyjeździe do biura, Matthai położył mi
trufle na stole. Ledwo się przywitał, tak by wzburzony. Miała na sobie dawny swój
garnitur, ale nie ogolił się i nie włożył krawata. Wziął cygaro z pudełeczka, które mu
podsunęłam, i zaczął wypuszczać kłęby dymu.

– DO CZEGO MAJĄBYĆ WYŚCIEKŁY, CZYLI WYŚCIEKŁY, CZYLI WYŚCIEKŁY.
EM ZASKOCZONY.

– TO SĄ JEJ WŁASNOŚCI MATTHAI.

SPOJRZAŁ NA NIEGO ZE ZDUMIENIEM, OBRACAJĄC W RĘKACH CZEKOLADOWE
KULKI.

– Jak to?

– CAŁKIEŃ ZWYCZAJNIE – OBJAŚNIŁ MATTHAI. GRETCE
MOSER TRUFLE, A ONA ZROBIŁA Z NICH JEJ. TYM SAMYM DZIECIENNY RYSUNEK JEST
ROZSZYFROWANY.

ZACZEŁEM SIĘ MIAĆ :

– JAK PAN TEGO DOWIEDZIE?

– Ano, to samo zdarzyło się teraz z Marianką, tylko w innej relacji z tego,
co zaszło.

PRZEKONAŁ MNIE OD RAZU. KAZAŁEM WEZWAĆ HENZIĘ, KELLERA I CZTERECH
POLICJANTÓW, DAŁEM IM WSKAZANKI ORAZ ZAWIADOMIŁEM PROKURATORA. POTEM
WYRUSZYLIŚMY. STACJA BENZYNOWA OSIEROCIAŁA. PANI HELLER ODPROWADZIŁA
DZIECKO DO SZKOŁY, A SAMA POSZŁA DO FABRYKI.

– CZY HELLERKA WIE, CO ZASZŁO? – SPYTAŁEM.

Matthai potrząsnął głową :

– Nawet się nie domyśla.

Pod yli my na polank . Zbadali my j starannie, ale my nic nie znale li. Potem podzielili my si . Zbli a o si po udnie i Matthai powr ci do stacji benzynowej, eby nie wzbudza podejrze . Dzie by sprzyjaj cy, dziecko we'czwartki po po udniu nie mia o lekcji; przelecia o mi przez my l, e Gretka Moser wna te zosta a zamordowana w czwartek. By pogodny dzie jesienny, gor co, sucho, doko a wsz dzie brz czenie pszcz , os oraz innych owad w, skrzek ptak w, z daleka dobiegaj ce uderzenia siekiery. Godzina druga; dok adnie s ycha by o dzwony ze wsi. I wtedy ukaza a si dziewczynka. Bez wysi ku utorowa a sobie drog przez zaro la naprzeciwko mnie, w podskokach i podrygach podbieg a ze sw lalk do strumyka, usadowi a si tam i tak pozostaa wpatrzona bez przerwy w las, z napi t uwag i byszcz cymi oczyma. Zdawa a si kogo oczekiwaa , nas natomiast dostrzec nie mog a. Poukrywali my si za drzewa i krzaki. P niej wr ci st paj c ostro nie Matthai i opar si w moim s - siedztwie, podobnie jak ja, o pie drzewa.

– MYŚL , E POWINIEN SI ZJAWI W CI GU P .

Skin em g ow .

WSZYSTKO NAJSKRUPULATNIEJ ZORGANIZOWANO. PRYZYST P DO LASU Z SZOSY G WNEJ BY STRZE ONY. ZAINSTALOWALI MY NAWET APARATUR ISKROW UZBROJENI W REWOLWERY. DZIECKO SIEDZIA O SOBIE NAD STRUMYKIEM PRAWIE BEZ RUCHU, W PRZEDZIWNYM, TRWO - NYM, ZAURCZONYM OCZEKIWANIU. ZANI WZNOSI A SI G RA ODPADK W; TOJ S O CE O WIETLA O, TO PADA NA NI CIE KT REJ Z WYSOKICH CIEMNYCH JODE . NIC SI NIE ODZYWA O OPR CZ BRZ KU OWAD W I PTASICH TRYL W, CZASEM TYLKO DZIEWCZYNK A ZANUCI A CIENIUTKIM G OSIKIEM: „ MANIA SIEDZIA A NA KAMIENIU”, WCI POWTARZAJ C W K KO TE SAME S OWA I WIERSZE, A DOKO A KAMIENIA, NA KT RYM DZIECKO SI UMIE CI O, LE A Y RDZAW KUP PUSZKI, OD KONSERW, KANISTRY I DRUT. TYLKO RAZ PO RAZ WIATR NIESPODZIEWANYMI PORYWAMI HUCZA NAD POLAN I LI CIE ZACZYNA Y TA COWA . ZASZUMIA Y I ZN W ZAPAD A CISZA. CZEKALI MY. NIC NIE ISTNIA O DLA NAS NA WIECIE POZA TYM ZACZAROWANYM PRZEZ JESIE LASEM I T MA DZIEWCZYNK W CZERWONEJ SUKIENCIE, SIEDZ C NA POLANIE. OCZEKIWALI MY MORDERCY, ZDETERMINOWANI, DNI SPRAWIEDLIWO CI, ROZRACHUNKU, KARY. P GODZINY DAWNO MIN O, MIN O ICH W A CIWIE DWIE. CZEKALI MY I CZEKALI, TERAZ MY WSZYSCY WYCZEKIWALI MY TAK, JAK TYGODNIAMI, MIESI CAMI WYCZEKIWA BY MATTHAI. NADESZ A GODZINA PI TA, PIERWSZE CIENIE, POTEM ZMIERZCH, ZBLEDNIE CIE, ST PIENIE WSZYSTKICH WIEC CYCH KOLOR W.

Dziewczynka oddala si podskakuj c. Nikt z nas nie powiedzia st wa, nawet Henzi.

– JUTRO WRÓCIMY – POSTANOWIŁEM. – PRZENOCUJEMY W CHURZE, W „KOZIORO CU”.

TAK SAMO CZEKALI MY W PI TEK I W SOBOT . POWINIEN BYM BY U Y POLICJI GRAUBIINDZKIEJ. ALE TO BY A NASZA WPRAWA. NIE CHCIA EM STAN WOBEC

KONIECZNO CI DA- WUNIA WYJA NIE , NIE YCZY EM SOBIE, BY SI KTO DO NUS WTR CA . PROKURATOR TELEFONOWA JU WE CZWARTEK WIECZ R: UNOSI SI , PROTESTOWA , GROZI , NAZYWA WSZYSTKO NIEDORZECZNO CI , SZALA , DA NASZEGO POWROTU. BY EM NIEUGI TY, PRZEFORSOWA EM POZOSTANIE NA MIEJSCU, POZWOLI EM NA POWR T JEDNEGO TYLKO POLICJANTA SZEREGOWCA. CZEKALI MY I CZEKALI. W GRUNCIE RZECZY NIE CHODZI O NAM JU O DZIECKO ANI O MORDERC , CHODZI O O MATTHAIEGO, TEMU CZ OWIEKOWI NALE A O SI , BY RACJA BY A PO JEGO STRONIE, POWINIEN BY OSI GN SW J CEL, INACZEJ MOG O SI ZDARZY NIESZCZ CIE. CZULI MY TO WSZYSCY, NAWET HENZI, KT RY UZNA SI ZA PRZEKONANEGO. W PI TEK WIECZ R ZAPOWIEDZIA STANOWCZO, E NIEZNANY MORDERCA PRZYB DZIE W SOBOT , GDY MAMY PRZECIE JAKO NIEZBITY DOW D, OWE JE E, POZA TYM TWIER-R DZI , E SKORO DZIECKO WCI POWRACA I SIEDZI NIERU- CHOMO NA TYM SAMYM MIEJSCU, TO WIDA KOGO OCZEKUJE. TAK WI C STALI MY GODZINAMI BEZ RUCHU W NASZYCH KRYJ WKACH ZA DRZEWAMI LUB KRZAKAMI, WPATRZENI W DZIECKO, W PUSZKI OD KONSERW, W POWIK ANE DRUTY, W G RY POPIO OWE. PATRZYLI MY PRZED SIEBIE NIC JEDEN DO DRUGIEGO NIE M WI C, NIE ZMIENIAJ C POZYCJI I S YSZ C WCI NA NOWO POWTARZAN PIOSENK :
MANIA SIEDZIA A NA KAMIENIU.

Sytuacja sta a si trudniejsza w niedziel . Przez las zacz li przeci ga zewsz d spacerowicze, ustali a si bowiem pi kna pogoda. N polank wdar si jaki ch r mieszany wraz ze swym dyrygentem- Pozdejmowali marynarki i spoceni, ha a liwi, ustawili si do piewu.

Zahucza o pot ne:

W drowa lubi m ynarz, w drowa .

NA SZCZ CIE STALI MY ZA NASZYMI DRZEWAMI I KRZAKAMI NIE W UMUNDUROWANIU.

POTEM ZABRZMIA O:

Niebo oddaje Panu cze ...

I DALEJ

LECZ NAM SI POWODZI IM DALEJ, TYM GORZEJ.

P niej nadesz a zakochana para zachowuj ca si bez enady mimo obecno ci dziecka, kt re sobie tam po prostu siedzia o i z niepoj t cierpliwoci trwa o w nieodgadnionym oczekiwaniu przez cztery ju popo udnia z rz du. Czekali my i czekali. Odjechali ju trzej policjanci szeregowi wraz z instalacj iskrow , byli my wi c zaledwie samoczwart: poza mn i Mattha- im tylko Henzi i Feller. Cho wa ciwie i to by o nie do usprawiedliwienia, ale dok adnie rzecz bior c, liczy y si tylko trzy popo udnia sp dzone na oczekiwaniu, bo w niedziel teren musia wydawa si mordercy zbyt niepewny. To rozumowanie Henziego uznano za s uszne, tote czekali my jeszcze i w poniedzia ek. We wtorek rano Henzi odjecha , bo kto musia przecie pilnowa porz dku na Koszarowej. Ale Henzi pewien by

my, czekali i czekali, czatowali my i

czatowali, teraz już ka dy sobie, bo nie byliśmy do liczni, by wyszykowa co naprawdę zorganizowanego. Feller obra stanowisko za krzakiem nie opodal drogi le nej. Le a tam w cieniu i drzema w r d jesiennego, a raczej i cie letniego upa u. Raz przy tym tak chrapn , e wiatr zami t tym jego chrapni ciem przez ca polan . By o to we rod . Co si tyczy Matthaiego, to sta on od strony polanki obr cony ku stacji benzy

NOWEJ, JA ZA OBSERWOWA EM WIDOWNI WYPADK W NAPRZECIW NIEGO, PO DRUGIEJ STRONIE. TAKE MY CZATOWALI I CZATOWALI OCZEKUJ C MORDERCY, JE YKOWEGO WIELKOLUDA, I WZDRYGAJ C SI OD KA DEGO AUTA PRZEJE D AJ -CEGO SZOS . DZIEWCZYNIKA PRZEBYWA A W R D NAS CO POPO UDNIE NA POLANCE NAD STRUMYKIEM PIEWAJ C SVOJE: „ MANIA SIEDZIA A NA KAMIENIU”, DR TWA, ZAMROCZONA, NIEZROZUMIA A. ZACZYNALI MY NIENAWIDZI JEJ, BUDZI A W NAS WSTR T. CZASAMI RZECZ JASNA, D UGO NIE PRZYCHODZI A, WA SA A SI W POBLI U WIOSKI ZE SVOJ LALK , NIEZBYT BLISKO JEDNAK, BO PRZECIE WAGAROWA A. NIE OBESZ O SI BEZ TRUDNO CI, KT RE SPOWODOWA Y KONIECZNO MOJEJ ROZMOWY W CZTERY OCZY Z NAUCZYCIELK , BY UNIKN DOCHODZE ZE STRONY SZKO Y. DELIKATNIE NAPOMKN EM, JAK RZECZY STOJ , WYLEGITYMOWA EM SI I UZYSKA EM NIESKWAPLIW ZGOD .

DZIECKO KR Y O DOKO A LASU, A MY MY JE CIGALI WZROKIEM PRZEZ LORNETKI; ZAWSZE JEDNAK WRACA O NA POLANK , PR CZ CZWARTKU, KIEDY KU NASZEJ ROZPACZY POZOSTA O W POBLI U STACJI BENZYNOWEJ. CHC C NIE CHC C, MUSIELI MY SKUPI NADZIEJ NA PI TKU. TERAZ TRZEBA SI BY O DECYDOWA ... MATTHAI UMILK BY OD DAWNA I STA ZA SVOIM DRZEWEM, KIEDY NAZAJUTRZ DZIECKO NADBIEG O PODSKAKUJ LALK I SW CZERWON SUKIENK O SI JAK ZA DNI UPREDNICH. TRWA A WCI JESZCZE WSPANIA A JESIENNA POGODA, KRZEPKA, KOLOROWA I BLISKA, BUCHAJ CA SI PRZED ZWI DNI CIEM... MIMO TO PROKURATOR WYTRZYMA LEDWO P GODZINY. PRZYJECHA BY AUTEM RAZEM Z HENZIM OKO O PI TEJ WIECZ R, ZJAWI SI CA KIEM NIESPODZIEWANIE, PO PROSTU WY ONI SI NAGLE, PODSZED DO MNIE, KT RY STA EM TAM PRZEST PUJ C Z NOGI NA NOG JU OD PIERWSZEJ W PO UDNIE, I CZERWONY'ZE Z O CI WYTRZESZCZY OCZY NA DZIECKO, KT REGO PIOSENKA: „ MANIA SIEDZIA A NA KAMIENIU”, DOLATYWA A CIENIUTKO DO NAS.

Ju od dawna tej piosenki s ucha nie mog em ani patrze na to dziecko: na te jej wstr t budz ce szczerbate usta, na mysie warkoczyki, na niegustown czer won sukienk . Dziewczynka wydawa a mi si teraz odra aj ca, pospolita, chamska, g upia. M g bym j by udusi , zabi , rozerwa na sztuki, byle nie s ysze wi cej tego jej niedorzecznego: „Mania siedzia a na kamieniu.” Mo na by o oszale . Wszystko wygl da o zreszt

e gromadzi o si coraz wi cej opad ego listowia, e pOryWy wiatru sta y si mo e cz stsze, a s o ce, kto wie, czy nie z oci ciej k ad o si na idiotyczne mietnisko. Stawa o si to ju nie do zniesienia, kiedy raptem prokurator ruszy ci ko naprz d.

Ju sam ten fakt by jakby wyzwoleniem... Przedar si przez g stwin i skierowa wprost do dziecka, nie dbaj c, e po kostki zapada przy tym w popi . Na Widok tego marszu wyst pili my i my z ukrycia; wypada o rzecz ko czy .

– NA KOGO TUTAJ CZEKASZ? – WRZASNAŁ PROKURATOR NA DZIEWCZYNK , KT RA ZE SWEGO KAMIENIA WLEPI A W NIEGO PRZERA ONE OCZY, PRZYCISKAJ C DO SIEBIE OBUR CZ LALK A CHOLERO? ODPOWIADAJ ZARAZ.

TERAZ JU WSZYSCY BYLI MY PRZY NIEJ, OTACZALI MY J , A ONA PATRZY A NA NAS PRZERA ONA, ZE ZGROZ , ALE BEZ ZROZUMIENIA.

– Marianko – głos mi dr a ze z o a czekoladki. Na pewno dobrze pami tasz: ma e je yki z czekolady. Czy da ci je czarno ubrany pari?

Dziecko nic nie odpowiedzia o, patrzy o na mnie oczyma pe nymi ez. Teraz Matthai ukl k przy niej i obj jej ramionka.

– PATRZ, MARIANKO – ZACZAŁ PERSWADOWA NAM POWIEDZIA A, KTO CI DA TE CZEKOLADKI. MUSISZ NAM DOK ADNIE OPISA , JAK TEN PAN WYGL DA. ZNA EM RAZ DZIEWCZYNK WI PRZEKONUJ CO, ALE BO TE TO BY W TAKIEJ SAMEJ CZERWONEJ SUKIENCIE JAK TWOJA. JAKI BARDZO WYSOKI PAN DAWA JEJ R WNIE CZEKOLADKI, TAKIE SAME KOLCZATE KU leczki jak te, kt re ty zajada a. A p niej ta dziewczynka posz a z tym wysokim panem do lasu i potem ten wysoki pan zabi j no em.

Sko czy . Dziewczynka wci jeszcze nie odpowiada a, wpatrywa a si tylko w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Marianko – zawoła prawd . Ja przecie chc tylko, eby ci si nie sta o nic z ego.

– KŁAMIESZ – CICHO ODRZEKŁO DZIECKO – KŁAMIESZ.

Wtedy prokuratorowi po raz wt ry nie starczy o cierpliwo ci.

– TY GŁUPIA SMARKULO – WRZASNAŁ, Z APA DZIECKO ZA RAMI I ZACZ NIM POTRZ SA

Przy czyli my si spo em do tego wrzasku. Nie mia o to adnego sensu, ale po prostu nerwy nie wytrzyma y. Szarpali my ni razem z prpkuratorem, raz po raz kt ry z nas j uderzy , wreszcie dali my jej formalnie w sk r , i to okrutnie, z w ciek ym krzykiem. Ma e cia ko le a o pomi dzy puszkami od konserw, w popiele i rumianych jesiennych li ciach. Marianka przetrzymywa a w milczeniu nasz furi przez chwil , kt ra zdawa a si wieczno ci , cho trwa a na pewno nie d u ej ni par sekund, nagle jednak krzykn a takim niesamowitym, nieludzkim wprost g e my zdr twieli i pu cili j z samego strachu. Ten jej ryk przywr ci nam zdrowy rozs dek i wzbudzi zgroz i wstyd nad naszym wyst pieniem.

– BESTIE Z NAS, PRAWDZIWE BESTIE – POWIEDZIAŁEM CI KO DYSZ C. '

Marianka pobiegła pędem przez polankę ku brzegowi lasu.

– TO NIEPRAWDA, NIEPRAWDA, NIEPRAWDA – POWTARZAŁA PRZY TYM, I TO GŁOSEM TAK PRZERAJĄCYM, JEJ POMYŚLELI MY: STRACIŁA ROZUM. TYMCZASEM TAK PÓDZIEC TRAFIŁA WPROST W OBJĘCIA HELLEROWNY, KTÓRY NA DOMIAR 105

NIESZCZĘŚCIE ZJAWIŁA SIĘ NA POLANIE. TYLKO JEJ NAM TU BRAKOWAŁO...

WIEDZIAŁA JUŻ O WSZYSTKIM, BO GDY PRZECHODZIŁA KOŁO SZKOŁY, NAUCZYCIELKA WYGADAŁA SIĘ PRZED NIĄ... POZNAŁA GO OD RAZU, NIE POTRZEBOWAŁA SIĘ WCAŁE PYTAĆ... NO I TERAZ TA OFIARA LOSU STAŁA PRZED NAMI ZE SWOIM DZIECKIEM, KTÓRE KAJC TULIŁO SIĘ DO JEJ KOLAN, I PATrzyŁA NA NAS TAKIM SAMYM WZROKIEM, JAK PRZED CHWILKĄ. OCZYWIŚCIE, ZNAŁA KAŁEGO Z NAS: FELLERA, HENZIEGO I, NIESTETY, PROKURATORA RÓWNIEMIEJ. PRZYKRA I GROTESKOWA SYTUACJA: CZULI MY SIĘ WSZYSCY SKONFUNDOWANI I OKRYCI MIESZNOCIĄ. CAŁA RZECZ NIE BYŁA NICZYM INNYM JAK PARSZYWYM, OBSKURNYM KOMEDIEM.

– Nieprawda, nieprawda, nieprawda – wrzeszczało wci bez opamiętania

WTEDY PODSZEDŁ DO NICH OBU Z UNIEM, NIE MIAŁ

– PROSZĘ PANI – POWIEDZIAŁ GRZECZNIE, A BODAJ NAWET POKORNIE, CO NIE MIAŁO JUŻ ŻADNEGO SENSU, BO TERAZ CHODZI O TYLKO O JEDNO, ŻEBY CAŁA SPRAWA KOŃCZYŁA SIĘ, KOŃCZYŁA SIĘ, KOŃCZYŁA SIĘ NA ZAWSZE, ZA ATWIE TĘ HISTORIĘ I UWOLNIŁ SIĘ DEFINITYWNE OD WSZYSTKICH KOMPLIKACJI... I TO BEZ WZGLĘDU

PANI, STWIERDZIŁEM, ŻE MARIANKA OTRZYMAŁA OD JAKIEGO NIEZNAJOMEGO CZEKOLADKI. PODEJRZEWAM, ŻE WCHODZI TU W GRĘ TEN SAM OSOBNIK, KTÓRY KILKA TYGODNI TEMU ZWABIŁ CZEKOLADKAMI DO LASU PEWNIĄ DZIEWCZYNKĘ I TAM JĄ ZAMORDOWAŁ.

MÓWIŁ Z PRECYZJĄ I TONEM TAK URZĘDOWYM, ŻE SIĘ O MIAŁO NA GŁOS NIE ROZEMIAŁA. KOBIETA PATrzyŁA MU W OCZY WYRAJĄC SPOKOJEM. PO CHWILI PRZEMÓWIŁA RÓWNIEMIEJ CEREMONIALNIE I GRZECZNIE JAK MATTHAI.

– PANIE DOKTORZE – SPYTAŁA CICHKO – CZY PAN ZABRAŁ MNIE I MARIANKĘ NA SWOJĄ STACJĘ BENZYNOWĄ TYLKO PO TO, ŻEBY WYKRYĆ TEGO OSOBNIKA?

– Nie było innej rady, proszę komisarz.

– Świnia – orzekła spokojnie, z niewzruszoną twarzą rzuciła, Hellerówna, zabiera swoje dziecko i odeszła w kierunku stacji benzynowej.

Stali my teraz na tej polance już na pół w cieniu, okoleni przez stare puszkę od konserw i sploty drutów, ze stopami wbitymi w popiół i suche liście. Skończyła się impreza została pozbawiona sensu, była mieszana. Ostateczną klęską, katastrofą. Przyszedł do rękawicy jeden Matthai. Przybrał nawet w swojej niebieskiej monterskiej bluzie postawę sztywną i godną. Stajcie o krok od prokuratora skłonił mu się

– PANIE DOKTORZE BURKHARD, TERAZ CHODZIŁOBY JU TYLKO O TO, BY
, CZEKA I JESZCZE RAZ CZEKA .
JE LI MI PAN MO E DA DO DYSPOZYCJI DALSZYCH SZE CIU LUDZI ORAZ APARATUR
ISKROW , UWA A BYM TO ZA WYSTARCZAJ CE.

PROKURATOR ZMIERZY PRZESTRASZONYM WZROKIEM MEGO BY EGO
PODKOMENDNEGO. WSZYSTKIEGO SI SPODZIEWA , TYLKO NIE TEGO. CHWIL
PRZEDTEM POSTANOWI BY POWIEDZIE NAM WSZYSTKIM, CO MY LI. TERAZ
PRZE KN TYLKO PAR RAZY, PRZESUN R K PO CZOLE, PO CZYM WYKONA
NAGLE W. TY ZWROT, CI KO ST PAJ C RUSZY Z HENZIM PRZEZ OPAD E LI CIE KU
LASOWI I ZNIK . NA ZNAK PRZEZE MNIE DANY ODSZED TAK E I FELLER.
POZOSTALI MY WE DW CH Z MATTHAIM.

– POS UCHAJ A EM, ZDECYDOWANY
PRZYWO A WRESZCIE TEGO CZ OWIEKA DO OPAMI TANIA I W CIEK Y, E SAM
POPAR EM I UMO LIWI EM T CA BUJD A SI , ZAPRZECZY SI
TEMU NIE DA. CZEKALI MY WI CEJ NI TYDZIE I NIKT SI NIE ZJAWI .

MATTHAI ZRAZU NIC NIE ODRZEK , ROZEJRZA SI TYLKO WKO O UWA NIE,
DOCIEKLIWIE. POTEM DOSZED DO SKRAJU LASU, OKR Y POLANK , WR CI DO
MNIE... STA EM WCI JESZCZE NA TYM MIETNISKU PO KOSTKI W ZWIETRZA YM
POPIELE.

– Dziecko na niego czekało wreszcie.

Potrz sn em przecz co g ow i zaoponowa em;

– Dziecko tu przychodziło, eby si znale w samotno ci, eby posiedzie nad
strumykiem, pomarzy sobie wraz z lalk , po piewa : „Mania siedzia a na kamieniu.”
To, e mia a kogo oczekiwa , by o interpretacj , jak my my temu zdarzeniu
narzucili.

Matthai s ucha mnie z uwag .

– MARIANKA DOSTAŁA JE PRZEKONANY WCI JESZCZE O
SWEJ S USZNO CI.

– Marianka dostawała od kogo czekoladki, to si em
dal. – Iluż jest ludzi, co lada dziecku dadz czekoladki! To jednak, e truille to je yki
z owego dziecinnego obrazka, to r wnie tylko pa ska wyk adnia, doktorze, i nie ma
adnego dowodu, e tak jest w istocie.

Zn w Matthai nic nie odpowiedzia . Uda si ponownie na brzeg lasu, raz jeszcze
obszed polank , poszuka czego w miejscu, gdzie skupi o si opad e listowie,
wreszcie poniecha tego i zn w powr ci do mnie.

– TO JEST MIEJSCE SPRZYJAJĄCE ZBRODNI – ORZEKŁ. – TO SIĘ DAJE WYCZU .
JA B D CZEKA DALEJ.

– Ależ to absurd – odrzekł em wyczerpany, wstrz sany strachem i wstr tem,
ca y W dreszczach.

– On tu przyjdzie – zapewnił Matthai.

KRZYKNĘM NA NIEGO NIE POSIADAJ C SIĘ D U JEJ:

– Bujda, bzdura, idiotyzm!

ZDAWA SIĘ W OGÓLE NIE S YSZE .

– Wracajmy do stacji – powiedział.

RAD BY EM M O C WRESZCIE PORZUCIĆ TO PARSZYWE, NIESZCZĘSNE MIEJSCE. S O C E STA O JU TERAZ NISKO, CIENIE STA Y SIĘ ARCYDUGIE, ROZLEGŁA DOLINA ARZY A SIĘ JASKRAWYM Z OTEM, B O KIT ROZWIESZONEGO NAD NIĘ NIEBA BY CZYSTY. JA WSZAK E CZU EM DO TEGO WSZYSTKIEGO NIENAWIŚĆ: MIA EM WRÓCENIE, E MNIE WPAKOWANO DO OLBRZYMIJ KICZOWATEJ WIDOK W KŁ. CHWILĘ P O NIEJ WY- ONI A SIĘ GŁÓWNA SZOSA KANTONALHA Z P O D Z C Y M I SAMOCHODAMI: OTWARTE WOZY UKAZYWA Y BARWNE STROJE; PRZEWAŁA SIĘ Z HUKIEM GRZMOTU ISTNY SP YW ZAMO NO CI... JEDNYM S Y MY DO STACJI BEN- ZYNOWEJ. OBOK POMP CZEKA W MOIM WOZIE FELLER, JU ZNOWU NA P O U P I O N Y. NA H U TAWCE SIEDZIA A MARIANKA I, CHO ZABEZCZANA, PIEWA A BLASZANYM G O S I K I E M S W O J E: „ M A N I A S I E D Z I A A N A K A M I E N I U ”, A O U S Z A K D R Z W I S T A O P A R T Y J A K I D R A B, Z A P E W N E R O B O T N I K Z C E G I E L N I, Z R O Z C H Y L O N A W O C H A T E J P I E R S I K O S Z U L O R A Z P A P I E R O S E M W U S T A C H, I S Z C Z E R Z Y Z B Y W U M I E C H U. N I E Z W R A C A J C N A N I E G O U W A G I M A T T H A I W S Z E D

U, PRZY KTÓRYM KIEDY SIEDZIELI MY. USZYKOWA SIĘ APSA I ZACZĘŁ SOBIE NALEWA KIELISZEK ZA KIELISZKIEM. JA NIC PIŃ NIE MOGĘM, TAKI MIA EM DO WSZYSTKIEGO WSTRĘT. ILELLERKI NIE BYŁO WIDAĆ .

– Niełatwo będzie to wykonać

– e pan s dzi, e lepiej, e bym czekał tu, przy stacji benzynowej? NIE ODPOWIEDZIA EM. MATTHAI PRZECHADZA SIĘ, POPIJA NIE DBAJ C O TO, E MILCZ .

– GŁUPIO TYLKO, E TERAZ HELLER WNA I MARIANKA

0 tym wiedz y da Wyrwna .

Ze dworu dolatywa a wrzawa szoSy i wydzieranie si

dziecka: „ Mania siedzia a na kamieniu.”

– - IDĘ JU EM.

PI DALEJ, NAWET NIE SPOJRZA NA MNIE.

– BĘD CZEKA CZ CIOWO TUTAJ, CZ CIOWO K B

– BYWAJ PAN ZDRÓW. – TU OPUŚCI EM POKŁ, WYSZED EM NA DWÓR, MIN EM DRABA, POTEM MARIANK

1 skin em na Feller. Ten ocknął się ze swego odrętwienia, podjechał i otworzył drzwiczki afuta.

– Na Koszarową – powiedzia em.

Oto i cała historia, przynajmniej o tyle, o ile miał biedny Matthai bierze w niej warty

udzia gn dalej sw opowie komendant policji kantonalnej...

W TYM MIEJSCU NALE Y PRZED WSZYSTKIM NADMIENI , E

SKO CZYLI BYLI NASZ JAZD Z CHURU DO ZURYCHU I TERAZ
SIEDZIELI MY

W OWEJ TYLEKRO W TRAKCIE OPOWIADANIA WSPOMINANEJ I WYCHWALANEJ „
KRONENHALLE”. OCZYWI CIE OBS UGIWA A NAS EMMA POD OBRAZEM GUBLERA,
KT RY ZAST PI OBRAZ P DZLA MIRO, WSZYSTKO WEDLE ZWYCZAJ W MOJEGO ROZ-
M WCY. POZA TYM TRZEBA STWIERDZI , E MY JU BYLI PO JEDZENIU, POCZYNAJ C
OD VOITURE I BOLLITO MILANESE, KT RE, JAK WIADOMO, R WNIE NALE A O DO
TRADYCJI DRA H., WI C DLACZEGO NIE MIA BYM MU I W TYM SEKUNDOWA . ZBLI A A
SI CZWARTA I PO „ PARTAGA- SIE” – JAK KOMENDANT OKREŚ LA SWOJ
NAMI TNO WYPALANIA PRZY EKSPRESOWEJ KAWIE HAWA

STOWA MNIE POWT RK SZARLOTKI DO TOWARZYSTWA MAJ CEJ NAST PI
R SERVE DU PATRON. ALE TERAZ PONADTO NALE Y JESZCZE DODA ZE WZGL D W
CHO BY CZYSTO TECHNICZNYCH, A TAK E GWOLI PISARSKIEJ RZETELNO CI ORAZ RZE-
MIOS U LITERACKIEMU NA CHWA , E, OCZYWI CIE, NIE ZAWSZE ODDAWA EM
OPOWIE ELOKWENTNEGO STARUCHA TAK, JAK MI ONA BY A PODANA. NIE CHODZI
JU O TO, E MY ROZMAWIALI, RZECZ JASNA, NIEMCZYZN SZWAJCARSK , ALE MAM
NA MY LI TE PARTIE OPOWIADANIA, GDZIE KOMENDANT RELACJONOWA NIE OD SIEBIE,
NIE SVOJE W ASNE DOZNANIA, LECZ OPOWIADA NIEJAKO OBIEKTYWNIE O PEWNYCH
DZIA ANIACH JAKO TAKICH, CHO BY NA PRZYK AD W TEJ SCENIE, GDZIE MATTHAI
SK ADA SWOJ OBIETNIC . W TAKICH MIEJSCACH TRZEBA SI BY O SAMEMU
W CZY I KSZTA TOWA A KSZTA TOWA EM SOBIE
PRZY TYM WIELE TRUDU, BY NIE ZAF A SZOWA ZDARZE I TYLKO OPRACOWYWA
MATERIA , DOSTARCZANY MI PRZEZ DOKTORA H., WED UG PEWNYCH STA YCH
PRAWIDE PISARSKICH. PRZYGOTOWA GO DO DRUKU.

– NATURALNIE – MÓWI EM JESZCZE KILKA
RAZY DO MATTHAIEGO, CORAZ BARDZIEJ ZRESZT PRZEKONANY, E NIE MIA ON
RACJI PRESUPONUJ C NIEWINNO HANDLARZA, TYM WI CEJ, E SI W NAST PNYCH
MIESI CACH, BA, NAWET LATACH, ADNE NOWE MORDERSTWO NIE ZDARZY O C ,
NIE POTRZEBUJ WCHODZI W SZCZEG Y: CH OP ROZPI SI , ZESZED NA PSY,
ZIDIOCIA . NIE MO NA NIC TU BY O POM C ANI ZMIENI . DOKO A STACJI BENZYNO-
WOJ R NI FACECI SKRADALI SI TERAZ I POGWIZDYWALI PO NORACH, ALE JU NIE NA
DARMO. NIEDOBRZE SI TAM DZIA O I F^{RAUBUN}DZKA POLICJA DOKONA A KILKU
OB AW. A MUSIA EM JA SAM KOLEG W Z CHURU WYPROWADZI Z NIE-
WIADOMO CI, PO CZYM ZACZ LI PATRZE PRZEZ PALCE, CZY TE W OG LE PATRZE
PRZESTALI... ONI TAM ZAWSZE MIELI WI CEJ ROZS DKU NI MY U NAS... TAK WI C
WSZYSTKO TOCZY O SI G ADKO KU FATALNEMU ZAKO CZENIU, A REZULTAT
OGL DA PAN SAM W TRAKCIE NASZEJ JAZDY. SMUTNE TO NAPRAWD , ZW ASZCZA E
I MA A, TA W A NIE MARIANKA, INK E POKIEROWA A SI NIE LEPIEJ. MO E AKURAT

DLATEGO, JE ZARAZ WTEDY RÓŻNE STOWARZYSZENIA PO PIESZY I NA JEJ RATUNEK. ZAOPIEKOWANO SIĘ NIEM, ONA JEDNAK ZAWSZE UCIEKA I Z POWROTEM NA STACJĘ BENZYNOWĄ, PRZY KTÓREJ LLELLERKA OTWORZYŁA PRZED DWOMA LATY TEN OBSKURNY SZYMK... LICHO WIE, W JAKI SPOSOB WYMANEROWAŁA SOBIE KONCESJĘ, W JAKI DYM RAZIE TO WYKONAŁA CZY O MIAŁA. W CZYTA SIĘ. I TO POD KĄTEM WZGLĘDEM. PRZED CZTEREMA MIESIĄCAMI SKOŃCZYŁA ODSIADYWAĆ WIELKI WIECZOR
E NAUCZY O. M. G. TO PAN ZRESZT
SAM STWIERDZI, WIEC SZKODA GADAĆ.

Pewno jednak od dawna zadaje sobie pan pytanie, co ta moja historia ma wspólnego z krytyką, jakiej poddał ją pański wykład, i dlaczego nazwał ją Matthaiego genialnym. Słusznie... Pomysł, który

sobie nawet wyobrazi, co pan teraz w tym swoim pisarskim męgu wykombinuje. Wystarczy znać Matthaiego i pozwoli mu zapaść mordercę, a już miałoby się najpiękniejszą powieść czy scenariusz. Powie pan dalej, że w końcu zadanie pisarstwa polega na losowaniu specjalnej sztuczki, moc której rzeczy rolne się przejrzyście, tak że i wyszła idea może przez nie

¹ MIEJSCOWO, W KTÓREJ MIE CI SIĘ ZAKŁADAM POPRAWCZY.

przebiega, staje się wyczuwalna. Za pomocą takiego figla, czyli za pomocą sukcesu Matthaiego, stałoby się mój skapcania i detektyw nie tylko kim interesującym, ale jak postaci wprost biblijnej

, wierzę w bezwinnych winowajcy, tropi nie istniejącego mordercę, zmienia się w historii jego znaczenia. Winowajca handlarz stanie się w tym kręgu wniosłego zmyślenia niewinnym, nie istniejący zbrodniarz zaistnieje, a zdarzenie, które ma na celu wyszydzenie ariwiości ludzkiej wiary, kpiny z ludzkiego rozumu, stanie się zdarzeniem gloryfikującym te dary. Mniejsza, czy fakty istotnie tak się układają, czy nie, powie pan sobie, ostatecznie rzecz gówna to to, że taka ocena zdarzenia jest również dopuszczalna. Tak mniej więcej sobie imaginuję bieg pańskiej myśli i mogę wręcz przepowiedzieć, iż taki wariant mojej historii jest na tyle podnoszący na duchu, iż optymistyczny, a będzie się po prostu musiało co prędzej ukazać jako powieść, czy jako film.

OPOWIE PAN Z GRUBSZĄ RZECZĄ TAK, JAK JĄ JĘ OPOWIEDZIE PRÓBOWAŁEM, ALE, OCZYWIŚCIE, LEPIEJ. JEST PAN WRESZCIE FACHOWCEM Z TEJ BRANŻY... TYLKO JE U PANI PRZY KÓNCU ZJAWI SIĘ POTEM NAPRAWDĘ MORDERCA, A WTEDY SPĘNI SIĘ NADZIEJE I WIARA ZATRYUMFUJE, PRZEZ CO OPOWIEŚĆ STANIE SIĘ

CIĄ DLA WIATA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO. MOŻE NA OBMYŚLIĆ I DALSZE ZAGODZENIA. PROPONUJĘ NA PRZYKŁAD, BY MATTHAI, TU PO ODKRYCIU TRUFLI, ZDAŁ SOBIE SPRAWĘ Z NIEBEZPIECZEŃSTWA, JAKIE GROZI MARIANCE, I NIE BYŁ W STANIE URZECZYWIŚNIENIA DŁUGIEGO PLANU, WEDŁUG KTÓREGO DZIECKO MIAŁO SIĘ ZA PRZYNTY. CZY PRZYCZYNNĄ BYŁO TU DOJRZA

, E. M. G. BY WTEDY MARIANKĘ WRAZ Z

MATK UMIE CI W BEZPIECZNYM MIEJSCU, A NAD STRUMYKIEM POSADZI WIELK
LALK .

POT

AN-

by uroczy cie z lasu o zachodzie s o ca, kieruj c swe kroki do
mniemanego dziecka i napawaj c si z g ry rozkosz , jak mu po d ugiej przerwie
sprawi ponowne manipulowanie brzytw . wiadomo , e wpad w piekieln
pu apk , doprowadzi aby go do furii, do ataku sza u. Nast pi aby walka z Matthaim i
policj , a potem, mo e na samym ko

ca rozmowa rannego komisarza z dzieckiem, nied uga,
kilka urywanych zda ... Bo i czemu by nie!... Dziewczynka uciek aby po prostu od
boku matki, eby si spotka z ukochanym czarodziejem, dozna nieopisanego
szcz cia. Tym trybem wszystkie okropie stwa mog aby zako czy po wiata
agodnych uczu

- by pan co zgo a innego; znam ju pana
przecie troch , cho , prawd m wi c, Maks Friseh jest mi bli szy. W a nie ta
bezsensowno by pana korci a, to, e kto wierzy w niewinno przest pcy i szuka
mordercy, kt rego istnienie jest niemo liwe, jake my do trafnie zreasumowali
sytuacj - eby nas z policji doszcz tnie
o mieszy , b dzie pan okrutniejszy ni sama rzeczywisto . Matthai znalaz by wi

faktycznie morderc , jednego z tych pa skich dziwol g w, na przykad
jakiego najpoczciwszego w wiecie sekcia- rza-kaznodziej , kt ry w rzeczywisto ci
by by oczywi cie niewinny i po prostu niezdolny do z ego, i w a nie dlatego na nim
skupi yby si , pod ug jednego z tych z o liwych pa skich pomys w, wszystkie poszlaki.
Tego to „czystego g upka" Matthai by doprowadzi do zguby, wszystkie dowody by si
zgadza y, po czym uszcz liwiony detektyw, s awiony i czczony jako geniusz, zosta by
na nowo przyj ty do policji. To tak e by oby do pomy lenia.

WIDZI PAN, E PODPATRZY EM DOBRZE WSZYSTKIE TE WASZE CHWYTY. NIE
PRZYPISUJE PAN JEDNAK Z PEWNO CI CA EJ TEJ MOJEJ PAPLANINY WY CZNIE
DZIA ANIU R SERVE

TYLKO PAN WYCZUWA, E
POZOSTAJE MI JESZCZE DO OPOWIEDZENIA, CHO NIECH TNIE, KONIEC TEJ HISTORII. E
TA HISTORIA POSIADA JESZCZE, NIESTETY, I POINT , NIE POTRZEBUJ PRZED PANEM
UKRYWA , A E TA POINTA JEST MOCNO PARSZYWA, PAN SI NA PEWNO DOMY LA,
TAK PARSZYWA, E PO PROSTU NIE DO U YCIA W PRYZYWOITEJ POWIE CI CZY FILMIE.
POINTA JEST TAK MIECHU WARTA, G UPIA I TRYWIALNA, E CHC C WNIE T
HISTORI NA PAPIER, TRZEBA BY ZAKO CZENIE BEZ CEREMONII POMIN . MUSZ PRZY
TYM UCZCIWIE WYZNA , E PRZEMAWIA ONO PRZEDE WSZYSTKIM NA KORZY
MATTHAIEGO, STAWIA GO WE W A CIWYM WIECLE, PODKRE LA GENIALNO , Z
KT R CZ OWIEK TEN TAK DALECE PRZEJRZA UKRYTE PRZED NIMI SPR YNY
RZECZYWISTO CI, E PRZEBI SI PRZEZ HIPOTEZY I PRZYPUSZCZENIA, KT RE NAS
OSACZAJ , I DOTAR W POBLI E OWYCH PRAW, DO KT RYCH NIGDY ZAZWYCZAJ NIE
DOCHODZIMY, PRAW, KT RE WIAT UTRZYMUJ NA CHODZIE. RZECZ JASNA, E
DOSZED TYLKO W ICH POBLI E. BO W A NIE PONIEWA , NA NIESZCZ CIE, ISTNIEJE

TA POTWORNĄ POINTĄ OBRAZUJĄCĄ TO CO NIEPRZEWIDZIANEGO, TO CO, JE
A GENIALNO MATTHAIEGO, CAŁE JEGO PLANOWA-
NIE I DZIAŁANIE SĄ DOPROWADZONE W KOŃCU DO ABSURDU. I WYPADA TO ZNACZNIE
BOLE NIEJ, NIŻ WYPADA O POPRZEDNIO, KIEDY, ZDANIEM ULICY KOSZAROWEJ,
MATTHAIMIA SIĘ PO PROSTU MYLI.

NIE MA RZECZY OKRUTNIEJSZEJ NAD POTKNIĘCIE SIĘ GENIUSZA O CO
IDIOTYCZNEGO. W TAKIM WYPADKU WSZYSTKO ZALEŻY OD TEGO, JAK SIĘ GENIUSZ
ODNIESIE DO MIESZKAŃCÓW, KTÓRZY GO POWALICZĄ, CZY SIĘ Z TYM POTRAFI POGODZIĆ
A ZAKCEPTOWAĆ, DAĆ, BY RZECZYWISTO
ZGADZAŁ SIĘ Z JEGO KALKULACJĄ. MUSIĄ TĘDY ZAPRZEŻYĆ SIĘ RZECZYWISTO CIĘ
TRAFIĆ W PRACI. OPOWIE MOJA KOCZY SIĘ WIĘC W SPECJALNIE OPAKOWANYM
SPOSÓBEM. ZACHODZI TU WĄTPIWIE NAJBANALNIEJSZE ZE WSZYSTKICH MOŻLIWYCH „
ROZWIĄZAŃ”... NO, TO SIĘ CZASAMI ZDARZA. NAJGORSZE TE NIEKIEDY SIĘ
SPRAWDZA. MUSIMY SIĘ Z TYM POMÓC LICZYĆ, UZBRAJAĆ SIĘ PRZECIWIEM, a przede wszystkim jasno sobie uświadomić, że tylko w pewnym czasie doznamy rozbitcia o
bezsens, który z konieczności cię panoszy się coraz wyraźniej, i urządzimy się jako tako
na tej ziemi, o ile bezsens ten z rezygnacją kalkulujemy w bieg naszego myślenia.
Rozum nasz rozświetla ten wiat raczej skąpo. W obrębie jego promienia wszystko, co
jest paradoksalne, obiera sobie siedlisko. Nie wierzmy się traktować tych „jako takich”
widm, jak gdyby one były osiedlone na zewnątrz

Wierzymy tej omyłki, żeby jej uważyć za błąd możliwy do uniknięcia...
Omyłki, która mogłaby nas doprowadzić do potknięcia wiatu (przez pewnego rodzaju
przekorną moralność), o ile podjęlibyśmy próbę przeforsowania jakiegoś
bezbłędnie rozumowego tworu. Taka bezbłędność doskonała bowiem stanowiaby
właśnie zabójczy fałsz i dowód na najokropniejszą lepotę. Ale niech mi pan
wybaczy, że wstawiam ten komentarz w radek mej pięknej historii. Wiem, że to
moja omyłkowa nietakt, musi to panu jednak cierpieć u starego jak ja człowieka, że się
niekiedy nad tym, co przeżył, zamysłi, choć omyłki mogły być raczej
niedowarzone. Bo ja wprawdzie jestem z policji, ale ostatecznie staram się być
człowiekiem, nie capem.

No więc, zeszłego roku i naturalnie znowu w niedzielę; musiałem na wezwanie
katolickiego księdza odwiedzić szpital kantonalny. Było to na krótko przed moim
odejściem w stan spoczynku, w ostatnich dniach urzędowania. Właściwie amci już
mój zastępca, na szczęście mimo jego Hottingerki nie udało się
nim zostać, ale choć jak się patrzy, bo i aku-ratny, i po cywilnemu ludzki, co na tym
posterunku może się tylko przydać. Wezwanie telefoniczne zastało mnie w domu,
poszedłem tylko dlatego, że miałam to być właśnie na rzecz, którą chciała mi zwierzyć
jakaś umierająca. To się od czasu do czasu zdarza. Grudniowy dzień byś sobie myślał,
ale mro

złoty, pełen melancholii. Nasze miasto potrafi być przy takich okazjach nie do
zniesienia i odwiedzenie umierającej w tych okolicznościach stanowiło zadanie
podwójnie ciężkie. Tote obszedłem do markotny par razy dokoła Harfu
Aeschbachera w parku, nim wreszcie wkroczyłem do budynku szpitalnego. Pani Schrott,

kiinika lekarska, oddzia prywatny: Pokój chorej okna miało na park i pełen był kwiatami, r... gladiolusami. Przez naścienną gniazdo zasłony promienie słońca padały na podłogę. Przy oknie siedziały potężny ksiądz o rubasznej czerwonej twarzy i niepielęgnowanej siwej brodzie, a w... kułe a a stara kobiecina... twarz w drobniutkie zmarszczki, z białymi jak... nieg rzadkimi włosami. Wyglądała nieopisanie agodnie. S... z luksusu, jaki ją otacza, musiały być bardzo zamożne. Obok... ka znajdowała się skomplikowany aparat, jaka lekarska aparatura, do której prowadziły r... ne w gumowe, wychodzące spod kołdry. Pielgniarka raz po raz musiała tymi machinami kontrolować, toteż wchodziła, milcząca i uważna, do pokoju w regularnych odstępach czasu, tak że rozmowa nasza doznawała przerw prawie równomiernie od siebie oddległych, co zaraz na początku zaznaczyłam.

Skoniem się. S... dziwa dama popatrzyła na mnie badawczo i z wielkispokojem. Twarz – jak z wosku, nierzeczywista, ale wciąż jeszcze dziwnie pełna życia. W... tawych pomarszczonych r... kach trzymała wprawdzie małą czarną księżkę z oconym brzegiem, najwyraźniej księkę do nabożeństwa, ale było nie do wiary, by ta kobieta miała niebawem umrzeć, tak żywotna, tak nienaruszona zdawała się bijąc od niej energia, mimo tych wszystkich szlachów, które wyprzedziły ją kołdry. Ksiądz pozostał na swoim miejscu. Wskazał tylko r... wnie majestatycznym, jak nieporadnym gestem na krzesło obok... ka.

– Niech pan spocznie – poprosił, a gdy usiadł, niski jego głos rozległ się znów spod okna, na tle którego ta potężna sylwetka sterczała na kształt wieży:
LIE

– NIECH PANI OPOWIE PANU KOMENDANTOWI, CO PANI MA DO OPOWIEDZENIA, PANI SCHROTT. O JEDENASTEJ MUSIMY PRZYSTĄPIĆ DO OSTATNICH SAKRAMENTÓW.

PANI SCHROTT UMIĘCHNAŁA SIĘ. Z UGRZECZNIENIEM WYRAZIŁA, ŻE MI SPRAWIA AMBARAS. GŁOS MIAŁA W PRAWDZIE PRZYTYUMIONY, ALE JESZCZE BARDZO WYRAŹNY, A NAWET WRZĄCZĄCY.

SKONIAMEM, ŻE TO DLA MNIE JEST AMBARAS, ZUPEŁNIE JUŻ TERAZ PEWIEN, ŻE BABUŁKA ZAMIERZA OZNAJMIĆ MI O JAKIEJ DOTACJI LUB CZYM PODOBNYM NA KORZYSCIE CIĘŻYCH NADZIEJ POLICJANTÓW.

STARACI GNĄ DALEJ, ŻE HISTORIA, Z KTÓREJ MA ZDAĆ SPRAWĘ, JEST SAMA PRZEZ SIĘ MAŁO WYJAŚNIONA I NIEWINNA, T... INCYDENT, JAKI ZAPEWNE ZDARZYŁ SIĘ MUSI RAZEM W... DEJ RODZINIE. DLATEGO TE... ULOTNIŁ SIĘ JEJ BY NAWET Z PAMIĘCI. TERAZ JEDNAK, SKORO JUŻ TAK WYPADŁO, ŻE WZGLĘDNIE BLISKO ŻYCIA WIEKUISTEGO, ZGADAM SIĘ JEJ O TYM W CZASIE SPOWIEDZI Z CAŁEGO ŻYCIA, I TO CAŁKIEM PRZYPADKOWO. BO W... NIE NA MOMENT PRZEDTEM PRZYSZŁA Z KWIATAMI WNUCZKA JEDYNEJ JEJ CHRZEŃNIACZKI I MIAŁA NA SOBIE CZERWONĄ SUKIENKĘ... TYMCZASEM KSIĄDZ PROBOSZCZ BECK STRASZNIE SIĘ ZDENERWOWAŁ BY ZDANIA, ŻE POWINNA TO OPOWIEDZIEĆ KOMENDANTOWI POLICJI, NIE DO POJĘCIA ZRESZTĄ PO CO, BO PRZECIE WSZYSTKO TO I TAK JUŻ MINIAŁO. ALE SKORO KSIĄDZ PROBOSZCZ UWA...

– NIECH PANI OPOWIADA, PANI SCHROTT – ZABRZMIAŁ OD STRONY OKNA NISKI

G

W MIE CIE ROZDZWONI Y SI DZWONY NA ZAKO CZENIE KAZANIA, BRZMIA O TO G UCHO I OBCO.

- A WIĘC SPR BUJ A NOWEGO ROZP DU STARUCHA I ZACZ A TRAJKOTA .

OD DAWNA JAKOBY NIE OPOWIADA A NIKOMU WSZEGO MA E STWA, TEN JEDNAK POTEM MAR RIA SUCHOTY. NIC NIE DA O SI HA TO PORADZI ...

- Byłby teraz w tym wieku co pan, a mo e raczej co ksi

a.

TERAZ WI C, JAK TWIERDZI A, POSTANAWIA SOBIE WY OBRAZI , E JA JESTEM JEJ SYNEM I E JEST NIM R WNIE KSI DZ PROBOSZCZ BECK. BO WNET PO EMILU URODZI A MA- RECZKA, TYLKO E TEN JAKO WCZE NIAK ZMAR JU PO TRZECH DNIACH. PRZYSZED NA WIAT O TRZY MIESI CE ZA RYCH O I DOKTOR HOBLER TWIERDZI , E MIER BY A DLA BIEDACTWA NAJLEPSZYM WYJ CIEM. TA BA AMUTNA GADANINA TOCZY A SI I TOCZY A CZAS JAKI .

- NIECH PANI OPOWIADA, PANI SCHROTT - HUCZAŁ NAGL

C TAK, OD CZASU DO CZASU PRZEBIERA TYLKO PRAW R K W SIWEJ NIE PIEL GNOWANEJ BR DZIE, JAK JAKI MOJ ESZ, PRZY CZYM ZION ZRESZT OD NIEGO CIEP AWYMI FALAMI OD UGO JU PRZYST PI DO OSTATNIEGO NAMASZCZENIA.

TU W BABULI WEZBRA A NAGLE JAKA PYCHA, JAKI WR CZ ARYSTOKRATYZM, PODNIOS A NAWET NIECO G OW I OCZKA JEJ ZAB YS Y. OZNAJMI A, E JEST Z DOMU STANZL WNA I E TO W A NIE JEJ DZIADEK, PU KOWNIK STANZLI, DOWODZI ODWROTEM NA ESCHOLZMATT W CZASIE WOJNY Z SONDER- BUNDEM. SIOSTRA JEJ ZA WYSZ A ZA PU KOWNIKA STIISSI, OFICERA SZTABU GENERALNEGO W CZASIE PIERWSZEJ WOJNY WIATOWEJ. TEN ZN W BY NA TY Z GENERA EM ULRYKIEM WILLE, A I CESARZA WILHELMA ZNA OSOBI CIE, CO JA NA PEWNO JESZCZE PAMI TAM.

- Naturalnie - odpowiedziałem znudzony - rozumie się samo przez si .

Co mnie w og le obchodzi stary Wille wraz z cesarzem Wilhelmem! My la em tylko, eby ju starucha raz zacza o tym swoim zapisie. I eby wolno mi by o zapali . Ma ym cygarkiem suerdieckowskim mo na by w sam raz tchn krzyn oddechu puszcza skiego do tej szpitalnej atmosfery i tych wyziew w czosnku. Tymczasem proboszcz niestrudzenie jak kataryniarz powtarza swoje:

- Opowiadać, pani Schrott, opowiada .

Trzeba, eby m wiedzia , podj a zn w stara dama, i tu twarz jej nabra a dziwnie zaci tego, a pa aj cego nienawi ci wyrazu, e wszystkimu winna jest jej siostra wraz ze swym pu kownikiem Stiissim. Siostra ta, o dziesi lat od niej starsza, a wi c dzi dziewi - dziesi ciodziewi

na Zurcherbergu, akcje firmy Brown-Boveri, a poza tym trzyma w gar ci p ulicy Kolejowej. W tym miejscu wyrwa a si z ust umieraj cej staruszki

zm cona struga albo lepiej jeszcze plugawy upust po ajanek, kt rych doprawdy nie
miem przytoczy . Jednocze nie chora d wign a si nieco na pos aniu, a jej ma a
starcza g wka ozdobiona nie nobia ym w osem z wigorem zachybota a si na wsze
strony, jakby cieszc si i delektuj c po wariacku w asnym wybuchem w ciek o ci.
Potem jednak uspokoi a si znowu, bo na szcz cie wesz a akurat piel gniarka:

– No, no, droga pani Schrott, niechże si pani tak nie podnieca. Spokojnie,
spokojnie.

Staruszka usucha a, ale kiedy zostali my zn w sami, o wiadczy a ze s abiułkim
gestem r ki, e wszystkie te oto kwiaty posy a jej siostra tylko po to, eby j dra ni ,
bo wie doskonale, e ona kwiat w nie lubi, gdy nienawidzi zbytecznych wydatk w.
Ale sprzeczek nigdy pomi dzy siostrami nie by e m g bym leraz
pomy le y jedna dla drugiej uprzejme i mi e, oczywi cie z najczystszej
z o liwo ci. Wszyscy z rodziny Stanzl w ju maj taki rys, e s grzeczni, mimo e
si wzajemnie znie nie mog . Grzeczno stanowi u nich tylko metod , za pomoc
kt rej wzajem si zadr czaj i a do krwi torturuj . Prawdziwe to zreszt szcz cie.
Gdyby nie byli rodzin tak dobrze zdyscyplinowan , rozp ta oby si istne pieko.

– NIECHŻE PANI OPOWIADA, PANI SCHROTT – NAPOMNIAŁ ZN W DLA
UROZMAICENIA KSI

Na to ogarn a mnie t sknota ju nie za ma ym .suerdieckiem, ale za jednym z
moich grubych babia- nos w.

TYMCZASEM POTOK ROZMOWY NIE PRZESTAWA PLUSKA .

W ROKU 1895 OPOWIADAJ CA WYSZ A ZA DROGIEGO WI TEJ PAMI CI GALUSERA,
DOKTORA MEDYCYNY W CHURZE. JU I TO NIE PODOBA O SI SIOSTRZE RAZEM Z JEJ
PU KOWNIKIEM, JAKO NIE DO NOBLIWE, DOBRZE TO CHORA WYCZU A, A KIEDY
PU KOWNIK ZMAR NA GRYP , ZARAZ PO PIERWSZEJ WOJNIE WIATOWEJ, SIOSTRA
ZACZ A STAWA SI CORAZ BARDZIEJ NIEZNO NA, UPRAWIAJ C ISTNY KULT DLA
SWEGO MILITARYSTY.

– PROSZĘ OPOWIADA , PANI SCHROTT, PROSZ OPOWIADA ■
KSI DZ ZA WYGRAN . NIE WYGL DA PRZY TYM WCALE ZNIECIERPLIWIONY;
WYCZUWA O SI U NIEGO NAJWY EJ LEKKIE ZASMUCENIE TYM CA YM BA AMUCTWEM,
GDY JA POGR ONY BY EM W ODR TWIENIU, Z KT REGO ZRYWANIEM SI
TA O OSTATNICH OLEJACH.

OPOWIADA , OPOWIADA , PANI SCHROTT.

Nie by o rady, kobiecina terkota a dalej, niestrudzona na swym o u mierci,
elokwentna, mimo piskliwego g osu i gumowych rurek pod ko dr , b yskawicznie
przeskakuj c z tematu na temat. Oczekiwa em, mgli cie wprowadzie, o ile w og le
by em jeszcze w stanie my le , jakiej b

cy frank w na z o

dziewi dziesi ciodziewi cioletniej siostrze. Przygotowywa em gor c podzi k i
energicznie poskramiaj c ca kiem nierealne dze palacza, t skni em, by nie wpa w
ostateczn rozpacz, za moim zwyk ym aperitifem i tradycyjnym niedzielnym obiadem

w „Kronenhalle” wesp z on i c rk . Tymczasem babule ka dosz a w swej gadaninie mniej wi cej do momentu, w kt rym, tu po mierci nieboszczyka Galusera, po lubi a dzi tak e ju nie yj cego Schrotta, kt ry do owej chwili by u nich czym w rodzaju szofera i ogrodnika, w og le wykonywa wszystkie prace, jakie w takim du ym, starym domu najlepiej spe nia m czyzna, jako to: palenie w piecach, reperacja aluzji itp. Wi c chocia siostra jej nie robi a adnych uwag, a nawet przyjecha a na lub do Churu, jednak ma e stwo to zirytowa o j z pewno ci siostra, wa nie na to, by j zgniewa , nic po sobie nie pokaza a. Kr tko m wi c, babule ka zosta a pani Schrott.

Chora westchn a. Gdzie g biej w korytarzu piel gnarki piewa y pie ni adwentowe.

– NO WIĘ C MA E STWO MOJE Z DROGIM NIEBOSZCZYKIEM U O Y O SI

A ZN W BABULA PO CHWILOWEJ PRZERWIE, W CZASIE KT REJ PRZYS UCHIWA A SI PRZEZ PAR TAKT W MO E ON MIA WI CEJ TRUDNO CI, NI JA MOG AM TO SOBIE WYOBRAZI . WI TEJ PAMI CI ALBERTEK LICZY , GDY MY SI POBRALI, DWADZIE CZY AM BY A PI DZIESI T I PI . BY O TO JEDNAK DLA NIEGO JAKO DLA SIEROTY NA PEWNO NAJLEPIJ . MATKA JEGO BY WOL NIE WSPOMINA CZYM, A OJCA W OG LE NIKT NIE ZNA , NAWET Z NAZWISKA. M J PIERWSZY M PRZYJ GO W SWOIM CZASIE JAKO SZESNASTOLETNIEGO; W SZKOLE MIA NIEZWYK E TRUDNO CI, A Z CZYTANIEM I PISANIEM P NIEJ TE PORADZI SOBIE NIEM G . MA E STWO BY O TU NAJPRZYZWOITSZYM WYJ CIEM, BO JAK E TO ATWO DLA WDOWY DOSTA SI NA J ZYKI. CHO JA OSOBI CIE NIGDY NIC Z ALBER, TKIEM NIE MIA AM, NAWET I PO LUBIE, CO JEST ZROZUMIA E PRZY TAK ZNACZNEJ R NICY WIEKU. RODKI BY Y NIEWIELKIE, MUSIA AM DOBRZE GOSPODAROWA , EBY DA SOBIE RAD PRZY PROCENTACH OD MOICH DOM W W ZURYCHU I W CHURZE. C BY NA SZEROKIM WIECIE POCZ WOBEC TWARDEJ WALKI O BYT WI TEJ PAMI CI ALBERTEK ZE SWOIM OGRANICZONYM ROZWOJEM UMYS OWYM! BY BY PRZEPAD Z KRETESEM, A PRZECIE JEST SI W KO CU CHRZE CIJANINEM. YLI MY WI C ZE SOB PRZYK ADNIE: ON CHODZI OKO O WSZYSTKIEGO W DOMU I W OGRODZIE, A WYGL DA , MUSZ PRZYZNA , OKAZALE: WYSOKI, POSTAWNY, ZAWSZE GODNIE I UROCZY CIE UBRANY. NIE POTRZEBOWA AM SI GO WSTYDZI , CHO NIC PRAWIE NIE M WI POZA: „ TAK JEST, MAMUSIU. OCZYWI CIE, MAMUSIU.” ULEG Y BY TE I WSTRZEMI LIWY CO DO PICIA, TYLKO BARDZO LUBI JE , ZW ASZCZA WSZELKIE KLUSKI, W OG LE CIASTA I CZEKOLAD . ZA CZEKOLAD TO JU PRZEPADA . ALE POZA TYM CZ EK POCZCIWY I TAKIM PRZEZ CA E YCIE POZOSTAWA , O CA E NIEBO SYMPATYCZNIEJSZY I BARDZIEJ ULEG Y NI TEN SZOFER, ZA KT REGO MOJA SIOSTRA WYSZ A W CZTERY LATA P NIEJ, MIMO CA EGO SWEGO PU KOWNIKA. A SZOFER MIA TE DOPIERO TRZYDZIE CILAT.

– PROSZĘ OPOWIADA NIEUB AGANIE, CHO
BEZNAMI TNIE OD OKNA G OS KSI DZA, KIEDY BABINA NA CHWIL ZAMILK A, MO E
JEDNAK W KO CU TROCH WYCZERPANA. JA TYMCZASEM WCI JESZCZE WY-
CZEKIWA EM POCZCIWIE TEJ DOTACJI DLA NIEZAMO NYCH POLICJANT W.

PANI SCHROTT SKIN A PRZYZWAŁAJ CO G OW .

– WIDZI PAN, PANIE KOMENDANCIE – PODJĘŁA ZNOWU – OKOŁO ROKU 1940
CO SI STOPNIOWO ZACZ O U WI TEJ PAMI CI ALBERTKA PSU I NIE WIEM
DOBRZE SAMA, CO MU W A CIWIE DOLEGA O, ALE MUSIA SOBIE CO NADWER Y
W G OWIE; STAWA SI CORAZ BARDZIEJ ODR TWIA Y I PRZYCISZONY, WLEPIA
WZROK PRZED SIEBIE, NIERAZ DNIA MI CA YMI SI NIE ODZYWA . TYLKO ROBOT
SWOJ SPE NIA , JAK NALE Y, TAK E AJA GO WPROST NIE POTRZEBOWA AM, CHO
ROZJE D A GODZINAMI NA SWYM ROWERZE. MO E TO WOJNA UDERZY A MU DO
G OWY, A MO E TA OKOLICZNO , E GO DO WOJSKA NIE PRZYJ TO. CO TE MO NA
WIEDZIE , CO SI W TAKIM CZ OWIEKU DZIEJE! W DODATKU ROBI SI CORAZ
BARDZIEJ AR OCZNY. NA SZCZ CIE MIELI MY W ASNE KURY I HODOWL
KR LIK W. I W A NIE WTEDY ZDARZY O SI ZE WI TEJ PAMI CI ALBERTKIEM
PIERWSZY RAZ PO WOJNIE TO, CO MAM PANU OPOWIEDZIE .

Przerwa a, bo po raz ju nie wiem kt ry wesz a do pokoju piel gniarka, na ten raz z
lekarzem, i wzi li si cz ciowo do aparatur, cz ciowo do samej babuli. Medyk by
to Niemiec, blondyn jak z obrazka, weso y, dziarski, odbywa sw j zwyczajny obch d
jako niedzielny dy urny. Wi c:

– No, jakże si pani ma, pani Schrott, dzielna jak zawsze, co? Wyniki mamy
wietne, podziwia , podziwia dro
WA DALEJ, PIEL GNIARKA ZA NIM, A KSI DZ ZN W POWT RZY ,SWOJE UPOMNIENIE:

– OPOWIADAĆ, OPOWIADA

RA TO PERSPEKTYWA NIE ZDAWA A SI ANI TROCH KOBIECINY
NIEPOKOI .

– CO TYDZIEŃ ZADANIEM BIEDAKA BY O Odstawia

A TYMCZASNA NOWO
STARUCHA. – ŚWI TEJ PAMI CI ALBERTEK PRZYWI ZYWA KOSZYK Z TY U DO
ROWERU, A WRACA POD WIECZ R, BO WYRUSZA WCZE NIE OKO O SZ STEJ CZY
PI TEJ RANO, ZAWSZE UROCY CIE UBRANY NA CZARNO I W MELONIKU. WSZYSCY MU
SI UPRZEJMIE K ANIALI, KIEDY PEDA OWA PRZEZ CHUR, A P NIEJ, POZA MIASTECZ-
KIEM, GWI D CZ CICHA ULUBION SWOJ PIOSENK :
JAM JEST SZWAJCARSKI CH OPAK I KOCHAM W ASNY KRAJ...

WTEDY BY TO DZIE UPALNY, W SAM KANIKU , DWA DNI PO WI CIE
NARODOWYM. GDY WR CI DO DOMU JU PO P NOCY, S YSZA AM D UGO, JAK SI
KRZ TA I MY W AZIENCIE. POSZ AM TAM I ZOBACZY AM, E WI TEJ PAMI CI
ALBERTEK CA

– Wielki Boże – zapytałam – co ci się przytrafi o, Albertku?

A on tylko oczy na mnie wytrzeszczy , a potem powiada:

Wi c my l sobie: „Co si sta o, to si nie odstanie, Albertek to cz ek poczciwy i w grunci rzeczy o z otym sercu. A zreszt , to ju si wi cej przecie nie powt rzy.”

TU WESZ A ZN W DO POKOJU PIEL GNIARKA, SKONTROLOWA A APARATUR ,
UPORZ DKOWA A SZLAUCHY, A BABINA W SWOICH BETACH ZDAWA A SI ZN W
WYCZERPANA. CO DO MNIE, TO LEDWO MIA EM ODDYCH , POT LA M SI PO
TWARZY CIURKIEM, ALEM NA TO ANI ZWA A ; TO ZN W KOSTNIA EM Z ZIMNA.
ZDAWA EM SI SAM SOBIE PODW JNIE MIESZNY, KIEDYM POMY LA , E
OCZEKIWA EM OD STAREJ JAKIEGO
MOC KWIAT W, WSZYSTKIE TE CZERWONE I BIA ER E, P OMIENNE GLADIOLUSY,
ASTRY I CYNIE, GO J B G WIE SK D, WAZON CA Y PE EN
ORCHIDEI, NIEDORZECZNE WSZYSTKO I PARWENIUSZOWSKIE. TO S O CE ZA FIRANKAMI,
TEN NIERUCHOMY, MASYWNY KSI DZ, TA WO CZOSNKU... BY BYM BY W STANIE
WPA W NAG FURI , ARESZTOWA TO BABSKO... C , KIEDY NIC JU NIE MIA O
SENSU Z OSTATNIM NAMASZCZENIEM TU BLISKO. SIEDZIA EM TAM W MOIM
WI TECZNYM GARNITURZE, UROCZYSTY I BEZU YTECZNY.

– Niech pani opowiada, pani EJchrott – cierpliwie upominał ksi d

I OPOWIADA A DALEJ:

– I rzeczywiście wi tej pami ci Albertkowi zrobi o si a
swym spokojnym, agodnym g osem. Wydawa o si ju teraz naprawd , e opowiada
dwojgu dzieciom bajk , w kt rej te dziej si rzeczy z e i absurdalne, a s przecie
r wnie czarodziejskie jak

DZI WI CEJ DO ZURYCHU. ALE KIEDY SKO CZY A SI
DRUGA WOJNA WIATOWA, MOGLI MY ZN W POS UGIWA SI NASZYM AUTEM,
KUPIONYM W ROKU 1938, PONIEWA SAMOCH D NIEBOSZCZYKA GALUSERA BEZ
KWESTII WYSZED Z MODY. TOTE WI TEJ PAMI CI ALBERTEK WOZI MNIE ZNOWU
NASZYM BUICKIEM. POJECHALI

LA AM WI C SOBIE, E SKORO MU JAZDA SAMOCHODEM SPRAWIA TYLE
PRZYJEMNO CI, TO M G BY ZN W JE DZI DO ZURYCHU BUICKIEM, BY OBY TO MNIEJ
NIEBEZPIECZNE, BO MUSIA BY UWA A NA DROG I NIE M G BY S YSZE ADNEGO
G OSU Z NIEBA. WI C ZN W JE DZI DO SIOSTRY POCZCIWIE I WIERNIE, WEDLE SWEGO
ZWYCZAJU, Z DOSTAW JAJ, A NIEKIEDY TE I KR LIKA.

LECZ NAGLE PEWNEGO RAZU WR CI NIESZCZ CIEM ZN W DOPIERO PO P NOCY;
POSZ AM NATYCHMIAST DO GARA U,' BO JU CO PRZECZUWA AM, PONIEWA
OSTATNIO RAZ PO RAZ ZACZ ZABIERA Z BOMBONIERKI TRUFLE. I RZECZYWI CIE
ZASTA AM WI TEJ PAMI CI ALBERTKA MYJ CEGO WN TRZE WOZU, A TAM BY O
PE NO KRWI.

– CZYŚ TY ZNOWU NIE ZABI JAKIEJ DZIEWCZYNKI, A AM
BARDZO SERIO.

– Bą d

os z nieba tak chcia . Dziewczynka mia a

znowu czerwony sukienki i te warkoczki.

ALE JA SIĘ WCALE NIE USPOKOIŁAM, JESZCZE SUROWIEJ SIĘ Z NIM OBESZĘ AM NI ZA PIERWSZYM RAZEM; ROZGNIWA AM SIĘ PRAWIE. NIE WOLNO MU BYĆ O PRZEZ PRAWIE CAŁY TYDZIEŃ U YWA BUICKA, CHCIAŁAM TE PÓJĆ DO WIELEBNEGO KSIĘDZA BECKA; JUŻ BYŁAM ZDECYDOWANA, ALE SIOSTRA ZANADTO BY SIĘ UCIESZYŁA; TO BYŁO NIEMOŹLIWE... WIĘC TYLKO PILNOWAŁAM NIEBOSZCZYKA ALBERTKA JESZCZE CIŁEJ I RZECZYWIŚCIE PRZEZ CAŁE DWA LATA WSZYSTKO SZŁO DOBRZE, A ŻNIEW ZROBIŁO TO SAMO, BO MUSIAŁA SŁUCHAĆ OSU NIEBA. WIĘC TEJ PAMIĘCI ALBERTEK CAŁKIEM SIĘ WTEDY ZA AMĄ, PÓKAŁA NAWET, ALE JA I TAK ZARAZ SIĘ SPOSTRZEŻĘ AM PO TRUFLACH BRAKUJĄCYCH W BOMBONIERCE. BYŁA TO DZIEW

CZYNIKA W KANTONIE ZURYSKIM, ZNOWU W CZERWONEJ SUKIENIE I Z TYMI WARKOCZAMI... TRUDNO WPROST WIERZYĆ, JAK MATKI MOGĄ TAK NIERÓŻWA NIE UBIERAĆ DZIECI!

– Czy dziewczynka nie nazywała się ... em.

– Na imię było o jej Gretka, a poprzednim dw

... ta am sobie te wszystkie imiona. Ale w tej pamięci Albertek miewa się coraz gorzej, stał się roztargniony, trzeba mu było o ka d rzecz powtarza po dziesiąty raz, cała dziełgo aja musiałam jak małe dziecko. A

... adnie już cy po Gretce żniew stał się niespokojny i nieodpowiedzialny, nie można było na nim wcale polegać. Nawet kurnik nie był oprócz niego, a kury gdały jak opłonek, bo te porzucił im już nie przygotowywał karmy. Raz po raz rozjeżdżał przez całe popołudnie naszym buickiem między miasteczkiem tylko, a jedzie się powasa. I nagle zauważyłam znowu, że w bombonierce brakuje truflów. Zaczęłam się na niego wtedy i kiedy w tej pamięci Albertek przechodził chłystkiem przez pokój z brzytwą zatknął na miejscu wiecznego pióra, podeszłam do niego i powiedziałam mu:

– ALBERTKU, ZNOWU ZNALAZŁE JAK DZIEWCZYNKĘ .

– GŁOS Z NIEBA, MAMUSIU – ODPOWIEDZIAŁ. – POZWÓL MI, PROSZĘ, JUŻ TYLKO TEN JEDEN RAZ. CO ROZKAZ Z NIEBA, TO ROZKAZ, A ONA MA TAKI CZERWONY SUKIENKI I TE WARKOCZKI.

– Albertku – powiedziałam – si na to zgodzi. Gdzie jest ta dziewczynka?

– Niedaleko stąd, przy stacji benzynowej – powiedział nieboszczyk Albertek.

– Proszę, proszę, mamusiu, pozwól mi być posłusznym.

ALE JA SIĘ ZROBIŁAM ENERGETYCZNA:

– NIC Z TEGO, ALBERTKU – POWIEDZIAŁAM. – PRZECIE MI OBIĘCAŁE . WYCIĄGNO NO LEPIEJ ZARAZ KURNIK I ZADAJ KUROM PORZUCIĆ DNIEM POŁADU.

Wtenczas w tej pamięci Albertek się rozgniewał; po raz pierwszy od czasu naszego małżeństwa, które przecie dotychczas było tak zgodne, i rozkrzyczał się :

– Jestem tylko twoim parobkiem! – taki już był chory.

I wylecia z tymi truflami i z t brzytw do buicka, a w kwadrans p niej zatelefonowano do mnie, e si zderzy z jak ci ar wk i nie yje. Przyszed wielebny ksi dz proboszcz Beck, a z policji wachmistrz Bilhler, kt ry zachowa si z wielk delikatno ci , tote zapisa am w testamencie churskiej policji pi tysi cy frank w, a drugie pi tysi cy policji zuryskiej, bo ja przecie posiadam tu przy ulicy Wolnej domy. I naturalnie zjawi a Si te moja siostra ze swoim szoferem tylko po to, eby mnie irytowa , i popsu a mi ca y pogrzeb.

Wytrzeszczy em na staruch oczy. Teraz i dotacja te szcz liwie si wy oni a, zapis, na kt ry tyle si naczek em... Jakby jeszcze w dodatku kto chca si ze, mnie specjalnie natrz sa .

WRESZCIE ZJAWI SI TE SAM PROFESOR Z DOKTOREM I DWIEMA PIEL GNIARKAMI; WYPRAWIONO NAS Z POKOJU, PO EGNA EM WI C PANI SCHROTT.

– BĄD EM PRZEZ ROZTARGNIENIE, SKONFUNDOWANY. JEDNEGO TYLKO PRAGN EM, WYNI SI ST D CO PR DZEJ. NA TO CHORA ZACHICHOTA A, A PROFESOR JAKO OSOBLIWIE ZMIERZY MNIE WZROKIEM; CA A TA SCENKA WYPAD A ENUJ CO. RAD BY EM ZOSTAWI WRESZCIE ZA SOB STARUCH , KSI DZA I CA E ZGROMADZENIE. WYDOSTA EM SI NA KORYTARZ.

ZEWSD WY ANIALI SI ODWIEDZAJ CY Z PACZKAMI I P KAMI KWIAT W, PACHNIA O SZPITALEM. RATOWA EM SI UCIECZK . DO WYJ CIA BY O NIE DALEKO, CZU EM SI JU PRAWIE W PARKU, GDY JAKI POT NY M CZYZNA Z DZIECINN OKR G TWARZ , W UROCZYSTYM CIEMNYM GARNITURZE I KAPELUSZU NA G OWIE PRZESUN KORYTARZEM W FOTELU NA K KACH TRZ S C SI POMARSZCZON KOBIECIN . PRASTARUCHA MIA A NA SOBIE P ASZCZ Z NURK W, A W OBU R KACH TRZYMA A KWIATY, OLBRZYMI ECH WI ZKI. MO E TO W A NIE BY A TA DZIEWI DZIESI CIODZIEWI D JA MOG EM WIEDZIE . PATRZY EM W LAD ZA NIMI PRZERA ONY, A ZNIKLI W ODDZIALE PRYWATNYM, POTEM JEDNAK PU CI EM SI OMAL E NIE K USA, WYPAD EM NA PODW RZE, P DEM PRZEBY EM PARK, MIJAJ C CHORYCH W FOTELACH NA K KACH, OZDROWIE C W, ODWIEDZAJ CYCH, I DOPIERO W „ KRONENHALLE" OCH ON EM NIECO. PRZY ZUPIE Z W DROBIANYMI KNE- DELKAMI.

Prosto z „Kronenhalle" pojecha em do Churu. Trzeba by o, niestety, zabra on i c rk , by a niedziela, mia y sobie obiecane to popo udnie, a w wyja nienia wdawa si nie chca em. Nie m wi em ani sowa, jecha em w tempie zakazanym... Mo e si jeszcze da co uratowa ... Ale rodzina moja nie potrzebowa dugo czeka w aucie przy pompie benzynowej. W szynku panowa w ciek y ruch, Marianka powr ci a by a w a nie z Hin- delbanku, roi o si od raczej obskurnych drab w. Matthai siedzia mimo chodu w swoim monterskim dresie na tej samej co zawsze awce, kurzy niedopa ek cygara i cuchn absytem. Przysiad em si do niego i zda em pokr tce relacj . Ale tu nie by o ju nic do zrobienia. Nie zdawa si nawet sucha . Przez chwil si oci ga em, potem wr ci em do mego oplakapitana i ruszy em w kierunku Churu. Rodzina niecierpliwi a si , te panie by y godne.

– Czy to nie był Matthai? – spytała ona, jak zwykle ca kiem nie zorientowana.

– OWSZEM.

– A ja myślę, że on jest w Jordanii..s

– NIE POJECHAŁ WCALE, MOJA DROGA.

W Churze tylko z biednymi mogli my zaparkować. Cukiernia była przepiękna, samymi zurychczykami, którzy napychali sobie tutaj ciasteczki i pocili się. Do tego wrzeszczały dzieci. Znaleźliśmy jednak miejsce, obstawiali my herbatę i ciastka. Ona przywołała ponownie kelnerkę :

– Niech mi pani przyniesie jeszcze dwadzieścia deka trufli.

.;,TYLKO POTEM ZDZIWIŁA SIĘ TROCHĘ, KIEDY NIE CHCIAŁA ANI JEDNEJ SKOSZTOWA ... ZAŁADNE SKARBY.

A TERAZ, PANIE DROGI; MOŻE PAN Z TĄ HISTORIĄ ROBIĆ, CO SIĘ

PACI .